DWÓCH PAPIEŻY
GRZEGORZ GÓRNY UJAWNIA, JAK BYŁO NAPRAWDĘ

PUTIN NA CAŁEGO SPISKUJE PRZECIWKO POLSCE

DZIWNE GRY KONFEDERATÓW

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 3 (372) 2020
13–19 stycznia 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

IDZIE POTĘŻNY MAFIJNY ATAK NA ZIOBRĘ

GANGSTEROM PALI SIĘ GRUNT POD NOGAMI, WIĘC KONTRATAKUJĄ. ZLECAJĄ ZABÓJSTWA, PRÓBUJĄ SZANTAŻU, PODRZUCAJĄ MEDIOM FAŁSZYWKI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie

w kioskach!

W służbie Moskwie
Członkowie Komunistycznej Partii Polski kontra II RP

Proroctwo króla
Jan Kazimierz przewidział rozbiory 111 lat wcześniej

Sumy neapolitańskie
Hiszpania jest winna Polsce 350 mln zł plus odsetki

www.wSieciHistorii.pl

Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/wsiecihistorii

eprasa.pl 31f09d037d

Musimy pokazać skalę naszej tragedii.

To utrudni sianie kłamstw. Pomnik 6 milionów polskich ofiar wojny jest pilnie potrzebny w stolicy

Dużo mówimy w ostatnim czasie o konieczności upamiętnienia polskich zwycięstw, w tym tego jednego, tak cudownie wspaniałego – Bitwy Warszawskiej 1920 roku. Rzeczywiście, jeżeli w tym konkretnym kontekście politycznym państwo polskie nie zdoła tej sprawy załatwić, będzie to powód do wstydu.

Ale jest jeszcze jedno upamiętnienie, którego pilnie potrzebujemy. I nie chodzi o zwycięstwo, lecz o największą tragedię narodową w całych naszych ponadtysiącletnich dziejach, porównywalną może jedynie z potopem szwedzkim i rozbiorami: o ofiary niemieckiej i sowieckiej okupacji.

Musimy pilnie, godnie i w sposób bardzo widoczny upamiętnić te 6 milionów naszych obywateli, których zamordowano, zakatowano, zadręczono, zagłodzono, spalono, zabito na frontach. Musimy pokazać skalę tej ofiary. I to nie gdzieś na peryferiach, ale w takim miejscu stolicy, w którym nie da się tego upamiętnienia – i tym samym ogromu naszych strat ludzkich – przeoczyć.

Zwycięstwa są więcej niż ważne dla narodowej pamięci. Ale dziś Polska potrzebuje jeszcze bardziej przypomnienia światu o swoich ofiarach. Bo to ten element pamięci – i prawdy – o II wojnie światowej jest najskuteczniej zamazywany bądź zamilczany w globalnej opowieści o najważniejszej z wojen. Jednocześnie to pominięcie jest czynnikiem, który umożliwia snucie wszystkich innych kłamstw – o rzekomej kolaboracji czy o współsprawstwie Holokaustu.

Jeśli zdołamy przypomnieć światu o skali naszych ofiar, zablokujemy bardzo zły kierunek rozwoju globalnej świadomości historycznej. Musimy to robić, rzecz jasna, na wszystkich polach, ale zacznijmy od sprawy w sumie najprostszej – od godnego pomnika. Nie rzeźby czy monumentu, ale formy znacznie bardziej okazałej, przestrzennej, takiej jak pomnik Ofiar Holokaustu w Berlinie, przy Bramie Brandenburskiej, który samą swoją skalą pokazuje, że chodzi o wydarzenie bezprecedensowe.

Polska obroni swoje dobre imię tylko wówczas, gdy zdoła obronić całą opowieść o naszych losach w II wojnie światowej – od heroicznej walki z Niemcami i Sowietami, poprzez straszliwą okupację, aż po wielki wysiłek na wszystkich frontach. Pamięć o ofiarach jest tu punktem absolutnie kluczowym. I ta pamięć musi być widoczna. Tak konkretnie, jak to możliwe.

Tak, by każda z 6 milionów ofiar miała na tym pomniku jakiś mały element, upamiętniający jej konkretne życie.

Jacek Karnowski

Reklama | 57/1219/F

eprasa.pl 31f09c037d

SIECI spis treści

21 *Holokaust i polityka polska*
Bronisław Wildstein

36 Uczta schetynożerców
Stanisław Janecki

68 O Muzeum Książąt Czartoryskich rozmowa z Andrzejem Betlejem
Piotr Słabek

NA POCZĄTEK

5 **CIECIA OSOBA**
Krzysztof Feusette

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

10 **FIGURY I BZDURY**
Jan Pietrzak

11 **OPÓR PROWOKUJE TERRORYSTĘ**
Bronisław Wildstein

12 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

13 **MAŁY KRAJ, WIELKI POTENCJAŁ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

15 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

26 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

18 **KTO CHCE ZNISZCZYĆ RODZINĘ ZIOBRÓW**
Wojciech Biedroń

KRAJ

21 **HOLOKAUST I POLITYKA POLSKA**
Bronisław Wildstein

26 **ROSYJSKA PUŁAPKA NA POLSKĄ OPOZYCJĘ**
Marek Budzisz

29 **Z DR. KAROLEM NAWROCKIM**
rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło

34 **DZIWNE GRY KONFEDERATÓW**
Marcin Fijołek

36 **UCZTA SCHETYNOŻERCÓW**
Stanisław Janecki

39 **DWÓCH PAPIEŻY, CZYLI WATYKAN ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI**
Grzegorz Górny

43 **NAJSTARSZY MIESZKANIEC JASNEJ GÓRY**
Lidia Dudkiewicz

47 **KIM NAPRAWDĘ JEST GRETA**
Marzena Nykiel

50 **KAZIMIERZ „DOBRA RADA" MARCINKIEWICZ**
Dorota Łosiewicz

52 **Z ADAMEM SKOWRONEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

SIECI KULTURY

55 **NIE TYLKO TELEWIZYJNA PRZYGODA**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **KLATA WŚRÓD DIABŁÓW I ANIOŁÓW**
Przemysław Skrzydelski

59 **KRÓL KONTRA HIPIS**
Adam Ciesielski

60 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

62 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

64 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

OPINIE

66 **K JAK KŁAMSTWA KAGEBISTY**
Hanna Karp

HISTORIA

68 **Z ANDRZEJEM BETLEJEM**
rozmawia Piotr Słabek

72 **POD OCHRONĄ WERSALSKIEGO PORZĄDKU**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

75 **TRUMP ZADAJE MOCNY CIOS IRANOWI**
Jan Rokita

78 **JUŻ NIE PANI, A PAN PREZYDENT**
Goran Andrijanić

80 **NA POMOC SYRYJCZYKOM**
Marcin Tulicki

GOSPODARKA

82 **KLIMATYCZNE BAJKI**
Janusz Szewczak

PODRÓŻE

88 **MOJE SZLAKI: ROBERT EL GENDY**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **JAK DŁUGO JESZCZE?**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **BEZPRAWDZIE**
Aleksander Nalaskowski

93 **Z KRAJU RAD**
Wiktor Świetlik

94 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

95 **OBŁĄKAŃCZY POŚPIECH**
Alina Czerniakowska

96 **ROK 2020 ROKIEM FETY**
Ryszard Makowski

97 **RADOŚĆ NAM POSPOŁU**
Leszek Długosz

98 **CZARNA SKRZYNKA SUKCESU**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 31f09d037d

Ciecia osoba

KRZYSZTOF FEUSETTE

„Nikt... z cieciem... o sobie...". Nie, to bez sensu. „Zniszcz... ciecia... w sobie...". Co to ma być? Kto to dyktował?! Siostro, okulary! Mam: „Nikt... ciecia osobie... w państwie... nie będzie dyktował". O, i to chodzi. I przestańcie wreszcie pytać, o czym rozmawiałem z ambasadorem Rosji, skoro to było w gabinecie, więc się nie liczy. Czy nie wystarczy już tej nagonki? Czy nie poraża was podobieństwo losu ciecia osoby w państwie do losu księdza Popiełuszki? Co z tego, że jego esbecy torturowali i zamordowali, a mnie tylko dają alibi? Czasy są identyczne. Ciągle tylko „wziął" i „wziął"! A co, może miałem na sali operacyjnej kwitować? „Siostro, skalpel... siostro, koperta..." – tak byłoby lepiej? Że jak lekarz jest wzięty, to już wziąć nie może? Zresztą wszystko wyjaśniłem – dopóki nie będzie dowodów, będę mówił, że będę pozywał. Ja nie mam żadnego powodu, żeby Neumannowi nie wierzyć, iż sądy przed wyborami absolutnie nic – jak on to mówi – k... jego mać, nie zrobią. Reszta to są „pierdolety".

Swoją drogą, jaka to jest jednak zapaść polskiej demokracji, że się ciecia osobę w państwie obraża jakimś marnymi pięcioma stówami. Jeszcze rozumiem tę Popielę, bo chociaż o 500 euro wspomina, ale facet, który mówi, że dał 400 zł i jeszcze stówę przy wyjściu, to mnie musiał z kimś pomylić. Tyle to się płaci za powieszenie płaszcza. Dzień dobry – drugie 500, proszę się rozebrać – 200, oddychać, nie oddychać – 150, w porządku, nie w porządku – 600 do 1200. A gdzie jeszcze do operacji? Kredyt umarł, zabili go pacjenci. Już raz się tak przejechałem, że facet miał dać natychmiast po przebudzeniu, niech mu ziemia lekką będzie.

Niestety, lekarz też musi mieć czas na odpoczynek, inaczej traci serce do roboty. To jest moja dewiza. Chociaż obecnie w dewizach rzadko już się bierze, a ja serce mam naprawdę złote. Już nie pamiętam od kogo, na kredensie stoi. No co? Gdybym ja miał za wszystko ze swoich płacić, to czy jeździłbym jaguarem? A gdybym nie jeździł, to czy mieszkałbym dzisiaj w tej klitce poselskiej? I sam sobie łóżko ścielił, jak jakiś, za przeproszeniem, pacjent, co się nie bał i nic nie dał?

Przecież w szpitalu wszystko kosztuje! A to do WC chciałby iść jeden z drugim i jeszcze wodę spuszczać za każdym razem, a to pod prysznicem siedzą po 15 minut, jakby na dyskotekę się wybierały, a to zupka nie smakuje, bo dietetyczna... A jaka ma być? Do wystawnych obiadków to trzeba mieć zdrowie i pieniądze, a nie jedno albo drugie. Przecież kiedy ja szpital obejmowałem w 2008 r., to miał 15 mln długu, a jak mnie po siedmiu latach koledzy z PO ze stołka usuwali, to było tego długu raptem sześć razy tyle, 91 mln konkretnie. A co ja jestem: lekarz czy menedżer? Na szczęście swój do swego po swoje zawsze sobie drogę przypomni i obecnie ja dla siebie lepszej partii niż Platforma nie widzę.

Mówię serio, przecież nie jestem na przeciwbólowych. Ech, jak się pacjentowi po paracetamolu szybko numer konta wciska... Fundacji, oczywiście. Siedzi dziadek zamulony, a ty mu, bracie, ciach, wizytówkę. I kalendarz. I opowieść, że na tym akurat oddziale trzeba zapłacić, by przeżyć. To znaczy – przeżyć coś pięknego. Czyli zostać mecenasem. Służby zdrowia. Jej największych przedstawicieli. I że tyle w sobie masz, ile możesz komuś dać. I że kupując więcej losów, zwiększasz szansę na wygraną, a im więcej cegiełek, tym zupka bogatsza. Nie ma mocnych na to.

Ktoś zapyta – jakim prawem? To mu odpowiem: prawem każdego pacjenta do walki o własne życie. Tak właśnie powiedzcie mądralom z prokuratury, gdy przyjdą zapytać, czy dawaliście pod stołem, czy na stole, i czy był operacyjny, czy z biedermeiera. Co to kogo obchodzi? Albo człowiek dał i przeżył, albo nie przeżył. W pierwszym przypadku – chyba było warto? A w drugim – co mu dziś po tych pieniądzach? Sam, gdybym mógł, tobym wszystko rozdał. Niestety, ciecia osoba w państwie możliwości zarobkowe ma ograniczone. No, chyba że mam w Senacie otworzyć prywatny gabinet? To potwierdzałoby coś, o czym mówię od dawna, niezmierzoną, mianowicie, przenikliwość przewodniczącego Schetyny. Wiedział, jak w izbie refleksji będzie teraz nerwowo. Gawłowski, Kwiatkowski, presja kodziarzy... Tam bez przerwy musi być na sali lekarz! Rzecz jasna, żadnych uzgodnień na razie nie było, ale to chyba oczywiste, że jeśli podejmę na terenie parlamentu praktykę lekarską, stawki muszą być specjalne i trzeba je uwzględnić w budżecie. A przecież muszę jeszcze latać do Brukseli z tymi debilnymi pytaniami, bo się uparli, żeby ze mnie zrobić cyrk obwoźny. Tymczasem ja też mam tylko jedno zdrowie.

W ogóle bym nie jechał, gdyby nie to, że chcę przy okazji ich podpytać, czy to będzie bardziej podpadało pod Trybunał Sprawiedliwości, czy Komisję Wenecką – gdyby ciecia osobie w państwie to państwo zaczęło nagle dokumenty finansowe prześwietlać. Czy to będzie bardziej zamach na konstytucję, demokrację, czy niezawisłość lekarską? Bo że polexit, to sam się domyśliłem.

eprasa.pl 31f09d037d

Sygnalista nadaje

Już tradycyjnie przy okazji sylwestra w Zakopanem wrócił spór o disco polo. Z najgłośniejszej armaty wypaliła Hanna Lis, która stwierdziła: „Sowieci i hitlerowcy wymordowali lwią część polskiej inteligencji. Ciąg dalszy nastąpił za komuny. Dzieło domyka towarzysz Kurski. Bez jednego wystrzału". Bardzo grubo, ale można się tylko cieszyć, że etos niepodległościowej inteligencji nadal jest zaraźliwy.

Z badania pracowni Social Changes wynika jednak, że to ***Kurski*** ma rację. Przychylnie na disco polo patrzy aż 57 proc. Polaków. Negatywnie – 28 proc., reszta nie ma zdania. Zwolennicy disco polo dominują wśród wyborców Prawa i Sprawiedliwości – jest ich aż 77 proc. Wyborcy Koalicji Obywatelskiej są podzieleni niemal po równo – 47 proc. nie akceptuje disco polo, ale aż 43 proc. akceptuje. Jak tu żyć z takim elektoratem?

Prezes Kurski największy komplement na czterolecie rządów w TVP dostał jednak od Onetu. „Mimo tych bezeceństw, jakich dopuszcza się Kurski z użyciem TVP, nadal nie brakuje osób chcących z nim współpracować. Nie zważając na propagandę, cenzurę [...] kolejni aktorzy, reżyserzy i scenarzyści walą do Kurskiego drzwiami i oknami z nadzieją na umowę i zarobek. Wśród nich są również wielcy krytycy PiS-u i samego Kurskiego". To się nazywa przełamać nieprzełamywalne.

Gdy Putin zaatakował Polskę zarzutem antysemityzmu, Konfederacja właściwie nie zabrała głosu. Nie zwołano konferencji, nie wydano oświadczeń, nie było głosów oburzenia. Nie było, a przecież być powinny, choćby po to, by odeprzeć zarzuty o prorosyjskość. Z kolei gdy Amerykanie zabili Sulejmaniego – przebudzenie i duża aktywność, bynajmniej nie proamerykańska. Przełom roku wiele wyjaśnił.

Gdy Iran ostrzelał amerykańskie bazy w Iraku, niemal pewny kandydat Konfederacji na prezydenta ***Krzysztof Bosak*** ogłosił na Twitterze: „No to mamy wojnę. W wyniku kretynizmu naszego sojusznika nasi żołnierze znaleźli się właśnie pod ostrzałem rakietowym". Szybko się okazało, że żadnej wojny nie ma, a Teheran faktycznie ustąpił, ale ugrupowanie zdążyło już wezwać do wycofania polskich żołnierzy z Iraku. Prawdziwi przywódcy. W sam raz na trudne czasy.

Marszałek Senatu ***Tomasz Grodzki*** postanowił dowieść, że nie brał łapówek, a zarzuty są fałszywe. Przedstawił świadka – swojego byłego pacjenta – który ogłosił, że przyszedł do niego jakiś człowiek i zaproponował 5 tys. zł za rzucenie oskarżenia. Grodzki grzmiał: „Kto odwiedził pana Staszczyka? Czy to nierzetelny dziennikarz? Czy to agent służb polskich? Czy agent służb obcego kraju, któremu zależy na destabilizacji Senatu?". Ważne pytania.

I jakże trafione. Bo oto okazało się, że obce służby rzeczywiście były w sprawę zaangażowane. Konkretnie Urząd Bezpieczeństwa, z którym związany był pan Staszczyk. TVP Info zacytowało jego donosy, w tym taki oto

epras.pl 31f09d037d

fragment: „Melduję, że od chwili zawarcia przeze mnie związku małżeńskiego z Hanną, dowiedziałem się wielu nieprzyjemnych dla mnie rzeczy o jej życiu i wrogim stosunku do obecnej rzeczywistości". Kto raz nabrał nawyku czujności, już go nie straci.

W swoich donosach pan Staszczyk narzekał także, że żona słuchała Głosu Ameryki, a gdy jej tego zabraniał, to „wyzywała od głupich komunistów, że jestem pachołkiem stalinowskim". „Gdy ja słuchałem Moskwy podczas obiadu, to wyłączała mi radio, wyprawiając przy tym awanturę" – skarżył się donosiciel. Panie marszałku, to zadanie z tym świadkiem na niewinność, co go trzeba było znaleźć, to ktoś po prostu skopał. Poszli po linii najmniejszego oporu.

Marszałek Grodzki konsekwentnie sygnalizuje światu, że można go używać do gry przeciwko rządowi. Podczas spotkania z ambasadorem Rosji zaproponował stworzenie „kanału komunikacji na linii Senatu Rzeczypospolitej i Rady Federacji Rosyjskiej", co „spotkało się z dużym zrozumieniem". Powoływał się przy tym na rzekomą zgodę MSZ, co okazało się nieprawdą. Marszałek jest nie tylko śmieszny. Jest także bardzo groźny.

A Szymon Hołownia znów jest szeroko cytowany. Tym razem za stwierdzenie, że zwierzęta, które spotkał, „będą go sądzić na Sądzie Ostatecznym": „Ludzie i zwierzęta. Świat mnie będzie sądził. [...] Każde stworzenie. Świnia, którą zjadłem w życiu, a zjadłem ich na pewno co najmniej kilkanaście, to było stworzenie Boże" – mówił, potwierdzając, że nawet po czterdziestce można być niedojrzałym nastolatkiem. Albo udawać, bo to przecież jest całkiem duży spryciula.

Hołownia umie też postraszyć. Zapowiedział, że jeśli wygra, wzorem Havla, będzie miał cotygodniowy program w telewizji. „Mnie bardzo kusi to, by na przykład zgłosić się do Telewizji Polskiej z orędziem co tydzień i co tydzień na antenie TVP informować o swoich przemyśleniach i o tym, co się dzieje w tym świecie, który ja widzę". Prezydenta Hołowni to Polska by już na pewno nie przeżyła.

O prezydenturę w imieniu Lewicy powalczy Robert Biedroń. „To naprawdę ekscytujące prawybory na lewicy. Wciąż nie wiemy, czy p. Śmiszek będzie kandydatem na prezydenta, a p. Biedroń na pierwszą damę, czy na odwrót. Naród zamarł w oczekiwaniu" – skomentował Roman Giertych. W odpowiedzi ***Czarzasty*** uderzył z całej siły: „Jest Pan kawałem zakompleksionego, próbującego ukryć swoją przeszłość i poglądy, chama". Obaj jacyś tacy nerwowi.

Czarzasty w opozycji jest jednak bardziej u siebie i biograficznie, i ideowo, i nic dziwnego, że to Giertych przeprosił. „Nie chodziło mi w ogóle o kwestie związane z orientacją RB [Roberta Biedronia] tylko o sprawę nepotyzmu, który krytykuję. Być może użycie określenia »pierwsza dama« mogło sugerować inną interpretację tego tt" – stwierdził. A więc jednak Canossa.

Prof. Andrzej Zybertowicz w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" ocenił, że gdy władza źle rządzi, to nie pomogą jej żadne media. „Jeśli ktoś za 100 zł nagle kupi dwa razy mniej paliwa niż wcześniej, to żadna opowieść o mądrej polityce gospodarczej go nie przekona" – mówił doradca prezydenta, dochodząc do wniosku, że „przy inteligentnej komunikacji strategicznej chyba nie trzeba mieć własnych mediów". Możliwe, lepiej jednak nie sprawdzać tej tezy w praktyce.

„Historyk" Jan Grabowski zrugał prezydenta Dudę za chęć zabrania głosu w imieniu polskich Żydów zamordowanych w Holokauście. Argumenty wątpliwej jakości, ale za to obelga – niesamowita. Otóż zdaniem Grabowskiego „trzeba doprawdy wielkiej dozy typowo słowiańskiej hucpy, żeby z takim ciężarem, z jakim nieudolnie mierzy się tu prezydent Duda, w ogóle ważyć się zabierać głos w imieniu żydowskich ofiar Zagłady". „Słowiańska hucpa" – to jednak nowe.

Paweł Adamowicz będzie miał swoją ulicę w centrum Warszawy. Decyzję podjął osobiście Rafał Trzaskowski, korzystając w tej sprawie z trybu przyspieszonego. Rzecznik ratusza wyjaśnił: to dlatego, że Adamowicz był „bezpośrednio związany" z prezydentem Trzaskowskim. Dlaczego więc swojej ulicy wciąż nie ma śp. Lech Kaczyński? Pan rzecznik odpowiedział: „Pan prezydent zaproponował radnym, by taka aleja w Warszawie powstała na Jazdowie, w parku im. Tadeusza Mazowieckiego". Czyli znów hucpa, żarty i próba upokorzenia. To do nich kiedyś wróci.

Fot. Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk

eprasa.pl 31f09d037d

Fot. Rudzenka/Shutterstock.com

Bardzo dziwna katastrofa

Iran

Boeing 737 ukraińskich linii lotniczych, który rozbił się dwie minuty po starcie z lotniska w Teheranie, wystartował z ponadgodzinnym opóźnieniem. Powodem zwłoki był przeprowadzany przez Iran atak rakietowy na amerykańskie bazy wojskowe w Iraku. Przestrzeń powietrzna nad irańską stolicą nie została zamknięta, ale na czas ataku wstrzymano starty samolotów. Już w pierwszych minutach po katastrofie pojawiły się wątpliwości co do jej przyczyn. Irańskie władze informowały o awarii silników, ukraińskie przedstawicielstwo w Teheranie potwierdziło tę wersję, ale wkrótce potem usunęło komunikat.

Brytyjski dziennik „Daily Mail" opublikował zdjęcia szczątków samolotu, na których widać podziurawioną pokrywę jednego z silników. Redakcja sugeruje, że uszkodzenia mogą być wynikiem eksplozji rakiety lub zderzenia samolotu z wojskowym dronem. Wersję o możliwym omyłkowym zestrzeleniu ukraińskiego samolotu pasażerskiego ze 176 osobami na pokładzie podała jordańska gazeta „Al-Hadath", której zdaniem pomyłka mogła być związana z wzięciem przez irańską obronę przeciwlotniczą ukraińskiego liniowca za przeprowadzający kontratak samolot amerykański.

Australijski ekspert ds. katastrof lotniczych Geoffrey Thomas, wypowiadając się dla ukraińskiego wydania „Deutsche Welle", powiedział, że jego zdaniem, po przeanalizowaniu nagrania filmowego zarejestrowanego przez jednego z widzów katastrofy, najbardziej prawdopodobnym uzasadnieniem tego, co się stało, jest wybuch na pokładzie. Tę wersję może potwierdzać podana przez ukraińskie władze informacja, że dwie osoby znajdujące się na liście pasażerów w ostatniej chwili nie wsiadły na pokład samolotu.

Reuters, powołując się na nieujawnione źródła w zachodnich służbach specjalnych, informuje, że ich przedstawiciele za najbardziej prawdopodobną przyczynę katastrofy uznają problemy techniczne. Jednak władze linii lotniczych UIA, należących do oligarchy Kołomojskiego, odrzucają taką możliwość. Podkreśla się, że za sterami samolotu siedziała doświadczona załoga. Jej wzmocnieniem był instruktor, który zawsze znajduje się w kabinie samolotów startujących z dość trudnego pilotażowo lotniska w Teheranie. Zdaniem linii lotniczych samolot był w bardzo dobrym stanie. Zakupiono go bezpośrednio od producenta w 2016 r. i nigdy nie było z nim żadnych problemów. Ostatni przegląd techniczny przeszedł dwa dni przed katastrofą. Jak czytamy w oświadczeniu, piloci nie informowali wieży o żadnych kłopotach, a wysokość 2,4 tys. m, do której wzniósł się samolot, uniemożliwia popełnienie błędu, który mógłby się zakończyć tragicznie.

Władze irańskie zdecydowały się nie wydawać czarnych skrzynek. Strona ukraińska prowadzi obecnie rozmowy z Teheranem w sprawie dopuszczenia jej przedstawicieli do zbadania przyczyn katastrofy.

Marek Budzisz

Wielka Brytania

Religia wege

Sąd w Wielkiej Brytanii orzekł, że weganizm z powodów etycznych jest wiarą filozoficzną. Na mocy ustawy Equality Act może więc podlegać ochronie prawnej. Sąd wydał taki wyrok, rozpatrując sprawę Jordiego Casamitjany, który pozwał Ligę przeciw Okrutnym Sportom za zwolnienie go z pracy. Mężczyzna miał sugerować, że środki funduszu emerytalnego tej organizacji są inwestowane w przedsiębiorstwa, które testują produkty na zwierzętach. Twierdzi też, że zwolniono go z powodu jego poglądów na temat weganizmu. Wyrok w tej sprawie zapadnie w lutym. Jednak już teraz sędzia przyznał, że weganizm powinien podlegać ochronie prawnej.

Sędzia Robin Postle z Norwich pośrednio przyznał też, że weganizm jest przekonaniem religijnym, bo opiera się na zasadach etycznych i moralnych. To bardzo ważny osąd, który bez wątpienia wkrótce doprowadzi do wysypu podobnych spraw. Nie tylko dlatego, że anglosaskie prawo opiera się na precedensach, lecz także z tego powodu, że w ten sposób zostanie przełamana bariera, jaką mieli dotąd ci, którzy próbowali prawnie usankcjonować zakaz krytyki określonych poglądów.

„Jestem bardzo, ale to bardzo zadowolony i mam nadzieję, że wszyscy weganie, którzy mi pomagali finansowo, będą mieli odczucie, że przyczynili się dla dobra wegan" – powiedział w BBC Casamitjana, który przyznaje w mediach, że unika nawet jeżdżenia autobusem, by nie przykładać ręki do tego, że insekty i ptaki rozbijają się o szybę pojazdu i giną. „To pozytywna wiara. Nie negatywna wiara. I dlatego powinna być chroniona" – perorował w rozmowie z mediami Anglik.

Skoro weganizm może zostać uznany za wiarę i mieć specjalną ochronę prawną, to dokładnie taką samą ochronę może mieć ekologizm. To zaś prowadzi do tego, że oba wierzenia będą chronione przepisami zakazującymi mowy nienawiści i dyskryminacji.

Łukasz Adamski

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl 31f09d037d

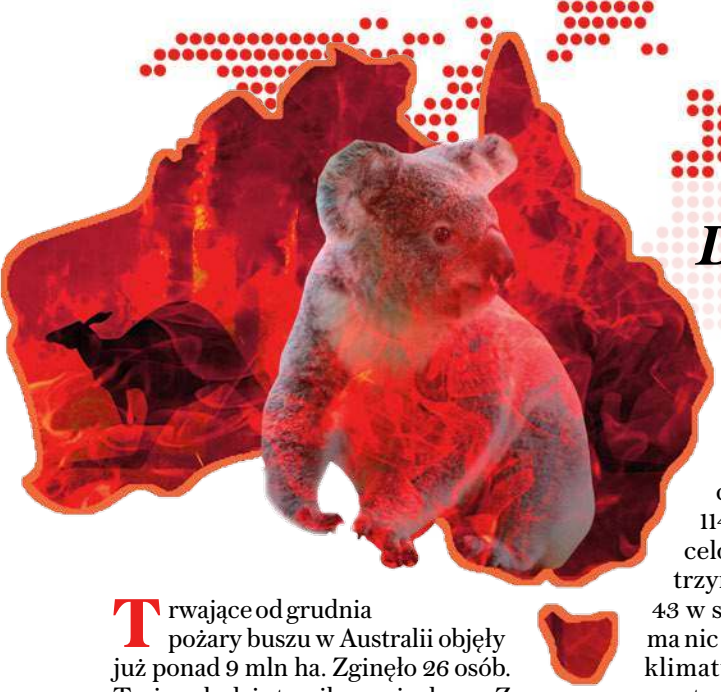

Dlaczego płonie busz

Australia

Trwające od grudnia pożary buszu w Australii objęły już ponad 9 mln ha. Zginęło 26 osób. Tysiące ludzi straciły swoje domy. Ze zdjęć satelitarnych wynika, że dym znad Australii dotarł aż nad odległe 11 tys. km Chile. Świat obiegły dramatyczne zdjęcia pokazujące poparzone zwierzęta, których miały zginąć miliony. Niektórzy twierdzą, że nawet pół miliarda, ale nie ma na to dowodów.

Pożarom towarzyszy bezprecedensowa fala fake newsów produkowanych przez obie strony sporu o zmiany klimatyczne. W sieci krążą fałszywe zdjęcia i mapy, a politycy, ekolodzy i eksperci spierają się o przyczynę katastrofy. Jedni wskazują na ocieplenie klimatu, drudzy mówią o celowych podpaleniach – w stanie Queensland między wrześniem a styczniem wybuchło według policji 1068 pożarów, z czego 114 zostało wznieconych celowo. W całym kraju zatrzymano 183 osoby, w tym 43 w stanie Wiktoria. „To nie ma nic wspólnego ze zmianami klimatu. Jeszcze nigdy nie aresztowano tylu osób podejrzanych o podpalenia, a to zapewne jeszcze nie koniec" – podkreślił deputowany liberałów Craig Kelly i znany sceptyk klimatyczny. Inni wytykają palcami ekologów, którzy mają utrudniać kontrolowane wypalanie buszu, przyczyniające się w przeszłości do zmniejszenia obszaru i intensywności pożarów. W Kalifornii, gdzie także szaleją pożary, prewencyjne wypalanie lasów zostało już pod wpływem ekologów zakazane, bo powoduje emisję dwutlenku węgla. W Australii zredukowano je do minimum. Protestuje przeciw temu ekspert ds. pożarów buszu dr Phil Cheney, który stwierdził, że „jedynym sposobem na zmniejszenie łatwopalności kory jest kontrolowane palenie" – mówił. Jak dodał, rdzenna ludność Australii praktykuje prewencyjne palenie buszu od tysięcy lat.

Do dyskusji wtrąciła się także Greta Thunberg, szwedzka aktywistka klimatyczna, która oskarżyła australijskie władze o bezczynność w walce o redukcję emisji CO_2. Politycy lewicy tymczasem chcą wykorzystać sytuację, aby przepchnąć przez parlament ustawę o ochronie klimatu. Niezależna deputowana Zali Steggall ogłosiła, że pożary buszu to idealna okazja, by przejść „od dyskusji nad klimatem do czynów". Oznacza to wyegzekwowanie od australijskich stanów spełnienia celu zerowej emisji CO2 do 2050 r. Miałaby nad tym czuwać komisja ds. zmian klimatycznych, której powołania domaga się Zegall. Na razie ustawa jest w powijakach, a nawet jeśli uda się ją napisać, nie wiadomo, czy spotka się z poparciem większości deputowanych.

Aleksandra Rybińska

Kwadratura koła

Chile

Z Chile dochodzą kolejne informacje, które rzucają nowe światło na przyczyny masowych protestów, jakie od trzech miesięcy pogrążają ten kraj w chaosie. Bezpośrednim powodem wybuchu zamieszek 14 października była podwyżka cen biletów na metro w Santiago de Chile o zaledwie o 30 pesos, czyli 4 centy USA. Tylko w ciągu pierwszych dwóch miesięcy w walkach z policją i wojskiem zginęło 26 osób, 5 tys. zostało rannych, a 28 tys. aresztowanych.

Przyczyna krwawego konfliktu wydaje się błaha, jednak stanowiła ona kroplę, która przelała czarę goryczy. Wcześniej doszło bowiem do całej serii podwyżek w różnych dziedzinach życia, które mocno uderzyły po kieszeni Chilijczyków. Z czym były one związane?

Otóż Chile uchodzi na świecie za prymusa w walce ze zmianami klimatycznymi. Choć kraj emituje zaledwie 0,1 proc. dwutlenku węgla na świecie, zobowiązał się doprowadzić do 2040 r. do całkowitej dekarbonizacji gospodarki. Budowa systemów energii odnawialnej zaczęła pochłaniać coraz większe sumy z budżetu, a więc z pieniędzy podatników. Na skutek nałożenia na wszystkie elektrownie węglowe podatku za emisję gazów cieplarnianych wzrosła też cena energii, co spowodowało podwyżki w różnych sektorach gospodarki, m.in. wyższe opłaty za metro.

Prym w antyrządowych wystąpieniach wiedzie dziś radykalnie nastawiona młodzież o poglądach lewicowych, domagająca się m.in. zdecydowanej walki z globalnym ociepleniem. Jeszcze miesiąc przed wybuchem zamieszek fetowała ona prezydenta Sebastiána Piñerę, który otrzymał w Nowym Jorku od Rady Atlantyckiej nagrodę jako globalny przywódca w walce ze zmianami klimatycznymi. Kilka tygodni później był już dla młodych wrogiem publicznym nr 1. A wszystko z powodu podwyżek cen.

Paradoks sytuacji polega na tym, że przestawienie się na alternatywne źródła energii wymaga wyrzeczeń i obniżki poziomu życia, na co już jednak nie ma zgody. Tego prostego łańcucha przyczynowo-skutkowego nie chcą dostrzec zwolennicy Nowego Zielonego Ładu w Chile. Nie da się zjeść ciastko i mieć ciastko.

Grzegorz Górny

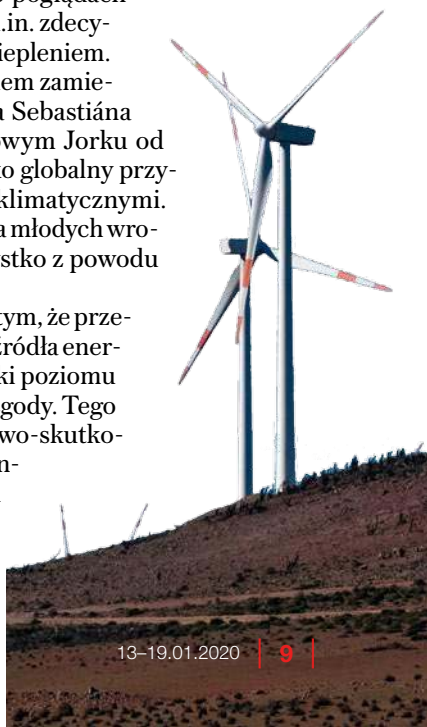

eprasa.pl 31f09d037d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Figury i bzdury

Jan Pietrzak

Kurski z „GW”: „Polska to zadufane w sobie dziwadło na peryferiach Europy”. Kurski to zadufane w sobie dziwadło na peryferiach targowicy.
Holland: „Ja bym założyła nowy kościół, ale brak mi czasu”. Przede wszystkim talentu.
Po latach absencji pojawiła się w Sejmie posłanka ***Senyszyn.*** Wydarzenie z cyklu „powrót mumii”.
Tusk zrezygnował ze startu w wyborach, ponieważ córka mu powiedziała: „My nie przeżyjemy, jak będziesz startował”. Kogo ona miała na myśli, mówiąc „my”?
Pan Grodzki kontynuuje misję pani Grodzkiej z kadencji PO. Ma zakłócenie tożsamości. Nie do końca rozumie, kim jest i co robi w tym miejscu. Jedzie do Brukseli, by to wyjaśnić.
Wierzbicki z SLD dokonał odkrycia: „Człowiek poczęty staje się człowiekiem dopiero w którymś miesiącu”. Przynależność partyjna sprawiła, że jest człowiekiem ledwo napoczętym...
Zawaliła się scena w Zakopanem, stawiana na sylwestra. Złośliwy halny chciał wydmuchać Zenka Martyniuka, ale nie dał rady. ***Prezes Kurski*** scenę posklejał i sylwester się odbył w piku.
Rabiej do biskupa: „Jędraszewski idź do diabła, tam jest twoje miejsce”. Pietrzak do Rabieja: „Rabiej idź do dupy, tam jest twoje miejsce”.
Nurowska: „Nie chcę cię takiej, Polsko. Wolałam cię pod protektoratem Rosji”. Odpowiedź Polski brzmi: „Nie chcę cię takiej Nurowska, wynoś się do Moskwy”.
Holandia zrezygnowała ze swojej nazwy, ponieważ kojarzy się całemu światu z prostytucją i narkotykami. Przyjęła nazwę: Niderlandy. Kurestwo i prochy pozostały te same.
Posłanka Mucha postanowiła kandydować na szefa PO, bo – jak powiedziała – to będzie nowy początek. Niestety Mucha to będzie stary koniec.
Kandydat Hołownia powiedział, że na Sądzie Ostatecznym sądzić będzie go świnia, którą zjadł. Po tym, jak sędziowie w Polsce się ześwinili, nastąpiła korekta Biblii w sprawie obsady Sądu Ostatecznego?

Z leśniczówki do archiwum

Z aktorem Henrykiem Talarem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Zamienił pan okazałą rezydencję z serialu „Leśniczówka” na ciasne archiwum?

Henryk Talar: Taka prawda, ale archiwum przyciąga ukrytymi w nim sprawami. Autentycznymi, nie wymyślonymi. I na dodatek nierozwiązanymi. Każdy z 13 odcinków serialu „Archiwista”, którego emisję rozpoczęła właśnie TVP1, nawiązuje bowiem do prawdziwych zdarzeń i niewyjaśnionych zbrodni, które tytułowy bohater będzie starał się rozwikłać.

Co przede wszystkim jest ważne w tych śledztwach?

Za próbą rozszyfrowania przeszłości kryje się zawsze złożone człowiecze pytanie: „Dlaczego stało się, jak się stało?”, ale też dlaczego nie zauważono kluczowego drobiazgu, śladu, który odkryty zostaje po latach. I bywa tak, że rzeczywistość ekranowa okazuje się tożsama ze współczesnością.

Zdjęcia do serialu nie były realizowane ani w Warszawie, ani w Krakowie, w Łodzi czy Wrocławiu...

...ale w równie atrakcyjnym wizualnie, a nieogranym mieście, czyli w Żyrardowie.

Mam wrażenie, że bohater „Archiwisty” daleki będzie od wytrawnego gracza Bogdana Karcza z „Leśniczówki”.

Proszę się nie czepiać Karcza, bo też mu wiatr w oczy... Wracając do „Archiwisty”, tu naprawdę mniej idzie o sprawy, a bardziej o ludzi, którzy zostali w nie zamieszani. Zarówno po stronie zła – z pytaniem „dlaczego?” – jak i po stronie dobra, czyli ofiar. Uwikłania bywają różne.

Fot. Piętka Mieszko/AKPA

eprasa.pl 31f09d037d

BRONISŁAW WILDSTEIN

Opór prowokuje terrorystę

Grupa ludzi z zawiązanymi oczami klęczy nad zbiorową, wypełnioną szczątkami ludzkimi mogiłą. Żyją jeszcze, bo ich kat, który z pistoletem w ręce przygotowywał się do egzekucji, sam leży zabity. To ilustracja opublikowana na stronie IranWire, emigracyjnego portalu irańskiego, przez znanego grafika tej narodowości z okazji zabicia przez Amerykanów Kasema Sulejmaniego. Ten dowódca najważniejszej jednostki w Korpusie Strażników Rewolucji Islamskiej był głównym architektem i wykonawcą terroryzmu na Bliskim Wschodzie.

Joe Biden, najprawdopodobniej kandydat demokratów w najbliższych wyborach prezydenckich w USA, stwierdził, że wydając zgodę na zabójstwo Sulejmaniego, Trump „wrzucił laskę dynamitu do beczki prochu". Jego zdaniem prezydent USA jest „winien Amerykanom wyjaśnienie strategii i planu utrzymania bezpieczeństwa naszych oddziałów i personelu ambasady, naszych ludzi i interesów". Warto dodać, że jedną z przyczyn uderzenia w Sulejmaniego była organizowana przez niego i nasilająca się terrorystyczna kampania w Iraku, której elementem był atak na ambasadę amerykańską. Kolejne uderzenia w ten cel były przez niego przygotowywane.

Inny demokrata, senator Tom Udall, ogłosił, że śmierć Sulejmaniego „może narazić amerykańskie siły oraz obywateli na niebezpieczeństwo". W ostatnich atakach szefa Al-Kuds w Iraku zginął m.in. Amerykanin. Polska opozycja totalna ma się od kogo uczyć.

Ostatnie wydarzenia spowodowały, że z gabinetu figur woskowych na forum publiczne wydostała się znana kiedyś komediantka Jane Fonda, która krzyczy dziś m.in.: „Czy wojna w Wietnamie niczego nas nie nauczyła?".

Trzeba przyznać jej rację. Ta miłośniczka Wietkongu przybyła do Wietnamu w czasie wojny i nie tylko robiła sobie fotki z żołnierzami walczącymi z jej rodakami. Odwiedziła również więzienie, gdzie przetrzymywani i torturowani byli jeńcy amerykańscy, i nie zauważyła wszelkich prób przekazania jej informacji w tej sprawie. To, że ciągle może ona funkcjonować publicznie, świadczy, że nie tylko w III RP nie można się skompromitować.

Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel na wiadomość o śmierci Sulejmaniego zadeklarował, że „za wszelką cenę trzeba uniknąć dalszej eskalacji" – co zrozumieć można było jako zawoalowaną krytykę Trumpa. To, że terroryści sieją terror, jest przecież wiadome. Eskalacja polega na próbie przeciwstawienia się im. Podobnie wypowiedziała się rzeczniczka rządu niemieckiego.

Symptomatyczny komentarz ogłosił publicysta „GW" Konstanty Gebert. Przytaczam go nieco szerzej, gdyż używana w nim retoryka jest charakterystyczna dla oburzonych tym, że Ameryka przeciwstawia się terrorystom.

„Waszyngton podał, że Sulejmaniego zabito, gdyż był odpowiedzialny za śmierć Amerykanów i szykował nowe zamachy, w których mogłyby zginąć setki ludzi. Tyle tylko, że Sulejmani zabijał Amerykanów od lat kilkunastu, a USA nie podjęły dotąd prób jego zabicia. Tym samym milcząco uznały, iż taki poziom strat jest do przyjęcia, co z kolei wpływało moderująco na reakcje Iranu wobec strat, które zadawali im Amerykanie". Autor tłumaczy nam więc, że jeśli terrorysta żyje, to znaczy, że Amerykanie akceptują jego działalność. I dalej: „Co zaś powodowało Trumpem – nie wiadomo; prezydent w ostatnich miesiącach zachowywał się wobec Iranu wręcz powściągliwie, nie reagując na ataki na tankowce czy saudyjską rafinerię, a równocześnie namawiając Teheran do zawarcia z nim kompromisu". Próba kompromisu oznacza zdaniem Geberta zgodę na terroryzm, a odpowiedź siłą w momencie eskalacji przemocy jest dla niego niezrozumiała. Okazuje się, że można kpić z elementarnej logiki oraz zdrowego rozsądku i nadal funkcjonować jako „uznany publicysta".

Wreszcie pointa: „Świat bez Sulejmaniego stał się dużo bardziej niestabilny i niebezpieczny". Przypominają się wiekopomne kwestie komentatorów z lat 30., którzy pisali, że świat bez Hitlera czy Stalina byłby bardziej niestabilny i niebezpieczny. Ci jednak mieli w zanadrzu mitycznych twardogłowych, którzy mogli podobno zastąpić wspomnianych dyktatorów – tak, tak oni jak i inni krwawi tyrani zawsze prezentowani byli przez doświadczonych dyplomatów i rozsądnych publicystów zachodnich jako ludzie środka.

O Sulejmanim nie sposób tak powiedzieć i nawet najbardziej doświadczeni oraz rozsądni na to się nie zdobyli. Złe jest po prostu samo przeciwstawienie się bandziorowi, a najgorsi są ci, którzy się tego podejmują. Nic dziwnego, że we Francji czy w Niemczech większość za największe zagrożenie dla pokoju uznaje Trumpa. Putin? Skądże! Nie należy go tylko prowokować.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31f09d037d

OGNIEM NA WPROST

Lekcje pokory

32-letni Gadzhimurad Antigulow to rosyjski zawodnik mieszanych sztuk walk wagi półciężkiej. Pochodzi z Dagestanu, gdzie większość wyznawców islamu reprezentuje jego łagodniejszą odmianę – sufizm, walcząc jednocześnie z agresywnymi wahabitami, którzy ostatnio cieszą się coraz większą liczbą wiernych. Nie wiem, czy Antigulow jest sufi czy wahabitą, ale na pewno pyszałkowatość to jedna z cech jego charakteru. Ostatnio przed walką z Polakiem Michałem „Lordem" Oleksiejczukiem chciał zaimponować publice, postponując przeciwnika. Kiedy stanęli naprzeciwko siebie, Dagestańczyk zmierzył go groźnym wzrokiem, po czym błyskawicznie złapał za gardło i silnie odepchnął. By nie doszło przedwcześnie do starcia, ochroniarze odsunęli butnego Ruska, a ten ciągle wierzgał i wyrywał się, chcąc dopaść Polaka. Sala, która już niejedno widziała, zawyła, dziwiąc się tak niesportowemu zachowaniu. Natomiast Antigulow spokojnie zdjął z pleców biało-czerwoną flagę, obnażając tors z wytatuowanym wąsatym szlachciurą nad prawą piersią i modlącą się kobietą w aureoli na głowie (zapewne Najświętsza Panienka) po lewej stronie. W walce poszło już raz-dwa. Szybki nokaut. Gdyby sędzia nie zasłonił leżącego Dagestańczyka swoim ciałem, doszłoby do masakry w 44. sekundzie starcia. U sufich są trzy rodzaje dróg prowadzących do Boga: mądrość, miłość i bojaźń. Antigulow nie skorzystał z żadnej z nich.

61-letni Tomasz Grodzki też jest fighterem poważnego kalibru. Choć w polityce jest od niedawna, zdążył już wskoczyć na wysokie obroty. W końcu trudno się dziwić, skoro w imieniu całej opozycji prowadzi sam jeden politykę zagraniczną, wskazując rządowi drogę właściwego załatwiania spraw oraz naprawiania popsutych stosunków z praktycznie całym światem. A to zaprosi rosyjskiego ambasadora do swojego gabinetu akurat w tym dniu, kiedy Putin z Moskwy obrzuca kalumniami jego kraj, a to ściągnie własnemu rządowi na głowę Komisję Wenecką w czasie wojny o reputację Polski na międzynarodowej arenie. Jednym słowem – dyplomata pełną gębą. Jak trzeba, umie też posłużyć się kłamstwem niczym Talleyrand albo nie przymierzając książę Metternich. W nawale pracy na niwie polityki zagranicznej zdaje się zapominać, że w tym czasie do szczecińskiej prokuratury zdążyła się już ustawić kolejka świadków niczym pacjentów do jego lekarskiego gabinetu, zeznających że brał łapówki. Ale na szczęście znalazł się jeden sprawiedliwy, który poświadczył prawdę: to agenci reżimu pukają od drzwi do drzwi, proponując byłym pacjentom dr. Grodzkiego pieniądze za fałszywe zeznania. Co prawda sam obrońca prawdy był ubekiem przez 30 lat, a jego największym życiowym sukcesem stało się złożenie donosu do pracodawców na własną żonę już rok po ślubie, ale jakie to ma znaczenie. Tym bardziej że w tym czasie marszałek Senatu gościł się na wyproszonym spotkaniu w Brukseli u komisarz Jourovej, biorąc za tłumaczkę żonę byłego szefa WSI generałową Dukaczewską. Oj, szykuje się nokaucik w stylu „Lord" Oleksiejczuk vs. Antigulow już na początku kadencji.

Władze Iranu od lat drażniły Stany Zjednoczone na różne sposoby: od budowy bomby atomowej począwszy, na różnych terrorystycznych akcjach skończywszy. Usiłowały w miarę skutecznie wbić klin w amerykańsko-europejskie stosunki, kiedy trzeba, łasiły się do Putina albo starały się rozgrywać kartę chińską. Wszystko po to, by pokazać znienawidzonej administracji waszyngtońskiej, gdzie jej miejsce. Ostatnio tak się rozbrykały, że zaczęły porywać tankowce w zatoce Ormuz, a wysłany na Bliski Wschód gen. Sulejmani (prawa ręka ajatollaha Chameneiego) knuł spiski w Iraku, szykując ataki na tamtejsze bazy US Army i ambasadę. Sny o potędze przerwał jeden lot „Żniwiarza". Wystrzelone z drona cztery rakiety Hellfire spowodowały wyparowanie w ułamku sekundy irańskiego wojaka wraz z jego irackim kolegą. Na domiar złego w pogrzebie generała na ulicach Teheranu stratowało się na amen 50 osób krzyczących „Zemsta!" i „Śmierć Ameryce!". Świat wstrzymał oddech w obawie przed odwetem, a wraz z nim rodzima opozycja. Ciężko wystraszeni zażądali natychmiastowego wycofania naszego kontyngentu z Iraku (tuzy z Konfederacji) i potępienia USA za zabójstwo Sulejmaniego (Lewica). W ramach rewanżu Persowie wystrzelili kilka rakiet w kierunki baz amerykańskich w Iraku o celności niemieckich V2 z czasów II wojny światowej, po czym ogłosili swojemu narodowi, że zgładzili 70 Amerykanów. I po odwecie. Rodzimym domorosłym politykom z opozycji można tylko zacytować klasyka – „Wam kury szczać prowadzać, a nie polityką się zajmować" i polecić baczną obserwację rozwoju sytuacji na Bliskim Wschodzie w kontekście lekcji pokory, jakiej Amerykanie udzielili Irańczykom.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31f09d037d

Mały kraj, wielki potencjał

Marta Kaczyńska-Zielińska

„Splendor i finezja. Duch i materia w sztuce koreańskiej" to wystawa, którą na przełomie roku można było zwiedzać w Muzeum Narodowym w Warszawie. Prezentacja obejmowała okres od czasów prehistorycznych aż po koniec XIX w. Zwiedzający mogli prześledzić dzieje Korei, począwszy od paleolitu i neolitu aż po schyłek ery Joseon. Najstarsze eksponaty obejmowały zarówno tajemnicze przedmioty używane przez szamanów, jak i ozdoby sprawiające wrażenie współczesnych, jak choćby zapinki do pasa w kształcie koni. Kolejna odsłona historii azjatyckiego państwa to zbiory pochodzące z okresu Trzech Królestw: Goguryeo, Baekje i Silla oraz federacji wodzostw o nazwie Gaya. Centralnym punktem przestrzeni poświęconej wspomnianemu okresowi była datowana na VI w. ceremonialna złota korona z Królestwa Silla oraz oryginalna biżuteria. Kuratorzy wystawy sporo miejsca poświęcili buddyzmowi, który kształtował kulturę koreańską od IV w. Zabytki z okresu panowania dynastii Yi (okres Joseon) to przede wszystkim królewskie szaty, parawan z malowidłem przedstawiającym symboliczne słońce, księżyc i pięć szczytów, kobiece akcesoria, takie jak szpilki do włosów czy puzderka oraz rękopis listu napisanego w alfabecie koreańskim (Hangul). Ostatnia z zaprezentowanych epok to czas, w którym w społeczeństwie koreańskim dominował neokonfucjanizm.

Wystawa została zorganizowana w związku z 30. rocznicą nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Koreą Południową a Polską. Nie ulega wątpliwości, że do jej zaistnienia przyczyniło się także rosnące zainteresowanie naszych rodaków kulturą tego odległego azjatyckiego państwa, z którym – jak się okazuje – łączy nas więcej niż tylko wszechobecna elektronika czy też coraz częściej słyszany w radiu i podbijający listy przebojów na całym świecie k-pop.

Korea Południowa to państwo o położeniu geopolitycznym, które w historii zostało naznaczone licznymi konfliktami ścierających się ze sobą mocarstw, obciążone widmem wznowienia formalnie wciąż niezakończonego konfliktu ze swoim totalitarnym sąsiadem. Pod koniec lat 80. XX w. ten położony na wąskim półwyspie górzysty, liczący prawie 50 mln mieszkańców kraj był przypisywany do strefy tzw. Trzeciego Świata. Obecnie Korea posiada jedną z najprężniej rozwijających się innowacyjnych gospodarek, a jej firmy produkujące smartfony, samochody, sprzęt RTV i AGD odnoszą sukcesy na całym świecie. Liczne zespoły muzyczne, coraz częściej nagradzani twórcy filmowi i inne narzędzia soft power sprawiają, że w ostatnich latach zapanowała swoista moda na Koreę, a wielu młodych ludzi, także w Polsce, uczy się języka koreańskiego, mimo że jest on jednym z najtrudniejszych do opanowania.

„Pragnę, aby nasz kraj był najpiękniejszy na świecie. Nie najbogatszy i najpotężniejszy. Cierpieliśmy pod obcą okupacją i nie chcę, żebyśmy i my atakowali innych (...). Pragnę, by nasz kraj stał się źródłem, standardem i wzorem nowej wyrafinowanej kultury. Pragnę, by w ten sposób ideał prawdziwego pokoju mógł być w naszym kraju ucieleśniony i rozprzestrzeniony po całym świecie". To cytat Kim Gu, koreańskiego polityka, prezydenta Tymczasowego Rządu Koreańskiego, który działał na uchodźctwie w trakcie japońskiej okupacji, zamieszczony w niezwykle interesującej książce autorstwa Marcina Jacoby „Korea Południowa. Republika żywiołów". Można odnieść wrażenie, że od kilku dekad Koreańczycy podejmują wszelkie starania, aby marzenie azjatyckiego działacza niepodległościowego się ziściło.

Polska jest ostatnio nazywana w Europie lokomotywą wzrostu gospodarczego. Mamy bogate dziedzictwo. Jesteśmy narodem kochającym wolność i przez wieki udowodniliśmy światu, że potrafimy o nią walczyć. Jesteśmy jedynym państwem, które w ciągu ostatnich 30 lat odnotowało tak duży wzrost PKB. W swoim tempie gospodarczym wyprzedziliśmy najprężniejsze gospodarki azjatyckie i po raz pierwszy w naszych dziejach jesteśmy tak blisko poziomu zamożności najbogatszych krajów Europy. Pozostaje nam utrzymać ten kurs, promować polskie marki i pielęgnować... modę na Polskę.

Panu

Piotrowi Kędziorze

dyrektorowi Biura Legislacyjnego Kancelarii Sejmu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu

z powodu śmierci

TATY

składa

Szef Kancelarii Sejmu

Agnieszka Kaczmarska

wraz z pracownikami

14/0120/F

eprasa.pl 31f09d037d

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Obłęd

Bideford, miejscowość w Wielkiej Brytanii, zmienia tablice wjazdowe, bo kojarzy się z rasizmem. Chodzi o miasto, które po pierwsze, faktycznie jest małe, po drugie, dominuje w nim biały kolor zabudowy. Bideford leży w nadmorskim hrabstwie Devon. Teraz, jak podaje „The Telegraph", tablice mają być zmienione. Wszystko przez przydomek, jaki miejscowość uzyskała, „Małe Białe Miasteczko". Część radnych uznała nagle, że określenie „białe" może być interpretowane jako rasistowskie. Tylko czekać, jak ktoś postanowi zmienić nazwy kolorów farb. Przecież używanie farby czarnej, żółtej albo białej może być odczytane jako akt nietolerancji. Może ktoś wie, gdzie kończy się poprawność polityczna, a zaczyna obłęd?

1,8 mln dol.

– taką cenę uzyskał na noworocznej aukcji w Tokio na rynku Toyosu ważący 276 kg tuńczyk błękitnopłetwy.

900

– przez tyle miejscowości w Polsce przeszły orszaki Trzech Króli.

4,0 proc.

– o tyle w 2020 r. wzrośnie wartość branży spożywczej w Polsce. Tak wynika z szacunków zawartych w najnowszym raporcie „Market Monitor".

Szczyt nowoczesności

„Transpłciowy mężczyzna pozostający w związku z niebinarnym partnerem został matką" – informuje za Sky News portal rp.pl. „Reuben Sharpe ma 39 lat. Urodził się kobietą. 12 lat temu rozpoczął kurację hormonalną, w wyniku której obniżył mu się głos, a na twarzy pojawił się zarost. Sharpe zorientował się, że pragnie mieć dziecko. Od swojego lekarza (także osoby transseksualnej) dowiedział się, że ponieważ wciąż ma macicę i jajniki, może zostać matką" – czytamy na portalu. Zabieg sztucznego unasiennienia zakończył się sukcesem, a dziecko przyszło na świat przez cesarskie cięcie. Podsumowując: malucha urodziła matka, która jest mężczyzną i żyje w związku z partnerem, który nie definiuje się ani jako kobieta, ani jako mężczyzna. Dziecko nie będzie więc miało ani matki, ani ojca, tylko dwójkę rodziców. Z nowym rokiem nowoczesnym krokiem!

Raj na ziemi

W wywiadzie z „Gazetą Wyborczą" Donald Tusk stwierdził, że po śmierci pójdzie do nieba, a przynajmniej tak twierdzi jego córka. Czy sobie na to zasłużył? „Tyle tego... Żartuję. Ale jak lecę do Polski i samolot kołuje nad Warszawą czy Gdańskiem, to widać, ile zbudowaliśmy. Nie miałem kilofa w ręku, ale to się stało w czasach, kiedy byłem premierem. Udało nam się, bez porównania z jakimkolwiek innym krajem w Europie, wykorzystać środki europejskie. Nazywałem to – tylko trochę na wyrost – drugą odbudową Polski po wojnie" – powiedział w rozmowie z gazetą były premier. Co za skromność! Przecież Tusk mógł powiedzieć, że osobiście stworzył raj na ziemi.

eprasa.pl 31f09d037d

200 lat!

Najstarsza osoba na świecie, Kane Tanaka, obchodziła niedawno 117. urodziny. Japonka już rok temu została wpisana do Księgi rekordów Guinnessa. W domu opieki, w którym mieszka kobieta, wyprawiono jej huczne przyjęcie. Jednak pani Tanace do historycznego rekordu brakuje jeszcze pięciu lat. Najstarsza osoba w historii miała 122 lata. Była to Francuzka Jeanne Louise Calment. 200 lat w zdrowiu, pani Kane!

„Mnie bardzo kusi to, by na przykład zgłosić się do Telewizji Polskiej z orędziem i co tydzień na antenie TVP informować o swoich przemyśleniach i o tym, co się dzieje w tym świecie, który ja widzę" – zapowiedział kandydat na prezydenta Szymon Hołownia. A dlaczego nie codziennie? Przecież narodowi mogłyby umknąć jakieś bezcenne przemyślenia."

Ekopostęp

Niemiecka publiczna stacja radiowo-telewizyjna Westdeutscher Rundfunk (WDR) opublikowała piosenkę chóru dziecięcego. Dzieci śpiewały o babci, która nie prowadzi „ekologicznego" trybu życia. „Moja babcia to stara świnia ekologiczna" – brzmiały wersy piosenki. Po tym jak w mediach społecznościowych wybuchła afera krytykująca stację za takie treści, WDR zdecydowała o usunięciu materiału. O sprawie informował m.in. portal TVP.Info. Dzieci śpiewały przeróbkę znanej piosenki. Słowa jednej ze zwrotek brzmiały: „Moja babcia jeździ motocyklem w kurniku. To tysiąc litrów benzyny każdego miesiąca. Moja babcia jest starą świnią ekologiczną". Cały utwór kończyły słowa nastoletniej ekoaktywistki Grety Thunberg: „Nie darujemy ci tego". Dziś takie mamy czasy, że właściwie należałoby odetchnąć z ulgą, że dzieci nie nawoływały do urwania babci łba albo do jeszcze czegoś gorszego. Jednak jest bardziej straszno niż śmieszno.

Fot. Andrzej Wiktor, GeFundme, Shutterstock (x2)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Chuck Grodzki

Dominik Zdort

„Spotkanie Grodzkiego z ambasadorem Iranu odwołane" – w środę po południu alarmowały najważniejsze w Polsce portale internetowe. Pomyślałem sobie: ho, ho, skoro „trzecia osoba w państwie" podejmuje tak znaczącą decyzję niedługo po tym, gdy rakiety irańskie uderzyły w amerykańskie bazy, to już nie przelewki. Tym bardziej że marszałek Senatu niedawno chwalił się na swojej stronie internetowej aktywnością na arenie międzynarodowej – wymienił szejkhendy z dziewięcioma ambasadorami i zilustrował to imponującym kolażem ze zdjęć. Jeśli taki tytan dyplomacji nie przyjmie ambasadora Iranu, to wojna jest o krok.

Wczytałem się w komunikat wydany przez Centrum Informacyjne Senatu i odetchnąłem – marszałek powstrzymał się od wydania rozkazu wystrzelenia rakiet na Teheran. Na razie. Co więcej, zachował prawdziwie prezydencką delikatność – nie zadeklarował, że odwołuje spotkanie z powodu napiętej sytuacji politycznej, lecz dlatego, że do Polski przybyła delegacja Komisji Weneckiej. Uznał, że zabiegi o wspieranie naszej demokracji przez ajatollahów mogą poczekać – zacznie od zapytania europejskich prawników o to, jakie przepisy może wprowadzić polski parlament.

Nie będę ukrywał, że przewodniczący izby wyższej mi imponuje. Jest świadom, jak wielką sprawuje władzę. Gdy obejmował stanowisko, uznał się za inkarnację Tadeusza Mazowieckiego i naśladował jego gest z 1989 r. Niedawno głosząc – na tle choinki oraz sztandarów polskiego i unijnego – jedno orędzie na Boże Narodzenie i nowy rok, postawił się jednocześnie w funkcjach prymasa i prezydenta. Skromnie mówi o sobie, że jest trzecią osobą w państwie (i rzeczywiście – formalnie można się tej trzeciorzędności dopatrywać), ale wie, że naprawdę jest kimś znacznie ważniejszym: interrexem, który przeprowadzi Polskę przez czasy niewoli do epoki demokracji.

Obawiam się, że na tym się nie skończy. Prorządowe media powinny na stałe zainstalować kamery i mikrofony w gabinecie marszałka i spijać każde słowo z jego ust, pokazywać każdy jego gest. Bo tylko Tomasz Grodzki stoi szybciej, niż inni biegną. Potrafi przeskoczyć Mur Chiński – wszerz. Wynalazł bezprzewodową słuchawkę do prysznica. Biega szybciej niż antylopa, skacze dalej niż kangur i potrafi siedzieć w miejscu dłużej niż mnich buddyjski. I ściągnął internet na dyskietkę. Chuck Norris mógłby się tego wszystkiego od niego uczyć.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

epra.pl 31f09d037d

RZECZY POSPOLITE

Szare Szeregi

Tomasz Łysiak

W tym roku czeka nas mnóstwo okrągłych rocznic. Wśród najbliższych, styczniowych, chciałbym zwrócić uwagę na rozwiązanie harcerskiej organizacji konspiracyjnej, czyli Szarych Szeregów (17 stycznia 1945 r.). Działo się to w smutnym czasie „wyzwalania" Polski spod okupacji niemieckiej i zastępowania jej przez sowiecki reżim totalitarny, który miał nas niewolić dalej, ukrywając prawdziwe oblicze pod fasadą komunistycznych haseł o wolności i równości. Jaka była prawda, najlepiej świadczą słowa rtm. Pileckiego, który po ubeckich torturach stwierdził, że przy nich Auschwitz to „była igraszka".

Szare Szeregi powstały we wrześniu 1939 r., stając się bojowym związkiem harcerskim. Na czele Głównej Kwatery Harcerzy, czyli „Pasieki", stał naczelnik (kolejno Marciniak „Nowak", Broniewski „Orsza" i Marszałek „Jan"), a kraj został podzielony według struktury, w której wydzielono i GG, i tereny włączone do Niemiec, i te zagrabione przez Sowietów. Nazwy w strukturze były „pszczele": hufce – „roje", drużyny – „rodziny", chorągwie – „ule". Najmłodsi służyli Polsce w grupie Zawiszaków, starsi byli członkami Bojowych Szkół, a najstarsi, mający ukończone 18 lat, tworzyli Grupy Szturmowe.

Akcja bojowa pod Kraśnikiem, utworzenie batalionu „Zośka", zamach na Kutscherę czy odbicie więźniów pod Arsenałem (w tym „Rudego") – to dla nas składniki narodowej dumy i pamięci. Nie zapomnimy też nigdy działań Szarych Szeregów w trakcie powstania warszawskiego. Najważniejsze jest jednak chyba to, co Szare Szeregi zostawiły po sobie – dziedzictwo duchowe dla kolejnych pokoleń młodzieży polskiej.

Dlaczego to wszystko przypominam? Bo żyjemy w czasie podłym. W czasie, w którym coraz trudniej wychować dzieciaki na porządnych ludzi, w sensie oczywiście nie materialnym, tylko duchowym – zalewane są bowiem zewsząd propagandą łatwego i wygodnego życia oraz skupiania się na sobie. Jakie wzorce widzą na pierwszych stronach gazet? Nieletnią i źle wychowaną Gretę, którą upewniono w tym, że ma prawo pouczać cały świat, strojąc groźne i bezczelne miny?

Czy jest jeszcze pole i czas, by dzisiaj działające organizacje harcerskie stały się ważnym elementem wychowania kolejnych pokoleń młodych ludzi?

Komunistyczne szmaty

Piotr Cywiński

Zacznę od końca, pisownia oryginalna: „Towarzyszu [tu pada imię i nazwisko – dopisek mój], w czasach mojego dzieciństwa, jakieś 50 lat popularne było takie powiedzonko »Kto się przezywa, tak samo się nazywa« Dzisiaj to idealnie pasuje do waszej postawy towarzyszu [tu znów pada nazwisko]". Albo, powtórzę – pisownia oryginalna: „Stary zgorzchniały komuch zamilcz ty stare pudło, jak ci nie wstyd". Czy: „Ty [nazwisko adresata], nie godzien jesteś nawet butów lizać szujo prl-u". Może jeszcze to: „Facet zamknij ten fałszywy pysk. Zapomniałeś już jak śpiewałeś żeby POLSKA była POLSKĄ. Teraz zgarnołeś kasę od pisowców i śpiewasz to za co Ci zapłacili. WSTYD starcze"... Czyli właściwie wszystko jest już jasne, przynajmniej dla tych, którzy wiedzą, że gdy „ten" śpiewał „Żeby Polska...", wszyscyśmy słuchali na stojąco, jak hymnu, i w Polsce, i za oceanem, gdziekolwiek.

Tak jest, o Janka Pietrzaka chodzi, do którego skierowane są te i inne, internetowe wymiociny, jak na przykład: „Byś się gnojku ustatkował, szmato komunistyczna, parszywcu i gnido. Wynocha z Polski!!!". Czy ten: „Pietrzak, to popierdolony komuch, który w PRL wiedział, jak brać judaszowe srebrniki, a dzisiaj jest przydatnym idiotą Kurdupla... Wy tow. Pietrzaku nie dorastacie do kostek przewodniczącemu EPL Tuskowi". Albo: „Wstyd i hańba że tak, bezwartościowy kabareciarzu, wyrażasz się o światowej klasy Polityku, jakim jest Premier Donald Tusk. No ale mohery PiSowskie tak mają"...

Aby nie przyczyniać się do pożądanego przez nich rozgłosu, nie podaję nazwisk czy nicków autorów tych wpisów ani portalu, który po swojemu opisał felieton Pietrzaka – jak go przedstawił – „jednego z najbardziej zagorzałych propagandzistów rządów PiS i tzw. dobrej zmiany". A traktował on o „człowieku fałszywce" Donaldzie Tusku oraz strategii opozycji walczącej o powrót do władzy. Pal sześć, że hasła wzywającego do obalenia z pomocą „ulicy i zagranicy" demokratycznie wybranego rządu nie wymyślił Pietrzak, to nie jego śpiewka. Warto zwrócić uwagę, kim są wylewający na niego swą żółć i wiadra pomyj. Widać to na zdjęciach opatrujących cytowane przeze mnie wpisy: łyse, siwe, zakodowane głowy płci obojga, zapewne dawni beneficjenci PRL, pozujący a to podczas wycieczki do Paryża na tle wieży Eiffla, a to na tle swych nowych aut, które nijak nie przypominają trabantów, triumfu komuszej myśli technicznej nad zdrowym rozsądkiem.

Cóż, wygląda na to, że 30 lat po plajcie komunistycznego reżimu patriotyczne pragnienie Janka, „żeby Polska, była Polską", nie straciło na aktualności...

eprasa.pl 31f09d037d

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, AFP/EAST NEWS, DE VISU/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK x4

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Czy wierzy Pani/Pan w to, że Tomasz Grodzki przyjmował łapówki w czasach, gdy pracował jako chirurg oraz pełnił funkcję ordynatora i dyrektora szpitala Szczecin-Zdunowo?

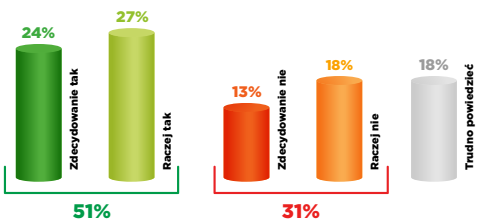

Na ile zgadza się Pani/Pan lub nie zgadza się Pani/Pan z danym stwierdzeniem dotyczącym Polski i Unii Europejskiej? – **Polskę czeka lepsza przyszłość poza Unią Europejską**

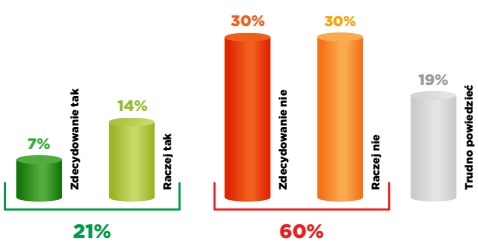

Czy popiera Pani/Pan odebranie przywilejów emerytalnych byłym funkcjonariuszom służb PRL takim jak SB (Służba Bezpieczeństwa) i UB (Urząd Bezpieczeństwa)?

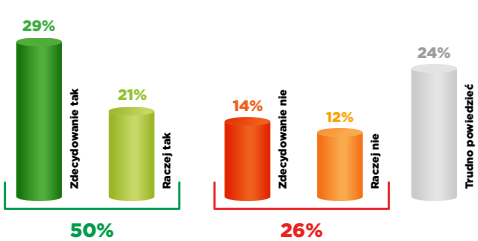

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1044.

Zakres czasowy badania 20–24 grudnia 2019 r.

eprasa.pl 31f09d037d

Najpierw szantaż, potem groźby, a na koniec użycie fałszywek w mediach. Tak działał tandem złożony ze Zbigniewa S. oraz Piotra K. ps. Broda, którzy na swój cel wzięli rodzinę Zbigniewa Ziobry, jego samego oraz polityków Zjednoczonej Prawicy. Plan zdyskredytowania prokuratora generalnego oraz jego żony Patrycji Koteckiej to szokujący rewanż za bezkompromisową walkę ministra sprawiedliwości ze światem zorganizowanej przestępczości

Za dyskredytującymi ministra i jego żonę materiałami miał stać wg prokuratury Zbigniew S.

Kto chce zniszczyć rodzinę Ziobrów

WOJCIECH BIEDROŃ

W październiku 2019 r. do budynku Ministerstwa Sprawiedliwości wchodzi Zbigniew S., internetowy hejter, znany m.in. z opublikowanych przez siebie kilka lat temu akt sprawy „afery podsłuchowej", wielokrotnie zatrzymywany i zamieszany w liczne przekręty „biznesmen". Domaga się spotkania ze Zbigniewem Ziobrą, jest chamski i agresywny. Do żadnego spotkania oczywiście nie doszło, ale wściekły Zbigniew S. publicznie grozi śmiercią najbliższym ministra. Za to i inne przewinienia Zbigniew S. słyszy kolejne zarzuty. Dziś ma ich na koncie 188.

FAŁSZYWKI I ZARZUTY

Wkrótce potem następuje medialny atak na żonę ministra. W sieci kolportowane są plotki związane z przeszłością Patrycji Koteckiej. Powszechnie znany fakt, że była ona niegdyś modelką, zaczęto łączyć z jej rzekomymi kontaktami z grupami przestępczymi, które zdaniem rozsiewających te plotki „wywindowały" ambitną modelkę, a potem dziennikarkę na sam

eprasa.pl 31f09d037d

szczyt. Kolejny ruch to fałszywe zdjęcia, często o pornograficznym charakterze, które Zbigniew S. publikuje w oparciu o „informacje" Piotra K. ps. Broda – kryminalisty i jednego z największych mitomanów polskiej przestępczości. Dziś już wiemy, że fotografie te nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Zostały one drobiazgowo przeanalizowane przy użyciu najnowocześniejszych technik kryminalistycznych. Fałszywki mają jednak na celu skompromitowanie najbliższej osoby Zbigniewa Ziobry.

Kolejne zdjęcia, które za sprawą Zbigniewa S. i Piotra K. trafiają do sieci, dotyczą zastępcy prokuratora generalnego do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji Beaty Marczak. Te również mają seksualny charakter. I znów okazuje się, że przedstawiają one zupełnie inną osobę. Śledczy nie mają wątpliwości, że Zbigniew S. dokonał wyjątkowo perfidnego przestępstwa. Do zarzutów o groźby karalne dochodzą kolejne.

„Polegały one m.in. na rozpowszechnianiu fałszywych zdjęć i informacji mających zdyskredytować i pozbawić zaufania publicznego najważniejsze w prokuraturze osoby odpowiadające za walkę z przestępczością zorganizowaną – Prokuratora Generalnego Zbigniewa Ziobro oraz Zastępcę Prokuratora Generalnego do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Beatę Marczak. Kierowane pod ich adresem groźby i fałszywe informacje miały doprowadzić do ich zniesławienia, a w rezultacie do bezprawnego wpłynięcia na pracę prokuratury w sprawach dotyczących Zbigniewa S. i innych osób podejrzewanych o popełnienie poważnych przestępstw" – informuje Prokuratura Krajowa.

Śledczy stawiają też Zbigniewowi S. zarzuty dotyczące fałszywych zdjęć, na których rzekomo przedstawiona została Patrycja Kotecka. „Zarzut popełnienia przestępstwa z art. 224 §2 kk. W tym samym nagraniu z dnia 28 grudnia 2019 r. Zbigniew S. stosował wobec Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego Zbigniewa Ziobro groźby bezprawne polegające na zapowiedzi rozpowszechniania i rozpowszechnianiu fałszywych wiadomości naruszających cześć i godność osoby najbliższej wymienionego funkcjonariusza publicznego – żony Patrycji Koteckiej w celu zmuszenia go do przedsięwzięcia prawnych czynności służbowych korzystnych dla Zbigniewa S. w prowadzonym przeciwko niemu przez Prokuraturę Regionalną w Lublinie postępowaniu karnym. Działając wspólnie i w porozumieniu z Piotrem K. ps. Broda, w materiale audio-wideo Zbigniew S. zamieścił zdjęcia mające rzekomo przedstawiać żonę ministra Patrycję Kotecką. W rzeczywistości – co potwierdzono w toku śledztwa – są to zdjęcia przedstawiające zupełnie inne osoby" – czytamy w komunikacie Prokuratury Krajowej.

TO JA BYŁEM „TULIPANEM"

„Rewelacje" Zbigniewa S. nie wzięły się znikąd. S. opiera je na „wiedzy" Piotra K. To znany w przestępczej branży mitoman, który niegdyś był nawet świadkiem koronnym. „Broda" przez większość swojego życia przebywał w zakładach karnych, a na koncie ma kilkanaście wyroków skazujących.

Wypłynął na śledztwie dotyczącym zabójstwa gen. Marka Papały. To właśnie Piotr K. sam zainteresował śledczych swoją osobą, deklarując przekazanie im wiedzy na temat najgłośniejszego zabójstwa lat 90. XX w. w Polsce. Jego opowieści do dziś rozśmieszają prokuratorów i policjantów, którzy znają tę sprawę od podszewki. Piotr K. utrzymywał, że morderstwa szefa polskiej policji dokonało dwóch Rosjan na zlecenie małżeństwa Mirosława i Janiny Drzewieckich. Jego zeznania uznane zostały jako całkowicie niewiarygodne. Rzekome rosyjskie cyngle to w rzeczywistości dwóch rosyjskich przestępców, z którymi „Broda" prowadził interesy w branży mięsnej.

Kreował się też na szychę i znawcę „ruskiej" mafii. W konfrontacji z prokuratorami często się jednak ośmieszał. W trakcie jednego z przesłuchań opowiadał o tym, że był organizatorem wielkiego przemytu narkotyków na przejściu granicznym w Bartoszycach. Szkopuł w tym, że w tej miejscowości nie ma przejścia granicznego. Pomylił je z Bezledami. Inną anegdotą i potwierdzeniem jego „wiarygodności" niech będzie opowieść „Brody", który przekonywał, iż był rezydentem mafii w stolicy Kirgistanu, Biszkeku. Jak Piotr K. wymawiał nazwę tej miejscowości? Przekonywał, że to „Biszpek". Osoby, które dobrze poznały Piotra K. i znają przebieg jego bandyckiego życia, przyznają, że „Broda" nigdy nie był kimś ważnym w mafijnej hierarchii lat dziewięćdziesiątych i pierwszej dekady dwutysięcznych. Traktowano go raczej jako „chłopca na posyłki", drobnego oszusta, którego wykorzystuje się w tym czy innym interesie lub akcji.

„Broda" utrzymywał też, że to na podstawie jego życia stworzono postać serialowego „Tulipana". To nieprawda. Serial oparto na historii oszukańczego procederu

Patrycja Kotecka i Zbigniew Ziobro

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

Fot. Stanisław Kowalczuk/East News.

eprasa.pl 31f09d037d

Jerzego Kalibabki. W rzeczywistości „Broda" był wielokrotnie karany za oszustwa. Potwierdziliśmy medialne informacje, z których wynika, że Piotr K. mógł się dopuścić oszustw na kilkuset kobietach.

Mitoman i zawodowy oszust jest więc dziś autorytetem dla hejtera Zbigniewa S. i ludzi, którzy dają wiarę w internetowe brednie obu panów.

„BRODA" JAK PREZES TVP

To jednak nie koniec. Portal wPolityce.pl dotarł do innych ustaleń, które kompromitują internetowy atak Zbigniewa S. oraz „Brody" na temat Patrycji Koteckiej.

Na nagraniu opublikowanym przez Zbigniewa S. zawarto kłamliwą informację dotyczącą rzekomej współpracy żony ministra ze światem przestępczym. Na czym miała ona polegać? Piotr K. miał posiadać twardy dysk ze służbowego laptopa ministra sprawiedliwości z lat 2005–2007. „Broda" miał go rzekomo otrzymać od żony ministra. To wierutna bzdura. W rzeczywistości laptop przez cały czas znajdował się w siedzibie Ministerstwa Sprawiedliwości i był przedmiotem wnikliwego śledztwa prokuratury oraz ekspertyz biegłych Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w 2008 r. za czasów rządów Platformy Obywatelskiej!

Na innym nagraniu Piotr K. rozpowszechniał też informację sugerującą, że to on umieścił Patrycję Kotecką na stanowisku dyrektora w Telewizji Polskiej. To kolejna brednia. „Broda" nie miał żadnych związków z mediami publicznymi. Nie mógł ich posiadać, i to z prostej przyczyny. W roku 2007, w czasie kiedy Patrycja Kotecka objęła stanowisko dyrektorskie w TVP, Piotr K. od wielu miesięcy przebywał bowiem w areszcie śledczym na warszawskiej Białołęce. Ciężko więc wnioskować, by zatrzymany gangster mógł prowadzić jakiekolwiek negocjacje kadrowe z ówczesnym szefostwem telewizji publicznej.

UDERZYĆ W „SZERYFA"

W ostatnich dniach prokuratura zrealizowała wiele działań uderzających w przestępczość zorganizowaną, w tym mafijną. Coraz trudniej realizować przekręty vatowskie (tym dziś zajmują się największe gangi), coraz trudniej prowadzić handel narkotykami, z każdym rokiem rządów Zjednoczonej Prawicy coraz słabsza jest ochrona nielegalnych biznesów, wynikająca wcześniej z wpływów świata przestępczego w świecie wymiaru sprawiedliwości i politycznym.

– To są ludzie bezwzględni, a walczą o wielkie pieniądze. Wyraźnie widać nasilenie akcji skierowanych przeciw kierownictwu prokuratury, która jest dziś zdeterminowana w walce z przestępczością zorganizowaną. To jest mafia, a ona nie cofa się przed niczym. I tak należy odczytywać bezpośrednie ataki na prokurator Beatę Marczak, jedną z najbardziej odważnych prokuratorów, oraz na żonę ministra sprawiedliwości. Niestety, ci ludzie naprawdę są zagrożeni – mówi nam osoba dobrze zorientowana w kulisach wydarzeń. I dodaje: – Najbardziej smutne, że ten mafijny ściek, mający być komprmateriałem mafijnym, całkowicie fikcyjny, znajduje tyle poklasku w środowiskach opozycyjnych, a niektóre media wydają się gotowe podjąć każdy paszkwil, byle tylko zniszczyć nielubianych „szeryfów".

> Kolejny ruch Zbigniewa S. to zdjęcia, często o pornograficznym charakterze, które publikuje w oparciu o „informacje" kryminalisty Piotra K. Dziś już wiemy, że fotografie te to fałszywki

MEDIA POMOGĄ?

W sprawie Zbigniewa S. i Piotra K. niepokoi inna kwestia. Ich opowieściami żywo interesują się media, które od lat walczą ze Zjednoczoną Prawicą. Można się spodziewać, że niektórzy dziennikarze dla politycznych celów będą chcieli korzystać z kłamliwych informacji przekazywanych przez przestępców.

Tak było w przypadku Jakuba R., byłego szefa Biura Gospodarki Nieruchomościami warszawskiego ratusza i jednego z najważniejszych rekinów reprywatyzacyjnych.

Zatrzymany i aresztowany urzędnik najpierw chciał wejść w brudny deal ze służbami specjalnymi. Gdy spotkał się odmową, zaatakował obecne szefostwo służb specjalnych. Brednie Jakuba R. natychmiast podchwyciła „Gazeta Wyborcza", która reprywatyzacyjnego potentata przemianowała na wiarygodne źródło informacji. Tak się też stało z mecenasem Robertem Nowaczykiem, również zamieszanym w reprywatyzacyjny precedens.

Czy kłamstwa Zbigniewa S. i Piotra K. ps. Broda staną się łakomym kąskiem dla zblatowanych z opozycją mediów?

ZABÓJSTWO NA ZLECENIE

Warto przypomnieć, że środowiska mafijne podjęły też próbę fizycznego wyeliminowania Zbigniewa Ziobry. Minister miał zginąć od wybuchu bomby. Ładunek miał być podłożony pod jego limuzyną – podawał szczegóły „Super Express". „Zbigniew Ziobro miał być jedną z osób na celowniku mafii" – przyznał rzecznik Sądu Okręgowego we Wrocławiu Marek Poteralski. Zabójstwo miał zlecić handlarz dopalaczami, poszukiwany listem gończym Jan S., zwany „królem dopalaczy".

Jana S. zatrzymano w ubiegłym roku w Holandii, jednak wypuszczono go z aresztu. To wtedy przez jeden z komunikatorów internetowych S. otrzymał informację o tym, że resort Ziobry zaostrza kary za handel dopalaczami. „Ziobro jest skurw..., który podpisał nową ustawę, zgodnie z którą handel dopalaczami będzie karany jak handel narkotykami, a nie będą groziły za to grzywny" – miał komentować „król dopalaczy". Wtedy to zlecił on „Chemikowi", aby podłożył bombę pod samochód ministra. „Zaoferował za to 100 tys. zł, w tym 10 tys. zł zaliczki. Wiedział, że »Chemik« potrafi skonstruować bombę" – powiedział informator tabloidu. Jan S. jest podejrzanym także w innych sprawach, w których miał zlecić także zabójstwo prokuratora i trzech policjantów.

eprasa.pl 31f09d037d

Fot. Gevorg Ghazaryan/Shutterstock.com

Holokaust i polityka polska

Próba obciążenia Polaków odpowiedzialnością za II wojnę światową nie była ekscesem rozjuszonego sowieckiego genseka na wzór walącego butem w mównicę ONZ Chruszczowa. Obecny rosyjski lider w przeciwieństwie choćby do swojego poprzednika jest osobnikiem niezwykle trzeźwym, wychowanym w szkole KGB trzymania na wodzy swoich emocji

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jego wystąpienie w Petersburgu, które odbiło się szerokim echem na świecie, a rozpowszechniane jest i wzmacniane przez rosyjskie media oraz dyplomację, stanowi więc znaczący akt polityki Kremla skierowany zarówno do wewnątrz, jak i na zewnątrz. I w tym kontekście należy go analizować.

CEL PUTINA

Ma rację premier Morawiecki, że „w ostatnich tygodniach Rosja poniosła kilka istotnych porażek: niepowodzeniem zakończyła się próba całkowitego podporządkowania sobie Białorusi, Unia Europejska po raz kolejny przedłużyła sankcje nałożone za bezprawną aneksję Krymu, a rozmowy w tzw. formacie normandzkim nie tylko nie przyniosły zniesienia tych sankcji, lecz w tym samym czasie doszło do kolejnych obostrzeń – tym razem amerykańskich – które znacznie utrudniają realizację projektu Nord Stream 2. Jednocześnie rosyjscy sportowcy zostali właśnie zawieszeni na cztery lata za stosowanie dopingu". Nie zmienia to reguły moskiewskiej polityki, która nawet reagując na doraźne kłopoty, taktykę wpisuje zawsze w strategiczne cele. Celem takim jest odbudowa imperium, którego upadek, czyli rozwiązanie ZSRS, uznany został przez Putina za największą tragedię XX w.

Na przeszkodzie jego odtworzenia stoi Polska, która odniosła ostatnio istotne sukcesy w międzynarodowej polityce. To z jednej strony ściślejszy, również militarny, sojusz z USA, a z drugiej – wbrew zaklęciom powtarzanym przez totalną opozycję i wpisane w nią media – wzrost podmiotowej roli naszego kraju w UE. Ten drugi proces nie przebiega, naturalnie, bezkonfliktowo; taki charakter mogło mieć „płynięcie w głównym nurcie", czyli rezygnacja z autonomicznej polityki międzynarodowej i podporządkowanie jej tym, którzy nurt ów wyznaczają. Uznać można nawet, że do pewnego stopnia napięcia te wskazują na wzrost znaczenia naszego państwa. Gdybyśmy nie mieli znaczenia, nie poświęcano by nam tyle uwagi. To, że stanowimy zadrę dla Moskwy, sygnalizuje ten sam stan rzeczy.

Celem moskiewskiej polityki jest odebranie Polsce wiarygodności i na trwałe przyklejenie jej wizerunku kraju antysemickiego, współodpowiedzialnego za Holokaust. O prestiżu narodu, który w istotnym stopniu określa jego polityczne możliwości, w znacznej mierze decyduje ocena jego zachowania w okresie II wojnie światowej, zwłaszcza wobec zagłady Żydów. Rosjanie mają w tej kwestii sprawę ułatwioną.

> Historyczna ofensywa Kremla przeciw Polsce jest trwałym elementem jego polityki. Od naszej solidarności zależy, czy potrafimy się jej przeciwstawić

Ich polityka historyczna zbiega się z pamięcią żydowską determinowaną przez Zagładę.

PAMIĘĆ ŻYDOWSKA I ROSYJSKA

Holokaust rozpoczął się wraz z atakiem III Rzeszy na ZSRS. Wprawdzie został dopracowany w szczegółach i oficjalnie zatwierdzony dopiero na konferencji w Wannsee w styczniu 1942 r., ale masowe ludobójstwo rozpoczęły oddziały specjalne postępujące za armią niemiecką podbijającą sowieckie tereny. W pamięci Żydów Holokaust, a więc najokrutniejsza forma wojny, rozpoczął się dopiero po ataku Hitlera na Stalina w czerwcu 1941 r. To, co działo się wcześniej, np. masowe wywózki ludności zamieszkującej tereny dawnej Polski, w tym i Żydów, przez Sowietów zupełnie zbladło i zostało zapomniane. Ludobójstwo, a więc i wojna, w pamięci Żydów zaczęły się po wkroczeniu niemieckich wojsk na teren Związku Sowieckiego, a jego armia broniła ich przed zagładą.

Dodatkowo w Izraelu wielką grupę stanowią dziś ludzie z dawnego ZSRS nauczeni historii w tamtych szkołach. Wielka wojna ojczyźniana, który to termin funkcjonuje w Rosji na określenie II wojny światowej, a w każdym razie tego jej etapu, który zaczyna się od czerwca 1941 r. – o wcześniejszym się nie pamięta – jest jedynym historycznym wydarzeniem, które integruje dziś naród rosyjski. To przecież on za cenę niewiarygodnych strat (wszystko to prawda) pokonał nazistów. Przypominanie, że II wojna światowa zaczęła się od sojuszu dwóch agresorów ZSRS i III Rzeszy, a starcie między nimi nastąpiło później, psuje ten jednoznaczny obraz, dlatego opinia rosyjska chętnie akceptuje oficjalną interpretację, że niewygodna prawda historyczna to wyłącznie płód „faszystowskiego rewizjonizmu".

Dodatkowym czynnikiem sprzyjającym doklejeniu Polsce maski wspólnika Holokaustu jest pamięć ocalałych z niego. To straumatyzowana świadomość ludzi, którzy cudem uniknęli śmierci i widzieli okrutne zniszczenie narodu, w tym swoich najbliższych. Mało kogo z nich, tak jak mało kogo w podobnej sytuacji, stać było na zdystansowaną ocenę tego, co się stało. Przeszłość przetrwała jako koszmar, w którym każdy, również Polak, był zagrożeniem. O nikim zawczasu nie było wiadomo, czy może ratować, czy wydać, a tego typu pamięć na jaw wydobywa głównie zagrożenie. Naturalnie ci, którzy je przeżyli, pamiętali także o gestach solidarności i pomocy, tak jak pamiętali o wspólnym wcześniejszym jakkolwiek, co oczywiste, niebezkonfliktowym życiu. Po ich śmierci dla następnych pokoleń pozostawało głównie to, co negatywne.

Żydowska polityka historyczna akcentowała, co również zrozumiałe, wyjątkowość Holokaustu i nie zajmowała się innymi ofiarami. Nic dziwnego, że wśród Żydów nie przetrwała świadomość tego, w jakich warunkach funkcjonowali Polacy w trakcie okupacji i co groziło im za pomoc Żydom. Obowiązek

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31f09d037d

pamięci spoczywał na władzach oraz ośrodkach opiniotwórczych wolnej Polski. W III RP została ona nie tylko zaniedbana, lecz wręcz miała antynarodowy charakter.

KONSEKWENCJE PEDAGOGIKI WSTYDU

Na zjawisko to, które w całości nazwać trzeba pedagogiką wstydu, złożyło się kilka elementów. Była w tym i czysto polityczna rachuba dominujących wówczas postkomunistycznych środowisk oraz ich akolitów, którzy w ten sposób bronili swoich wcześniejszych postaw oraz uzasadniali swoją szczególną rolę w III RP – jeśli Polacy to nacjonalistyczna dzicz, której głównym impulsem jest antysemityzm, to brutalność powojennej „modernizacji" (czyli narzucenie komunistycznego systemu) można usprawiedliwić, jak tłumaczył to m.in. w swoim wywiadzie dla „Guardiana" Zygmunt Bauman. Stan ten uzasadnia także szczególną rolę elit III RP, a zakompleksioną zbiorowością łatwiej rządzić.

Największy wpływ na odrodzenie się w pewnym zakresie postaw antysemickich w Polsce miało środowisko „Gazety Wyborczej" i podążające z nim elity opiniotwórcze oraz inne media. To w tym środowisku nagminnie używany był bez zdania racji oraz wbrew faktom epitet antysemityzmu wobec swoich przeciwników. Trwa to po dziś dzień, kiedy usiłuje się nim dyskredytować PiS. Banalizacja tego zarzutu spowodowała, że zatracił on całe wcześniejsze złowrogie brzmienie, a także dla wielu znaczyć zaczął sprzeciw wobec porządków III RP, a więc nabrał niemal pozytywnego wydźwięku. Warto przypomnieć, że pod koniec minionego roku Adam Michnik w wywiadzie dla rosyjskiego medium nazwał marsze niepodległości „czarnosecinnymi manifestacjami", innymi słowy zrównał polski patriotyzm z antysemickimi ekscesami.

Warto przypomnieć, że pod koniec minionego roku Adam Michnik w wywiadzie dla rosyjskiego medium nazwał marsze niepodległości „czarnosecinnymi manifestacjami", innymi słowy zrównał polski patriotyzm z antysemickimi ekscesami

Pedagogika wstydu jest radykalną polityką historyczną, i to rozmijającą się z faktami. Dla doraźnych politycznych potrzeb deformowana jest przeszłość, wyolbrzmiane oraz wyrywane z kontekstu są incydenty, pomijane jest znaczenie całości oraz porównawcze zestawienia, które pozwalałyby odróżnić nam uniwersalne ludzkie zachowania od tych szczególnych, wywołanych wypływem określonej kultury i utrwalonymi postawami zbiorowości. Pedagogika wstydu to radykalny prezentyzm, czyli używanie przeszłości dla doraźnych politycznych celów.

Współczesna polityka historyczna ma wiele wymiarów: zaczyna się od określonego nastawienia badań przeszłości, które są potem szeroko propagowane, aby ostatecznie trafić do masowej kultury. Innymi słowy, jest to całościowa operacja, która utrwala określony obraz przeszłości w świadomości współczesnych. W wypadku Polski jednym z efektów polityki historycznej III RP, czyli pedagogiki wstydu, była bierność, a nawet uczestnictwo w mistyfikacji obrazu II wojny światowej, a zwłaszcza roli Polski w kwestii Holokaustu. Ma to wyjątkowe znaczenie, gdyż szczególnie w tej sprawie konfrontujemy się na międzynarodowym polu z potężnymi przeciwnikami. Jeśli więc nie przypomnimy, jak wyglądała nasza historia, to opowiedzą ją za nas inni, i to tak, że stanowiła będzie swoją karykaturę.

Wspomniałem o Rosji, ale drugi nasz sąsiad, Niemcy, chętnie dzieli się odpowiedzialnością za zbrodnie i zgodnie z własną polityką historyczną chętnie je zdenacjonalizuje. Przypisanie Polakom współuczestnictwa w Holokauście jest tego najlepszą metodą. Francja, która po klęsce powołała aprobowany przez większość obywateli, współpracujący z III Rzeszą wasalny rząd, z satysfakcją uzna, że podobne postawy były powszechne w Europie – słyszałem historyka francuskiego, który mówił, że „musimy trochę zrozumieć Polskę dziś, skoro nam tyle czasu zajęło przepracowanie Vichy".

Europa.pl 31f09d037d

POLSKA V KOLUMNA

Najgorsze jednak jest to, że nie potrafimy uzyskać minimum solidarności wewnętrznej, próbując propagować elementarną prawdę o postawie Polski w czasie II wojny światowej. Stanowisko narodu wyrażały wtedy legalnie funkcjonujące i reprezentujące naród władze. Nigdy nie poszły one na żadną kolaborację z Hitlerem i w miarę swoich sił usiłowały przeciwstawiać się wszędzie, w tym na okupowanych ziemiach polskich, jego polityce. Naturalnie Polacy nie są święci i również wśród nich znalazł się margines przestępców i psychopatów, którzy wykorzystywali nieludzkie czasy do zaspokojenia swoich interesów i popędów. Nie było jednak ani instytucjonalnego, ani społecznego przyzwolenia dla takich działań.

Jednak władze oraz środowiska opiniotwórcze III RP nie tylko nie zadbały o to, aby elementarne prawdy na ten temat funkcjonowały w światowym obiegu publicznym, lecz w dużej mierze oddały ośrodki badania tego okresu w ręce tych, którzy z pasją zajmują się deformacją ówczesnej historii i prezentowaniem Polaków jako wspólników Hitlera.

Uderza to – choć nie dotyczy wyłącznie tej instytucji – w odniesieniu do Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Dowodem jest choćby wydana ostatnio praca „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego. Ta dwutomowa książka, która zawiera również solidne i wnikliwe materiały, fundamentalnie skażona jest nierzetelnością, błędami oraz manipulacjami, które pojawiają się zwłaszcza w tekstach Grabowskiego, szefowej Centrum Engelking czy Dariusza Libionki. Wykazali to historycy IPN, tacy jak Tomasz Domański czy Piotr Gontarczyk. Rola Grabowskiego, którego całość działalności (tak jak twórczość Jana T. Grossa) sprowadza się od jakiegoś czasu do przypisywania Polakom wspólnictwa w Holokauście, warta jest osobnej analizy.

LEKCJA NOWELIZACJI

To, jak znaczącą rolę odgrywają ośrodki III RP w budowie fałszywego obrazu polskiej historii oraz dezawuowaniu prób przywrócenia jej prawdziwego obrazu, pokazują wydarzenia związane z nowelizacją ustawy o IPN w 2018 r. Niezależnie od oceny jej sensowności atakowana była ona zupełnie nie za to, co w niej naprawdę było. Była to ustawa mająca na celu penalizację świadomego oczerniania narodu polskiego poprzez przypisywanie mu udziału w Holokauście. W momencie jej przyjęcia natychmiast instytucje zajmujące się tą problematyką, światowe media czy ośrodki opiniotwórcze zaatakowały ją jako usiłowanie zablokowania badań nad Szoach. W kółko powtarzano, że za jej pomocą zakazuje się debaty historycznej, pomimo że ustawa mówiła wyraźnie, że nie dotyczy badań naukowych ani działalności artystycznej i penalizuje wyłącznie kłamstwa.

Prawie identyczna ustawa została przyjęta przez Polskę w 2006 r. Przeszła bez echa. Nikt ani w kraju, ani za granicą nie zwrócił na nią uwagi, pomimo że było w niej to samo, co w nowelizacji z 2018 r. Wprawdzie ze względów proceduralnych Trybunał Konstytucyjny odrzucił tę ustawę, ale wtedy odrzucał on nieomal wszystko, co PiS uchwaliło. Dlaczego świat 12 lat później zaczął interesować się tym, czym nie interesował się ponad 10 lat wstecz? Jedyna odpowiedź brzmi, że został on odpowiednio, to znaczy w negatywnym sensie, przygotowany do tego wydarzenia. Zmanipulowany obraz nowelizacji upowszechniony został na świecie przez środowiska działające w Polsce.

Sprawa skończyła się dobrze, gdyż władze odeszły od ustawy, natomiast premierzy Polski i Izraela ogłosili oświadczenie, które przypominało elementarne fakty na temat historii tego okresu.

„Zawsze byliśmy zgodni, że sformułowania »polskie obozy koncentracyjne/polskie obozy śmierci« są rażąco błędne i pomniejszają odpowiedzialność Niemców za tworzenie tych obozów. [...] Działający w trakcie wojny Rząd RP na uchodźstwie starał się powstrzymać te nazistowskie działania, podejmując próby upowszechnienia wśród zachodnich sojuszników wiedzy na temat systematycznego mordu dokonywanego na polskich Żydach. [...] Z dumą wspominamy heroiczne czyny licznych Polaków, w szczególności Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, którzy z narażeniem życia ratowali Żydów. [...] Doceniamy fakt, że struktury Polskiego Państwa Podziemnego nadzorowane przez Rząd RP na uchodźstwie stworzyły mechanizm systemowej pomocy i wsparcia dla osób pochodzenia żydowskiego, a podziemne sądy wydawały wyroki skazujące Polaków za współpracę z niemieckimi władzami okupacyjnymi, w tym także za denuncjowanie Żydów".

Te fragmenty wspólnej deklaracji przywódców Polski i Izraela są bezprecedensowe. Tak podsumował ją niedarzący Polski specjalną sympatią lewicowy dziennik izraelski „Haaretz": „Polskie prawo zostało zniesione, ale Warszawa wygrała bitwę o narrację". I spointował:

„Premier Izraela Beniamin Netanjahu dał Polsce prawdziwy skarb: niemal całkowite uznanie polskiej narracji w odniesieniu do II wojny światowej". Trudno dodać coś więcej.

Przypominam tę sprawę, aby podkreślić rolę ośrodków III RP w budowie negatywnego obrazu Polski na arenie międzynarodowej, a także, aby wskazać, że odpowiednia polityka może również niekorzystne dla Polski wydarzenia obrócić na naszą korzyść.

NOWY KONTEKST AKCJI PREZYDENTA ROSJI

Czy tak będzie z akcją Putina? Wszystkie ważniejsze stolice zachodnie potępiły jego wystąpienie. Natomiast w Polsce opozycja totalna, głównie osadzona w mediach i ośrodkach opiniotwórczych, uznała, że wprawdzie prezydent Rosji wygaduje rzeczy skandaliczne, ale może to robić, bo... PiS jest złe. Na szczęście odezwały się głosy z PO, które wezwały do jednoczenia się w tej elementarnej dla nas rzeczy. Najbardziej znacząca spośród nich była utrzymana w tym tonie notka Donalda Tuska.

Nową okolicznością, która pojawiła się w Polsce po ostatnich wyborach, jest trafienie do Sejmu jawnie prorosyjskiego ugrupowania, jakim jest Konfederacja, chociaż warto pamiętać, że postkomuniści z SLD także w historycznych sporach zajmują co najmniej dwuznaczne stanowisko, co

eprasa.pl 31f09d037d

zasygnalizował ostatnio lider tej partii Włodzimierz Czarzasty, opowiadając o „wyzwolicielskiej roli" Armii Czerwonej, która podporządkowała Polskę Moskwie.

Konfederacja jednak generalnie chwali obecną Rosję i atakuje sojusz Polski ze Stanami Zjednoczonymi. Zachowuje się więc dokładnie tak, jak inne promoskiewskie stronnictwa hodowane przez Kreml w Europie. Liderami tego ugrupowania powodują różne intencje: niektórzy z nich zamknięci są w libertariańskiej, ideologicznej wizji czystych reguł rynkowych, którymi jakoby kierowana ma być – wbrew wszelkim dowodom – Rosja; inni opętani są antyżydowską obsesją, która tłumaczy im wszystkie zjawiska w historii i polityce; jeszcze inni reprezentują czysty cynizm, który pozwala sięgnąć po dowolne, obiecujące sukces hasła. W sumie tworzą idealny zespół, który gra pod dyktando kremlowskiej polityki i realizuje wszelkie jej oczekiwania. Kwestionuje sojusz z USA, najważniejszą siłą, która blokuje rozwój imperializmu moskiewskiego; odwołuje się do historii, aby antagonizować narody, których racją bytu jest solidarność wobec kremlowskich zakusów – w przypadku Polski jest to budzenie antyukraińskich uprzedzeń – i wreszcie rozbudza antysemityzm, który kompromituje kraj w oczach Zachodu. Cały ten kompleks Konfederacja wciela doskonale.

Jej relatywny sukces wiąże się z budzeniem się w Polakach oburzenia na niesprawiedliwe oskarżenia o udział w Holokauście, a także działanie grup Żydów z USA, którzy usiłują zbić interes na pozostawionym po wojnie bez właścicieli mieniu ofiar Zagłady. Symbolem tego stała się podpisana przez prezydenta Trumpa Ustawa 447. Przedstawiana w apokaliptycznym tonie przez Konfederację, polega na zgodzie władz USA, aby wywierać dyplomatyczne naciski na kraje, które nie uregulowały problemów wspomnianej własności. Problemem Polski jest brak ustawy reprywatyzacyjnej – zawetował ją Aleksander Kwaśniewski – która dawno i definitywnie rozwiązałaby to zagadnienie. Trzeba podkreślić, że ustawa 447 do niczego Polski nie zobowiązuje, a ilość kłamstw i manipulacji jej dotycząca jest ogromna.

Wprawdzie pojawienie się Konfederacji w polskim Sejmie to sukces Putina i „GW" czy szerzej III RP, które marzyły o pojawieniu się siły, która usprawiedliwi wszystkie ich pedagogiczne zabiegi wobec Polaków oraz szczególną rolę, jaką sobie uzurpują, ale pamiętać należy, że ciągle jest to formacja marginalna. Jej relatywny sukces mniej wiąże się z antysemityzmem, a bardziej z socjalnym dryfem PiS i oczekiwaniem na bardziej zdecydowane działania ze strony co bardziej radykalnych wyborców prawicy. Nie wydaje się, aby miała ona istotnie wpłynąć na politykę polską, choć można mieć pewność, że będzie odgrywała rolę kolejnej V kolumny Putina w naszym kraju.

Historyczna ofensywa Kremla przeciw Polsce jest trwałym elementem jego polityki. Od naszej solidarności zależy, czy potrafimy się jej przeciwstawić.

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

DARIUSZA SAWICKIEGO

członka zarządu Centralnego Portu Komunikacyjnego

Wyrażamy głęboki żal oraz składamy wyrazy współczucia całej Rodzinie i Bliskim

Zarząd i pracownicy Polskich Linii Lotniczych LOT oraz Polskiej Grupy Lotniczej

2/0120/F

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 26 grudnia 2019 r. zmarł w Warszawie

ŚP

PPŁK EUGENIUSZ TYRAJSKI
PS. „SĘK"

urodzony 8 października 1926 r. w Nowym Brwilnie.
Od kwietnia 1941 r. harcerz Szarych Szeregów w Hufcu Mokotów Górny Chorągwi Warszawskiej.

Od lutego 1943 r. służył w Armii Krajowej w Kompanii „Howerla", a następnie w Kompanii „K-2" Batalionu „Karpaty" Pułku AK „Baszta". W Powstaniu Warszawskim walczył na terenie Służewca, Czerniakowa oraz Sadyby.
Od 2 września 1944 do 29 kwietnia 1945 r. więziony w niewoli niemieckiej.

Wiceprezes Zarządu Głównego Związku Powstańców Warszawskich, Przewodniczący Rady Fundacji „Warszawa Walczy 1939-1945".

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

1/0120/F

eprasa.pl 31f09d037d

Spotkanie marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego z ambasadorem Rosji w Polsce Siergiejem Andriejewem

Fot. Hubert Pielas – Kancelaria Senatu

Rosyjska pułapka na polską opozycję

Obóz władzy w Rosji nie zadowala się częściowym przekazem, ale dąży do zbudowania pełnego przesłania, zarówno na użytek wewnętrzny, jak i dla zagranicznego odbiorcy. Jest w stanie przemycać swe treści również w mediach liberalnych czy konserwatywnych. Nie dziwi więc, że nawet opozycyjna prasa jest kapitałowo kontrolowana przez ludzi powiązanych z Kremlem. Wygląda na to, że polska opozycja nie bierze tego pod uwagę

MAREK BUDZISZ

Specjalizujący się w dziennikarstwie śledczym rosyjski portal internetowy Projekt ujawnił 25 grudnia, że jednym z głównych inwestorów finansujących opozycyjny rosyjski dziennik „Nowaja Gazieta" jest Siergiej Adoniew, założyciel grupy inwestycyjnej Yota. Dla wiedzy o tym, jak funkcjonuje rosyjski rynek medialny, jest to informacja kluczowa, bo Adoniew jest protegowanym i współpracownikiem Siergieja Czemiezowa, który w opinii dziennikarzy badających sprawę osobiście uczestniczył w rozmowach toczonych, zanim Adoniew zdecydował się na inwestycję w gazetę. Dlaczego to tak istotne? Bo Czemiezow stoi na czele gigantycznego państwowego koncernu zbrojeniowego Rostech, zatrudniającego ponad 1,2 mln ludzi, a prywatnie jest starym kagebistą, przyjacielem Władimira Putina jeszcze z czasów drezdeńskiej rezydentury. Mieszkali ponoć w jednym budynku, drzwi w drzwi, i razem spędzali wolne chwile.

Czemiezow od pewnego czasu „gra w liberalizm", publicznie wypowiadając się, np. w czasie ostatnich letnich

eprasa.pl 31f09d037d

protestów w Moskwie, o korzyściach płynących z funkcjonowania opozycji oraz wadach nadmiernej koncentracji władzy w rękach przedstawicieli służb siłowych. Niezależnie jednak od politycznych ambicji szefa Rostechu, które wydają się niemałe, co innego jest w tym najbardziej ciekawe. Mianowicie to, że opozycyjna gazeta, przy tym dobrze redagowana, drapieżna i ciekawa, w gruncie rzeczy kapitałowo kontrolowana jest przez obóz rosyjskiej władzy.

Trochę podobnie jak rozgłośnia radiowa Echo Moskwy, pierwsza rosyjska komercyjna stacja radiowa, dziś opozycyjna, dająca schronienie i antenę wielu rosyjskim przeciwnikom reżimu Putina, która należy do spółki Gazprom – media. W przypadku Echa Moskwy trudno mówić o bezpośredniej kontroli, bo kolegium redakcyjne utrzymuje daleko posuniętą niezależność, a pozycja Aleksieja Wieniediktowa jest w rosyjskim świecie dziennikarskim niekwestionowana. Ale nie brak też w Rosji głosów, że w gruncie rzeczy władzy jest na rękę funkcjonowanie tej niezależnej stacji radiowej. Dlaczego? Z tego prostego powodu, że – jak miał powiedzieć przedstawiciel administracji prezydenckiej pracujący „na polu mediów" – wykonuje ona najtrudniejszą pracę, propagując narrację Kremla wśród najtrudniejszego, bo opozycyjnego, audytorium. Sam Wieniediktow realizuje zresztą dla władz również delikatne misje dyplomatyczne, jak choćby w Kijowie latem tego roku, gdy przy okazji wywiadu z Zełenskim doprowadził do nawiązania kontaktów roboczych między otoczeniem nowego prezydenta Ukrainy a przedstawicielami Kremla.

Te dwie informacje pokazują, że propaganda rosyjska, narracja władz, jest znacznie bardziej zniuansowana, a sam przekaz wielowymiarowy, niźli można byłoby o tym sądzić na podstawie analizy dość topornych publikacji RussiaToday czy Sputnika. Obóz władzy w Rosji nie zadowala się częściowym przekazem, ale dąży do zbudowania pełnego przesłania, zarówno na użytek wewnętrzny, jak i dla odbiorcy zagranicznego, skierowanego do różnych wrażliwości i różnych audytoriów. Jest w stanie przemycać swe treści również w mediach liberalnych, lewicowych czy konserwatywnych.

POLSKIE STERYDY

Zobaczmy, jak to wygląda na przykładzie ostatniej kampanii propagandowej rozpoczętej przez Rosję od wystąpienia prezydenta Putina, który 19 grudnia, przy okazji swej konferencji prasowej, oskarżył Polskę o wywołanie II wojny światowej, antysemityzm i współodpowiedzialność za Holokaust.

Przesłanie Putina, już określone przez zagraniczne media mianem „rewizjonizmu historycznego na sterydach", jest tak absurdalne, że u publiczności nieco bardziej wyrobionej i mającej elementarną wiedzę historyczną zapewne nie poczyni wizerunkowi Polski wielkich szkód. Ale Moskwa buduje też przekaz subtelniejszy, nie mniej dla wizerunku i interesów Polski szkodliwy.

W przywoływanej „Nowej Gazecie" ukazał się, datowany na 20 grudnia, wywiad pisarza Jerofiejewa z Adamem Michnikiem. Redaktor „Gazety Wyborczej", rozmawiając z rosyjskim pisarzem, koncentruje się na relacjach między Polakami a Rosjanami, tym, co nas łączy, mówi o przeszłości, o Rosji po odejściu Putina, o kulturze i literaturze. Ale nie stroni też od ocen politycznych, opisując sytuację świata, Europy, Rosji i Polski. Mając, jak każdy, prawo do subiektywnych ocen, nie szczędzi ich przy tym rządzącemu Polską obozowi politycznemu. Jego zdaniem prawica w naszym kraju to nacjonaliści, którzy swe wyborcze sukcesy budują na rozpowszechnionych lękach i resentymentach. Nie ma sensu na powtarzanie tych diagnoz, każdy, kto chce, może wziąć do ręki organ prasowy Adama Michnika i samodzielnie się zapoznać z prezentowaną na jego łamach wizją świata i Polski.

Ale jedna wypowiedź warszawskiego intelektualisty przykuła moją uwagę. Otóż w jego opinii, cytuję, „dziś połowa Polski – to kraj czarnej sotni. Cały czas przybierająca rozmaite barbarzyńskie formy. Te »marsze niepodległości«, które przechodzą przez Warszawę – czy to nie »czarna sotnia«?". Subtelny eseista i historyk, jakim jest Adam Michnik, znawca i miłośnik literatury rosyjskiej, wielbiciel Turgieniewa i Czechowa, nie może nie wiedzieć, że założona przez Władimira Puryszkiewicza Czarna Sotnia była organizacją silnie antysemicką, przez rosyjską historiografię pomawianą, nie bez uzasadnienia, o współpracę z ochraną i organizowanie pogromów antyżydowskich. W ten sposób, budując skojarzenie – polska prawica to Czarna Sotnia, świadomie bądź nieświadomie wzmacnia tę część przekazu Kremla, zarzucającą polskim elitom antysemityzm.

Inny przykład. 16 grudnia, na dwa dni przed historyczną szarżą Putina, w Senacie odbyło się spotkanie marszałka Grodzkiego z ambasadorem Federacji Rosyjskiej Siergiejem Andriejewem, znanym ze swych niesłychanie, nawet jak na standardy rosyjskie, agresywnych i nieprzyjaznych Polsce wystąpień, takich jak choćby w trakcie uroczystości w Auschwitz w 2018 r. Naiwnością byłoby sądzić, że warszawska placówka rosyjskiego MSZ nie wiedziała o przygotowywanej przez centralę akcji historyczno-politycznej z Putinem w roli głównej. Uczestniczy w niej od samego początku, podobnie zresztą jak rosyjska ambasada w Paryżu, publikująca stosowne dokumenty i oświadczenia.

Spotkanie rosyjskiego dyplomaty z niedoświadczonym polskim politykiem, który na dodatek postanowił zignorować rady dawane mu przez stosowny departament naszego MSZ, sprawującym formalnie trzecią funkcję w państwie, było jednak Moskwie do czegoś potrzebne. Czytając komunikat, w którym rozmawiający zapowiadają odnowienie komunikacji na szczeblu wicemarszałków izb wyższych obydwu parlamentów oraz dialogują na temat rosyjskiej delegacji w Radzie Europy, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że działania rosyjskich dyplomatów mają za cel zbudowanie tego, co można byłoby określić mianem tła. Chodzi o spodziewaną reakcję Warszawy na historyczne rewelacje Putina. Andriejew, rozmawiając z Grodzkim, wiedział, że nasze MSZ, a niewykluczone, że i inni

eprasa.pl 31f09d037d

reprezentujący Polskę urzędnicy wysokiego szczebla będą reagowali na retoryczne wyskoki rosyjskiego prezydenta. Tym bardziej zależało mu na pokazaniu, że są w Polsce siły, z którymi można mówić i planować normalną „kulturalną" współpracę. Mniejsza o to, że postawił w ten sposób swego rozmówcę w niesłychanie niezręcznej sytuacji, zwłaszcza że przewodniczący rosyjskiej delegacji w Radzie Europy, o której rozmawiano, deputowany Leonid Słucki jest jednym z bardziej agresywnych i antypolskich mówców w rosyjskich mass mediach i zabierał głos już po Putinowskich oskarżeniach. Rosjanom udało się jeszcze coś znacznie ważniejszego, ale aby o tym wiedzieć, należałoby wysłuchać rad płynących z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Otóż rosyjska dyplomacja bezwzględnie trzyma się zasady utrzymywania kontaktów na tym samym poziomie. Z ministrem spotyka się minister, z marszałkiem Sejmu szef rosyjskiej Dumy. Grodzki, inicjując spotkanie z rosyjskim ambasadorem, obniżył rangę reprezentanta Rosji, z którym rozmawia trzecia osoba w RP. W ten sposób rzekome „spotkanie kurtuazyjne", choć o takim nie mogło być mowy, bo Senat nie jest ciałem, które organizuje tego rodzaju rozmowy dwustronne, doprowadziło do wywyższenia, stało się w istocie manifestacyjnym podkreśleniem mniejszej rangi Rzeczypospolitej, państwa z którego przedstawicielami może rozmawiać, niczym namiestnik, rosyjski ambasador. Z pewnością Moskwa wykorzysta ten precedens w przyszłości.

IŚĆ DO PRZODU

Zamierzenia Moskwy wyraźnie ukazuje komunikat, który rzeczniczka rosyjskiego MSZ sformułowała zaraz po wybuchu całej afery. W informacyjnym zgiełku został on w niemałej części zignorowany, a szkoda, bo wart jest uwagi. Otóż jej zdaniem funkcjonują dwa modele budowy relacji między państwami. Pierwszy, któremu, jak powiedziała, hołduje rządzący obecnie Polską establishment polega na ciągłym rozpamiętywaniu historii, rozdrapywaniu starych ran i dowodzeniu własnej moralnej wyższości. I wreszcie drugi, który nakazuje zasypać stare podziały, wybrać przyszłość i „iść do przodu". Taki model, jej zdaniem, już dawno proponował Władimir Putin, pisząc swój manifest przed podróżą do Polski w 2008 r.

> Gołym okiem widać, że Putin zastawił pułapkę nie tylko na obóz rządzący w Warszawie, lecz i na zwalczającą Zjednoczoną Prawicę opozycję. Ta kuszona jest wizją pojednania z Moskwą, możliwością uprawiania nowej europejskiej, oczywiście postępowej, polityki, w której antyamerykanizm miesza się z marzeniami o normalizacji

Jak każda operacja dezinformacji, tak i ta w wykonaniu najwyższych rosyjskich oficjeli obliczona jest z jednej strony na zastraszenie potencjalnego przeciwnika, zdezawuowania nie tylko jego racji, lecz również prawa do wygłaszania poglądów. Ale nie miałaby żadnego sensu, gdyby nie zawierała przesłania o możliwym rozwiązaniu nawarstwionych konfliktów i sporów, nie ukazywała wreszcie sił politycznych, które lepiej rozumieją, na czym polega współczesny świat i jak rozwiązać rysujące się problemy.

Kilka dni później rosyjskie MSZ wydało specjalny komunikat, w którym dawało wyraz swego rozczarowania faktem, iż Unia Europejska przedłużyła o kolejne sześć miesięcy antyrosyjskie sankcje. „Europa straciła szansę poprawy stosunków z Federacją Rosyjską" – można przeczytać w oficjalnym rosyjskim stanowisku. I te elementy należy połączyć. Mam na myśli retoryczną antypolską agresję Putina, przekaz, w myśl którego trzeba zapomnieć o przeszłości i „wybrać przyszłość", godząc się na różne narracje, w tym i tę oficjalną rosyjską narrację historyczną ze zniesieniem sankcji wprowadzonych po agresji na Ukrainę.

KTO KOGO OGRYWA

Gołym okiem widać, że Putin w gruncie rzeczy zastawił pułapkę nie tylko na obóz rządzący w Warszawie, lecz również na zwalczającą władzę Zjednoczonej Prawicy opozycję. Ta kuszona jest wizją pojednania z Moskwą, możliwością uprawiania nowej europejskiej i oczywiście postępowej polityki, w której antyamerykanizm miesza się z marzeniami o normalizacji, wspólnym europejskim domu i wspólnej europejskiej tożsamości. Rosjanie grają w tym wypadku nie tylko na naiwności i niewiedzy swych rozmówców. Również na ich trudno skrywanym przekonaniu o własnych wysokich umiejętnościach, zwłaszcza politycznych, na zdolności „ograniа" wschodniego satrapy i sprawienia, że pewnego dnia, jak powiedział w przywoływanym wywiadzie Adam Michnik, Rosja „wejdzie do Unii Europejskiej", a inny tuz tego obozu widział Putina w NATO. Dodatkową pokusą jest możliwość choćby retorycznego pogrążenia obozu rządzącego i setek tysięcy przedstawicieli „czarnej sotni" manifestujących swe przywiązanie do „tenkraju" każdego 11 listopada.

Szukając polskich prorosyjskich formacji, których polityka sprzyja rozgrywce zaplanowanej w Moskwie, warto pamiętać o tym, że budowana na Kremlu narracja nie zawsze ogranicza się do „rewizjonizmu historycznego na sterydach" i może współbrzmieć, realizując cele polityczne Federacji Rosyjskiej, z tym, co myślą i czego chcą najbardziej europejscy Europejczycy. Ot, takie ukąszenie heglowskie.

eprasa.pl 31f09d037d

Chcemy mówić, że wojna nie wybuchła w 1941 r., jak twierdzą Rosjanie, tylko w 1939 r., ale gdzie mamy kogoś zabrać i co mu na ten temat pokazać? Rosyjski prezydent pokaże „muzeum pobiedy" i wyryte w imponującym marmurze daty 1941–1945. A my co? To dlatego liczę na ogólnonarodowe porozumienie w sprawie Westerplatte

Trwa wojna historyczna

Z dr. Karolem Nawrockim, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło

Czy podjąłby się pan oprowadzenia po ekspozycji Muzeum II Wojny Światowej prezydenta Władimira Putina i czy, według pana, mogłoby to mieć jakiś wpływ na jego kłamliwe teorie o Polakach jako współsprawcach tej hekatomby?

Karol Nawrocki: Jestem pewien, że nic by to nie zmieniło, bo słowa Władimira Putina oskarżające Polskę o udział w Holokauście i pakt z Hitlerem nie wynikają z niewiedzy. Oczywiście byłbym w stanie go oprowadzić po naszym muzeum, ale go nie zaproszę, bo jemu żadna nauka nie jest potrzebna. On doskonale wie, że pakt Ribbentrop–Mołotow był de facto przyczyną wybuchu II wojny światowej i że wybuchła ona w 1939 r. Jego słowa wobec Polski są niczym innym, tylko grą operacyjną doświadczonego oficera wywiadu i próbą geopolitycznego odwrócenia narracji historycznej, a historia jest tutaj tylko narzędziem.

Czyli manipulacja, a nie brak wiedzy?

Tak uważam. Byłem w Moskwie w Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, zwanej tam „muzeum pobiedy" (muzeum zwycięstwa), gdzie spotkałem się z moim odpowiednikiem. To gigantyczna placówka, największy gmach w parku Zwycięstwa na Pokłonnej Górze z ponad setką oddziałów w całej Rosji. Tam jest jasne, że wojna toczyła się w latach 1941–1945, a w sklepiku można kupić figurki Dzierżyńskiego, Lenina czy czapki budionówki z czerwoną gwiazdą. To pokazuje, że nawet przy tak ważnej instytucji kultury dialog historyczny pomiędzy Polską a Rosją nie jest możliwy. I to nie wynika z braku wiedzy, tylko z państwowej propagandy.

Putin nie jest jedynym przywódcą wielkiego mocarstwa, który – delikatnie mówiąc – mija się z prawdą o polskiej historii.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31f09d037d

Ale to jednak zupełnie inny przypadek niż wtedy, gdy słyszeliśmy np. od Barracka Obamy o „polskim obozie śmierci", gdy w 2012 r. nagradzał pośmiertnie w Białym Domu Jana Karskiego. Jestem w stanie uwierzyć, że to była niewiedza, na którą dodatkowo nałożyła się siła pewnego schematu słownego przez lata używanego w debacie publicznej. Gdy w grę wchodzi Rosja, przypadków nie ma.

Skoro nie ma dialogu i go nie będzie, to z czym mamy do czynienia? To wojna historyczna?

Tak, ona już trwa od dłuższego czasu i niestety w 2020 r. będziemy mieli jeszcze większe jej natężenie. Obecną odsłonę, czyli akurat te słowa Putina, uznawałbym za reakcję na naszą udaną politykę historyczną, na którą zdecydował się rząd PiS. Polska jasno dopomina się prawdy i zdecydowanie reaguje na pomówienia i kłamstwa pojawiające się na świecie.

Za epizod zwycięski należy przyjąć to, co wydarzyło się w Warszawie 1 września, zdecydowane słowa prezydenta Andrzeja Dudy, ale także niepozostawiające wątpliwości wystąpienia prezydenta Niemiec i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, które usłyszał cały świat.

Dlatego uznaję, że w kontekście globalnym tę walkę wygrywamy. Podkreśliłbym też znaczenie rezolucji Parlamentu Europejskiego, w której pakt Ribbentrop–Mołotow został uznany za kamień milowy na drodze do II wojny światowej, i wspólne oświadczenie premierów Polski Mateusza Morawieckiego oraz Izraela Beniamina Netanjahu, w którym jasno jest powiedziane, że Polski nie można wiązać z antysemityzmem, który doprowadził do Zagłady. To bardzo porządkuje opowieść o tych strasznych czasach. Do tej pory nasz przekaz był słaby, niejasny i nie zawsze zrozumiały na Zachodzie. Całe to pasmo zdarzeń może Władimira Putina wyprowadzać z poczucia komfortu, dociera do niego, że sowiecka narracja w tej kwestii przestaje dominować.

Muzeum II Wojny Światowej także ma w tym swój udział.

Tak i czuję z tego powodu wielką satysfakcję. Naszą wystawę „Pamięć i cierpienie" pokazaliśmy już w 160 miejscach, w 80 krajach na wszystkich kontynentach. To jasny przekaz, w którym mocne akcenty są położone na pakt Ribbentrop–Mołotow, a w zasadzie na porozumienie Hitler–Stalin, bo tak należy to rozumieć, ale też na daty 1 września 1939 i 17 września 1939, czyli momenty, gdy najechały nas dwa totalitaryzmy, niemiecki i sowiecki. Ten rozmach był możliwy dzięki współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Wiceminister tego resortu Szymon Szynkowski vel Sęk nazwał nasze działanie największą dotychczas akcją historyczną w polskiej polityce pamięci.

Wydaje się, że ostatnie twierdzenia Putina są tak niedorzeczne, że nie znalazł on zrozumienia chyba nigdzie na świecie. Dlaczego twierdzi pan, że w roku 2020 Putin będzie brnął w te kłamstwa jeszcze dalej?

Bo przed nami znów ważne, okrągłe rocznice. Przede wszystkim stulecie Bitwy Warszawskiej, a więc zatrzymania bolszewizmu przez polskie wojsko w 1920 r., ale także 75. rocznica zakończenia wojny. Jestem pewien, że to będzie okazja do wielkiej debaty nad pojęciem „wyzwolenie" Polski. Władze rosyjskie będą eksponowały narrację o przyniesieniu nam wolności, dlatego naprawdę duża odpowiedzialność spoczywa na polskich władzach, dyplomacji, ale także instytucjach takich jak nasze muzeum, by przebiła się opowieść o tym, jak było naprawdę. Trzeba jasno stawiać sprawę, że rok 1945 przyniósł Europie Środkowo-Wschodniej nie wyzwolenie, ale kolejny etap zniewolenia, tym razem przez inny system.

Intencje Putina wydają się rzeczywiście jasne – walczy o popularność we własnym kraju, ale jest coś, co „ugrywa" on niejako przy okazji. Chodzi o skłócenie polskich polityków, którzy nawet w tak oczywistych momentach nie przyjmują jednolitego frontu wobec pomówień z zewnątrz. Ze strony opozycji – na użytek doraźnej polityki – słyszymy nieprawdziwe stwierdzenia, że Polska jest osamotniona czy nawet izolowana, a także o słabości polskiej dyplomacji, która być może „nie powinna drażnić Putina", to wtedy przykre dla nas słowa by nie padły.

Postawa, w której gryziemy się w język i nie mówimy prawdy o naszej historii w obawie przed rozdrażnieniem któregokolwiek z przywódców innego państwa, jest niedopuszczalna. Więcej, mówienie prawdy o udziale Polski w II wojnie światowej jest naszym obowiązkiem. Tak robią dumne narody, nie zapominają, ale szukają sposobów, jak o politykę pamięci dbać. Przychodzi mi na myśl niedawne czteropunktowe porozumienie pomiędzy Donaldem Trumpem a Kim Dzong Unem, w którym zasadniczo chodziło o denuklearyzację, ale przy okazji prezydent USA wymógł możliwość wydobycia i repatriacji szczątków jeńców oraz zaginionych w akcji z czasu wojny koreańskiej z lat 1950–1953. To imponujące, że nawet przy tak delikatnych negocjacjach Amerykanie mają w pamięci swoich poległych i barwy polityczne nie mają tu znaczenia. Liczy się honor kraju.

Wyobraża pan sobie taką ogólnonarodową zgodę wśród polskich polityków?

Nie jestem w tej kwestii niestety optymistą. Po słowach Władimira Putina widać wyraźnie, że wspólnego frontu nie ma. To bardzo niedobrze, jestem zwolennikiem tego, by wokół polskich świętości historycznych istniała swego rodzaju linia demarkacyjna. W sprawach dotyczących II wojny światowej czy takich epizodów jak obrona Westerplatte powinniśmy mówić jednym głosem. Pojęcie „polityki pamięci" w Polsce funkcjonuje od XIX w., mamy więc w tym zakresie spore tradycje. Dlatego niezrozumiałe są dla mnie wybory polityków, którzy wiedząc, że polityki historycznej nie można nie prowadzić, te kwestie pomijają albo naginają fakty. To tym bardziej dziwne, bo jesteśmy w na tyle korzystnej sytuacji, że my nie musimy niczego jak Putin wymyślać, reinterpretować historii. Wystarczy ją opowiadać, choć to często bolesne doświadczenia.

Z punktu widzenia pana jako historyka opowiadanie historii wiąże się z budowaniem muzeów. Tymczasem słyszmy od odradzającej się lewicy czy zapatrzonych w przyszłość liberałów,

eprasa.pl 31f09d037d

że już wystarczy tej martyrologii i że muzeów mamy w Polsce za dużo. To prawda?

Absolutnie nie. Na tym polu mamy jeszcze naprawdę dużo do nadrobienia i mam nadzieję, że to się uda już w najbliższych czterech, pięciu latach. Nie mamy np. muzeum 1939 r. ani muzeum Westerplatte. Gdy w 2018 r. przygotowywaliśmy w Gdańsku światowe forum muzeów pól bitewnych, to zaprowadziliśmy szefów różnych placówek muzealnych w miejsce rozpoczęcia wojny. Z pewnym wstydem to wspominam, ale niektórzy myśleli, że to jakiś żart, dopytywali, czy już jesteśmy w tym miejscu, do którego mieliśmy dotrzeć. Stoimy pomiędzy krzakami a jakimiś socrealistycznymi budynkami, a ja im chcę opowiedzieć o miejscu, które w polskiej polityce pamięci ma być najpotężniejszym narzędziem do opowiadania prawdziwej historii i walki z takimi kłamstwami, jak te rozpowszechniane teraz przez Putina. Chcemy mówić, że wojna nie wybuchła w 1941 r., jak twierdzą Rosjanie, tylko w 1939r., ale gdzie mamy kogoś zabrać i co mu na ten temat pokazać? Rosyjski prezydent pokaże „muzeum pobiedy" i wyryte w imponującym marmurze daty 1941–1945. A my co? To dlatego liczę na ogólnonarodowe porozumienie w sprawie Westerplatte, to jest sprawa, która powinna nas połączyć. Tam naprawdę nie ma paliwa do doraźnej walki politycznej. Fakt, że to będzie kolejne muzeum klęski, bo Września '39 nie udało się wygrać, ale w nim zapisany jest archetyp polskiej postawy w całej II wojnie światowej, gotowości walki o najważniejsze wartości. Powiem więcej, to wtedy rodził się zalążek charakteru, który mieli uczestnicy polskiego podziemia niepodległościowego po wojnie, a więc żołnierze wyklęci.

Skąd się zatem bierze dyskusja, która wykwita w postaci popularnych i dobrze sprzedawanych książek, że ta krew była przelana niepotrzebnie? Czy to, że są polscy autorzy, którzy suflują nam alternatywne rozwiązania, że może trzeba było iść z Hitlerem, wynika z jakiegoś kryzysu atrakcyjności prawdziwego przekazu i tej opowieści o bohaterstwie, ale jednak zwieńczonych klęskami?

Ja mam to szczęście, że nie muszę zajmować się w muzeum jakimikolwiek historiami alternatywnymi, choćby najbardziej atrakcyjnymi, spisywanymi 80 lat po wojnie. Mamy tu pokazywać prawdę w oparciu o fakty, a nie czyjeś teorie. A fakty są takie, że w starciu z dwoma śmiercionośnymi totalitaryzmami Polacy zachowywali się jak przystało na naród z zakodowanym w DNA genotypem wolności. Znam oczywiście publikacje, o które panowie pytają, ale traktuję je jako spekulacje i nic więcej. Z jednej strony jestem zwolennikiem jak najszerszej debaty, dobrze, że są zadawane pytania, nawet najmniej komfortowe, które polska dyplomacja ma mieć z tyłu głowy, gdy uczestniczy w obecnej debacie o zagrożeniach. Ale jeśli ten dyskurs ma przybierać formę stawiania tez, które oskarżają Polaków o to, że Hitler i Stalin rozdrapali nasz kraj, to ja się na to nie zgadzam. Po wojnie straciliśmy niepodległość na kolejne 50 lat i sporą część tkanki ludzkiej. Moja ocena jest taka, że rzeczywiście chyba żaden gorszy los nie mógł się Polakom przydarzyć, ale obciążanie za to winą polskich władz jest nadużyciem.

> Postawa, w której gryziemy się w język i nie mówimy prawdy o naszej historii w obawie przed rozdrażnieniem któregokolwiek z przywódców innego państwa, jest niedopuszczalna

Kilka miesięcy temu rozgrzewał polską opinię publiczną spór, który tak naprawdę był wykwitem konfliktu gdańskiego samorządu z rządem. Premier i resort kultury, chcąc wdrożyć specustawę i zainwestować ogromne pieniądze w budowę muzeum pola bitwy na Westerplatte, byli oskarżani o „odbieranie miastu Westerplatte", i to stalinowskimi metodami, była wręcz mowa o wywłaszczaniu.

Dyskusja była rzeczywiście gorąca, czasem z użyciem bardzo nieuczciwych argumentów ze strony miasta, ale to tylko udowodniło, że Westerplatte jest dla nas wszystkich naprawdę ważnym miejscem. Wydaje mi się, że spór został zamknięty, gdy się okazało, że podczas szóstego sezonu prac archeologicznych odnaleźliśmy tam dziewięć ludzkich szkieletów, najprawdopodobniej to szczątki polskich bohaterów z 1939 r. Po tym nie ma już chyba rzeczywiście argumentów, by nie wybudować tam muzeum nie tylko dotyczącego obrony Westerplatte, lecz całej wojny obronnej 1939 r.

Czy to oznacza, że prezydent Aleksandra Dulkiewicz zrozumiała, że kłótnia była bezcelowa, że miasto po prostu zyska na tej inwestycji?

Widzę rzeczywiście lekką zmianę nastawienia miasta do tego, co ma się stać na Westerplatte. Mam wrażenie, że przyniosła efekt nasza dobra praca i także pomoc mediów, które sprawę nagłaśniały, pokazywały, jak to miejsce naprawdę wygląda. Dzisiaj już nie ma wątpliwości, że Westerplatte powinno być w opiece państwa, które ma wizję jego rozwoju, ale także, co nie mniej istotne, możliwości finansowe, by ją zrealizować, i to tak, by nie tylko pokazywać fakty, lecz rozpalać wyobraźnię zwiedzających i budować dumę z kraju. W takim momencie przypominają mi się słowa pewnego człowieka, który wrócił z muzeum w Pearl Harbor i stwierdził, że po wyjściu był tak naładowany emocjami, że byłby skłonny iść walczyć za Amerykę.

Miasto Gdańsk od lat prowadzi przedziwną politykę historyczną. Z jednej strony mamy niszczejące od dawna Westerplatte, miejsce bohaterstwa polskiego żołnierza, zaniedbane,

eprasa.pl 31f09d037d

przeznaczone niegdyś pod deweloperskie inwestycje historyczne tereny klubu Gedania, a z drugiej odrestaurowany niemiecki napis „Postamt" na budynku poczty, tramwaje nazwane imionami nazistów czy rondo upamiętniające II Wolne Miasto Gdańsk, skrajnie antypolski twór, w którym na NSDAP głosował większy odsetek ludzi niż w Rzeszy.

To jest rzeczywiście wstrząsające, że są takie pomysły, by ocieplać wizerunek tego „laboratorium nazizmu" jak chyba należałoby nazywać Wolne Miasto Gdańsk z lat 1920-1939. Należy oczywiście pamiętać o tym, że taki wstydliwy okres w historii miasta był, ale należy na niego patrzeć przez perspektywę ówcześnie mieszkających tu Polaków. Nigdy nie mieli tu łatwego życia, ale za pielęgnowanie swoich wartości, podtrzymywanie kultury i patriotyzm zapłacili największą cenę już pierwszych dniach wojny. Ks. Franciszek Rogaczewski za swoją polskość został zamordowany, a pomnika doczekał się dopiero w 2019 r. Tymczasem tramwaj imienia nazistowskiego naukowca Adolfa Butenandta jeździł po mieście wiele lat wcześniej. To pokazuje, jak bardzo niewłaściwie rozłożone były i wciąż są akcenty polityki historycznej Gdańska. Coś tu jest nie tak, prawda?

Samo Muzeum II Wojny Światowej jest dobrym przykładem tej niechęci wobec pielęgnowania dumy z polskości. Gmach imponujący, ekspozycja bardzo droga, ale braki w narracji szokujące, a każda próba zmiany naraża pana na proces sądowy. Dlaczego mimo tego decyduje się pan na zmiany?

Nie ma droższego muzeum w Polsce, kosztowało pół miliarda złotych. Liczyliśmy kiedyś, że każdy Polak dał na nie 13 zł. Ekspozycja została zbudowana z wykorzystaniem najnowszych technologii i możliwości na najwyższym poziomie. Natomiast mam radykalne zastrzeżenia do tego, gdzie w tej opowieści położone są akcenty, bo one powodują, że nie ma tutaj narracji, która dawałaby nam argumenty choćby w dyskusji z takimi oskarżeniami, jakie wysuwa wobec nas Putin. Najbardziej wzruszającym momentem podczas zwiedzania jest opowieść o więźniach sowieckich w niemieckiej niewoli. Ten element jest oprawiony dobrze światłem, ciekawą ekspozycją, modlitwą sączącą się z głośników, łzy same napływają do oczu. A nie ma tego przy opowieści o wrześniu 1939 roku, gdy mówimy o początku mordowania Polaków. Emocje zaczynają się nie w tym miejscu, które jest największą raną w polskiej historii, ale w momencie, gdy wojnę między sobą zaczynają dwa demony, sowiecki i niemiecki. Oczywiście, że cierpienie 3 mln zagłodzonych sowieckich więźniów było faktem i chcemy o nim u nas opowiedzieć, ale to nie jest początek tego największego konfliktu w dziejach ludzkości. W całej ekspozycji wprowadziliśmy do tej pory 26 zmian, wszystkie zostały oprotestowane przez naszych poprzedników i są przedmiotem sporu sądowego.

> Bo przed nami ważne rocznice – stulecie Bitwy Warszawskiej, 75. rocznica zakończenia wojny. Władze rosyjskie będą eksponowały narrację o przyniesieniu nam wolności, dlatego naprawdę duża odpowiedzialność spoczywa na polskich władzach, ale także instytucjach takich jak nasze muzeum, by przebiła się opowieść o tym, jak było naprawdę

Co zniknie w przypadku przegranej?

Jeśli sąd uzna rację autorów pierwotnej formy wystawy, to będzie oznaczało, że będziemy musieli np. usunąć wizerunek o. Maksymiliana Kolbego, ks. Wincentego Frelichowskiego, polskiej flagi z Lwowa i przywrócić poprzednią formę sali poświęconej komunizmowi, gdzie Stalin był przedstawiony jako sternik na okręcie, a symbolem linii czasu była gra planszowa. My dołożyliśmy np. eksponat rewolwer Nagant – broń, którą NKWD strzelało w potylicę polskim oficerom, by nie zmiękczać i nie niuansować opowieści o tym zbrodniczym systemie. Wracając do Putina, on o tych czasach może sobie opowiadać, co chce, a my mamy na to zdecydowanie reagować. Ale w największej muzealnej inwestycji w historii Polski nie możemy się wpisywać w tę sowiecką narrację.

To jakiś absurd, że dyrektor państwowego muzeum, zbudowanego za pieniądze Polaków, musi się w sądzie bić o polską narrację z osobami, które uważają, że ich prawa autorskie są nienaruszalne.

Jeśli przegramy proces, to się okaże, że czterech historyków, moich poprzedników, dyrektorów, ma prawa autorskie do wystawy za 50 mln zł publicznych pieniędzy w muzeum zbudowanym za pół miliarda złotych, także z publicznych pieniędzy. To będzie oznaczało nadanie im praw niezbywalnych, dziedziczonych, które przypadną ich synom, a potem wnukom. Jakkolwiek niedorzecznie by to zabrzmiało, to MIIWŚ może się stać pierwszą nomenklaturową spółką w kategorii pamięci i muzeów.

Muzeum to musi być coś więcej niż ekspozycja, to centrum edukacji, ale jak nauczać polskiej historii w takich realiach?

Dlatego pewne zmiany były konieczne natychmiast. Jak mogliśmy wymagać, by ktokolwiek wyszedł od nas z poczuciem dumy z polskich bohaterów, gdy np. postać rtm. Witolda Pileckiego ograniczała się na 5 tys. mkw. do jednego legitymacyjnego zdjęcia?

Dlaczego tak się stało? Kto i dla kogo budował to muzeum?

Muzeum zbudował Paweł Machcewicz, który był doradcą Donalda

eprasa.pl 31f09d037d

Fot. Andrzej Wiktor

Tuska. Jego motywacji, dlaczego ekspozycja wygląda właśnie tak, nie znam. Kierował tą placówką do 2017 r. Pomysł zbudowania właśnie takiego muzeum, nowoczesnego, z rozmachem był świetny. Bardzo dobrze, że tak dużo zainwestowano w polską historię. Natomiast to, że na ekspozycji nie znaleziono miejsca dla wybitnych postaci jak o. Kolbe, a inne skrajnie zmarginalizowano, jak w przypadki Pileckiego czy Ireny Sendlerowej, jest zadziwiające. Odnoszę wrażenie, że zamiarem nie było zbudowanie dumy z polskiego bohaterstwa, tylko zupełne przebudowanie tej opowieści. Nie pokażemy wam tych, z których powinniście być dumni, może warto o nich zapomnieć. Ale czy to jest polska racja stanu, niech każdy sobie sam odpowie.

Jakkolwiek niedorzecznie by to zabrzmiało, to Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku może się stać pierwszą nomenklaturową spółką w kategorii pamięci i muzeów

Dyskusja wokół kłamstw Putina odbywa się 75 lat po zakończeniu II wojny światowej. Dlaczego po tylu latach ten temat wciąż jest tak żywy, dlaczego warto się upominać dosłownie o każdy szczegół tej tragicznej historii?

Tylko nam się wydaje, że to było dawno temu. W myśleniu historycznym to jednak wiele czasu nie upłynęło, a tragedia tej wojny sprawia, że ta rana jest wciąż otwarta. Żyją ludzie, którzy tej największej traumy w polskiej, ale i światowej świadomości dotknęli osobiście. Ta historia dotyka dosłownie każdej polskiej rodziny. Badania muzealne pokazują, że jeżeli Polacy rozmawiają o historii, to zazwyczaj tematem jest II wojna światowa, tak głęboko w nas to tkwi. Jest jeszcze jeden aspekt. Analogie z czasu tuż przed rokiem 1939 można odnaleźć w dzisiejszych czasach. Myślę o pełzających konfliktach, ale też pobłażaniu ekonomicznemu i pozwalaniu na zbrojenie się państwom, które mają złe intencje i imperialne zapędy. Mnie jako historyka to przeraża. Muzeum ma być i jest przestrogą, mówimy przecież o śmierci blisko 70 mln ludzi. Ale czy i jak można było tego uniknąć? Nikt nie jest w stanie podać na to recepty.

eprasa.pl 31f09d037d

Dziwne gry konfederatów

Przyjęta przez aklamację uchwała potępiającą „prowokacyjne i niezgodne z prawdą" wypowiedzi Putina wywołała aplauz wszystkich posłów, za wyjątkiem Korwina-Mikke

Fot. Krzysztof Gawkowski/Twitter

Werbalny atak Władimira Putina na Polskę spotkał się z względnie spójną reakcją niemal wszystkich środowisk, wliczając w to Związek Gmin Żydowskich czy naczelnego rabina RP. Tymczasem liderzy Konfederacji – ugrupowania, które bardzo ostro i radykalnie reaguje na każdy przejaw kontrowersji w relacjach z USA, Izraelem, instytucjami UE czy Ukrainą – tym razem byli dość powściągliwi w ocenach. A w niektórych przypadkach po prostu szokowali. Dlaczego?

MARCIN FIJOŁEK

Ostatnie dni roku 2019 w polskiej polityce upłynęły pod znakiem kolejnych skandalicznych manipulacji w wypowiedziach Władimira Putina. Rosyjski prezydent kilkukrotnie przekonywał opinię publiczną, że Polacy kolaborowali z niemieckimi nazistami, Związek Sowiecki „niczego Polsce nie odebrał", a przedwojenny polski ambasador w Niemczech (Józef Lipski) to „łajdak i antysemicka świnia". Do słów rosyjskiego przywódcy odniosło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych (wzywając ambasadora Rosji), a specjalne oświadczenie wydał premier Mateusz Morawiecki. „Prezydent Putin wielokrotnie kłamał na temat Polski. Zawsze robił to w pełni świadomie. Zwykle dzieje się to w sytuacji, gdy władza w Moskwie czuje międzynarodową presję związaną ze swoimi działaniami. I to presję nie na historycznej, a na jak najbardziej współczesnej scenie geopolitycznej" – czytamy w deklaracji szefa polskiego rządu.

Tak mocno drażliwi w kwestiach relacji międzynarodowych przedstawiciele Konfederacji (regularnie powracające tezy o izraelskiej poczekalni czy kondominium pod żydowskim zarządem powierniczym) tym razem jednak zachowali się zaskakująco wstrzemięźliwie. Jeszcze przed zabraniem głosu przez premiera Morawieckiego liderzy tego ugrupowania apelowali o przemilczenie całej sprawy. „Takie zaczepki trzeba ignorować. Wejście w komentowanie ich to byłoby działanie według scenariusza Kremla" – przekonywał Krzysztof Bosak. Tym trudniej ustalić jednolite stanowisko Konfederacji, gdy wczytujemy się w oficjalne oświadczenie wspomnianej

eprasa.pl 31f09d037d

partii, gdzie napisano o „lawinie kłamstw, której musimy się stanowczo przeciwstawić i obronić prawdę".

Nawet jeśli stanowisko partii przyjąć za dobrą monetę, to trudno zrozumieć sposób, w jaki liderzy Konfederacji – pod koniec grudnia walczący o nominację tej partii w wyborach prezydenckich – postanowili „stanowczo się przeciwstawić". Za przykład niech posłuży Janusz Korwin-Mikke, który jako autor „Rzeczpospolitej" opublikował na łamach tego dziennika długi tekst publicystyczny, w którym przekonuje o tym, że Putin... „niemądrze pożartował" i „nie warto zajmować się takimi bzdurami". Na antenie Polsat News rozwijał swoją barwną myśl: „Prezydent Rosji się ośmieszył, natomiast nie rozumiem, dlaczego my tak ostro reagujemy i dajemy się nabierać na to. Trzeba się z tego powodu śmiać. Nie wiem, dlaczego my nie wykazujemy poczucia humoru" – przekonywał Korwin-Mikke.

Słowa jednego z liderów federacyjnej Konfederacji nieraz bywały już problemem dla innych polityków. Kilka tygodni temu w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Krzysztof Bosak przyznawał, że na kampanijnym zapleczu ugrupowania trwa intensywna praca, „by w tych sprawach prezentować odpowiedzialny i spójny przekaz, zgodny z polską racją stanu". Jednym z dowodów na refleksję w tej sprawie miała być narzucona odgórnie rezygnacja z wywiadów udzielanych przez konfederatów rosyjskim mediom. „Odmawiamy wywiadów do Sputnika. Jedna krótka rozmowa, której treść była OK z polskiej perspektywy, to nie podstawa, by kogoś skreślać" – napisał Bosak. Niestety, poza tym odcinkiem praca ta jest albo pozorowana, albo po prostu nieskuteczna, bo Korwin-Mikke szedł w swoich ocenach dalej, oceniając, że Polacy mają „hopla na punkcie Rosji", a reakcję Putina można interpretować jako... objaw przerażenia polityką Stanów Zjednoczonych. „Jastrzębie z Waszyngtonu niemal jawnie głoszą, że dążą do zniszczenia Rosji – szykują się do wojny" – czytamy w tekście polityka. Kuriozalna narracja lidera Konfederacji nie ominęła też polityki historycznej. Trudno inaczej ocenić bowiem tezy Korwin-Mikkego, w których czytamy, że „terror hitlerowski skierowany przeciwko polskim elitom był względnie łagodny".

Tyle Korwin-Mikke. Byli jednak i tacy przedstawiciele Konfederacji – jak wspomniany wcześniej Bosak czy Robert Winnicki – którzy zwracali uwagę, że słowa Putina trzeba ocenić jako kłamstwa, a Rosja „poszła na wojnę dyplomatyczną". W ich ocenach nie zabrakło jednak również takich wypowiedzi, które tłumaczyłyby stanowisko rosyjskiego prezydenta „emocjami" czy apelowałyby o „rozumienie działań Putina w kontekście zarówno zewnętrznym, jak i wewnętrznym w samej Rosji". Z brakiem entuzjazmu spotkała się też propozycja wspólnej reakcji polskiej sceny politycznej na oskarżenia Putina. Poseł Konfederacji ocenił, że „rzadko mówi się jednym głosem".

> Korwin-Mikke na łamach „Rzeczpospolitej" przekonywał, że Putin, oskarżając Polskę o współpracę z Hitlerem i przyczynienie się do wybuchu wojny oraz Holokaustu, „niemądrze pożartował" i „nie warto zajmować się takimi bzdurami"

Co charakterystyczne, o wiele więcej uwagi, emocji, czasu i słów liderzy Konfederacji poświęcili krytyce Amerykanów za ich politykę wobec Iranu, zwłaszcza po zabójstwie gen. Kasema Sulejmaniego. Krytyka ścisłego sojuszu z USA wybrzmiała zresztą jeszcze w listopadzie, gdy podczas dyskusji sejmowej Grzegorz Braun ocenił jako „zdradę" gotowość Polski do przyjęcia kolejnych amerykańskich żołnierzy, którzy mieliby stacjonować nad Wisłą. „Mówili o bezpieczeństwie narodowym ludzie, którzy jego gwarancji upatrują w sprowadzaniu wojsk obcych na terytorium Rzeczypospolitej. I to jest zdrada" – przekonywał Braun.

Już po wybuchu kryzysu na linii USA–Iran konfederaci zaapelowali do władz państwa, żeby w związku z sytuacją na Bliskim Wschodzie szybko wycofała polskich żołnierzy z Iraku. „Nie daj Bóg, żeby polskie wojsko realizowało misję okupanta" – powiedział poseł Grzegorz Braun na konferencji w Sejmie. Robert Winnicki dodawał z kolei, oceniając relację Polski i USA: „Niestety rządzącym w Polsce, zarówno w Pałacu Prezydenckim, jak i w kancelarii premiera, myli się sojusznik ze zwierzchnikiem". Szukanie wyrwy w relacjach z Amerykanami dotyczyło też rosnącego napięcia między Iranem a USA: gdy ajatollah Ali Chamenei w swojej wypowiedzi po odwecie na bazy w Iraku powiedział o „małym, złym kraju w Europie", niemała część opinii publicznej chciała dostrzec w tej wypowiedzi pogróżki wobec Polski. Tak zresztą zrobił jeden z liderów Konfederacji, Robert Winnicki, krzycząc z mównicy sejmowej w kierunku przedstawicieli rządu: „To jest efekt waszej polityki!". Co prawda się okazało, że irańskiemu ajatollahowi chodziło o Albanię, niemniej jednak przekaz konfederatów zapewne trafił przynajmniej do części internetowych baniek. W tej radykalnie ostrej krytyce sojuszu z USA przedstawicielom koła Konfederacji było zresztą w ostatnich tygodniach zaskakująco blisko do polityków Lewicy, uderzających w prezydenta Donalda Trumpa na bardzo emocjonalnej nucie. W stanowisku Partii Razem można przeczytać porównanie Trumpa do „rozwydrzonego dzieciaka", a kandydat Lewicy w wyborach prezydenckich – Robert Biedroń – nazwał amerykańskiego prezydenta „waszyngtońskim furiatem z krwią na rękach".

Dwojakie, ambiwalentne podejście do relacji z Rosją i ostra, nieprzejednana krytyka sojuszu polsko-amerykańskiego po ostatnich wydarzeniach w Iranie: gdziekolwiek dopatrywać się przyczyn tego stanu rzeczy, Konfederacja w ostatnich tygodniach bardzo wyraźnie zaakcentowała priorytety swojego pomysłu na politykę zagraniczną naszego kraju. Biorąc pod uwagę dotychczasowy kurs prezydenta Andrzeja Dudy i rządu Prawa i Sprawiedliwości, trudno nie odnotować coraz wyraźniejszych różnic między oboma ugrupowaniami odwołującymi się do wyborców konserwatywnych i prawicowych. Najbliższe tygodnie i miesiące – a zwłaszcza czas kampanii przed majowymi wyborami prezydenckimi – będą zapewne okresem, kiedy ten kontrast będzie jeszcze bardziej uwypuklony.

eprasa.pl 31f09d037d

Uczta schetynożerców

Nie ma znaczenia, kto zostanie nowym przewodniczącym PO, gdyż i tak będzie to kot w worku, a po zmianie ta partia może się już się nie odrodzić

STANISŁAW JANECKI

Od przegranych wyborów parlamentarnych (13 października 2019 r.) polityczne ojcobójstwo na Grzegorzu Schetynie stało się jedyną możliwością zmiany w Platformie Obywatelskiej. A głównym autorem takiej tezy i strategii nie byli tzw. młodzi (wściekli) w partii, lecz jej współzałożyciel i przez ponad 11 lat przewodniczący – Donald Tusk. Schetyna znał tę strategię i próbował się bronić aż do końca 2019 r. Poddał się 3 stycznia 2020 r., w ostatnim dniu zgłaszania kandydatur na przewodniczącego partii, gdy zawiodły wszystkie jego sposoby na odwrócenie scenariusza ojcobójstwa. Tego samego dnia Schetyna namaścił na następcę swego zastępcę Tomasza Siemoniaka, wtedy ujawnił się też ostatni pretendent – Bartłomiej Sienkiewicz. Trzej kandydaci na przewodniczącego są w „starym" zarządzie partii – Bartosz Arłukowicz, Borys Budka, Tomasz Siemoniak, a dwaj ostatni nawet jej wiceprzewodniczącymi. Dwaj pretendenci są starsi od Grzegorza Schetyny: Bogdan Zdrojewski – 62 lata, Bartłomiej Sienkiewicz – 58 lat, a po pięćdziesiątce jest też Tomasz Siemoniak (52 lata). Najmłodsi są Borys Budka – 41 lat oraz Joanna Mucha – 43 lata. O fotel przewodniczącego walczy zatem troje czterdziestolatków (jeszcze Bartosz Arłukowicz – 48 lat) oraz trzech polityków ponadpięćdziesięcioletnich. Ten zestaw dzieli się na trzy zwalczające się pary: Budka i Siemoniak, Arłukowicz i Sienkiewicz, Mucha i Zdrojewski, ale to tylko wstęp do bardziej skomplikowanych podziałów.

ANTY-SCHETYNA

Przed 3 stycznia 2020 r. jedyny program zgłoszonych wtedy kandydatów na przewodniczącego PO stanowiło bycie anty-Schetyną. W czym zresztą odbijał się cały pomysł programowy PO kierowanej przez Schetynę, czyli bycie anty-PiS. Mucha, Budka, Arłukowicz i Zdrojewski byli zdeklarowanymi wrogami Schetyny. Wszystkich na różnych etapach funkcjonowania PO chciał wyrzucić z partii, ale nie był w stanie, dlatego podjął z nimi różne gry. Jak się okazuje, nic one nie dały. Po rezygnacji obecnego przewodniczącego ze startu z antyschetynowcami walczy dwóch jego zwolenników – Siemoniak i Sienkiewicz, choć ten pierwszy prawie do końca 2015 r. był jego przeciwnikiem. Gdyby wygrał Siemoniak lub Sienkiewicz, Schetyna dostałby coś na pocieszenie. Ale liczenie na to, że mógłby wtedy kierować partią z tylnego siedzenia, jest nieporozumieniem. Wywyższona osoba natychmiast dostrzega swój napoleoński potencjał i zrywa wszelkie więzy z promotorem czy mentorem. Tak się stało z Budką, który najpierw (na początku 2016 r.) został okiełznany

eprasa.pl 31f09d037d

stanowiskiem wiceprzewodniczącego partii, ale po wyborach 13 października 2019 r. wbrew Schetynie postanowił zostać szefem klubu parlamentarnego i przewodniczący partii nie był w stanie się temu przeciwstawić. Drugi przypadek to namaszczona na premiera Małgorzata Kidawa-Błońska, która mimo forowania jej przez Schetynę w roli kandydatki na prezydenta przeszła do obozu jego wrogów w partii, nie demonstrując nawet cienia wdzięczności za wyniesienie.

Schetyna długo badał siłę poparcia dla siebie w partii, najpierw odpowiednio ustawiając zestaw elektorów wybierających kandydata PO na prezydenta, ale nawet to ustawianie mu nie wyszło. Ci, na których liczył, okazali się oportunistami wyczekującymi zmian i z ostrożności nie pojawili się na wyborczej konwencji, przez co kandydat Schetyny, Jacek Jaśkowiak, nie miał najmniejszych szans. Potem Schetyna sprawdzał poparcie dla siebie wśród członków PO w regionach, ale okazało się, że i oni oportunistycznie woleli już nie narażać się ewentualnemu następcy. A nawet ten oportunizm zaczął dominować w kręgu szefów regionów, których wywyższył sam Schetyna, więc teoretycznie byli jego ludźmi. I właśnie to przelało czarę goryczy, wpływając na decyzję przewodniczącego. Rezygnacja nie była więc wspaniałomyślnym gestem czy wstępem do nowej wizji programowej, lecz wynikała z pewności dotkliwej klęski, nawet z dwoma lub trzema konkurentami. A to byłoby dla Schetyny zabójcze, szczególnie wizerunkowo, i nie dawało mu żadnych szans zaczepienia się przy nowym przewodniczącym, nawet gdyby chodziło tylko o litość. Gdyby nie zrezygnował, kampania wyborcza w PO byłaby jedną wielką jatką przeciwko Schetynie, wspieraną przez nielubiące go liberalno-lewicowe media. Ale Schetyna zniknął bez potrzeby niszczenia go czy wbijania mu sztyletu w plecy. W pewnym sensie to jest także jego zemsta na przeciwnikach, gdyż muszą teraz przedstawić jakieś pozytywne tezy programowe, a tych jak na lekarstwo, co widać np. w wypowiedziach najbardziej doświadczonego z nich – Zdrojewskiego. Jedyne, co z tych wypowiedzi wynika, to to, że teraz musi być inaczej, ale jak inaczej, tego już się nie dowiadujemy. Przy okazji Zdrojewski (i nie tylko on) zaczął o Schetynie mówić pozytywnie, co wcześniej się nie zdarzało.

WSZYSCY PRZECIW WSZYSTKIM

Jedna z linii podziałów między kandydatami na przewodniczącego PO biegnie wedle partyjnego zakorzenienia. A wtedy Mucha, Budka, Siemoniak i Zdrojewski występują w opozycji do Arłukowicza i Sienkiewicza. Arłukowicz przez lata był politykiem związanym z SLD, który najpierw wyłącznie „chlastał" rząd Donalda Tuska, a szczególnie Ewę Kopacz jako minister zdrowia, a potem (w maju 2011 r.) został przez ówczesnego premiera i szefa partii najzwyczajniej kupiony za specjalnie dla niego stworzone, choć w sumie fikcyjne, stanowisko pełnomocnika ds. przeciwdziałania wykluczeniu społecznemu. Arłukowicz, mimo gorliwości typowej dla neofitów, był od tego czasu traktowany w PO jako karierowicz i oportunista, który idzie tam, gdzie akurat są konfitury. W dodatku idzie po trupach, jeśli sytuacja tego wymaga. Arłukowicz wciąż nie jest więc w partii traktowany jako godny pełnego zaufania, tym bardziej że nie przeszedł z PO całego szlaku bojowego. Podobnie jest zresztą do dziś traktowany Radosław Sikorski, mający znacznie dłuższy staż w PO od Arłukowicza, gdyż przeszedł do tej partii już we wrześniu 2007 r. Z kolei Sienkiewicz formalnie wstąpił do PO dopiero po wyborach 13 października 2019 r., choć już w lutym 2013 r. został szefem MSW i koordynatorem służb specjalnych w rządzie Tuska, a po odejściu z rządu (22 września 2014 r.) w następnym roku został szefem zaplecza intelektualnego PO, czyli think tanku Instytut Obywatelski. Sienkiewicz jest przez to traktowany raczej jako człowiek Tuska, a potem Schetyny niż krew z krwi PO, a jeszcze bardziej jako niedający się kontrolować i okiełznać emerytowany oficer tajnych służb chodzący własnymi ścieżkami. O tym można było usłyszeć w nagranej potajemnie rozmowie ówczesnej wicepremier Elżbiety Bieńkowskiej z szefem CBA Pawłem Wojtunikiem. To sprawia, że właściwie nikt w PO nie wie, co Sienkiewicz zrobi czy z kim chciałby

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 31f09d037d

współpracować. Tym bardziej że w zarządzie i radzie krajowej PO panuje lęk przed metodami znanymi Sienkiewiczowi z czasów jego służby w Urzędzie Ochrony Państwa.

Budka i Siemoniak są przez pozostałą czwórkę konkurentów przedstawiani jako ważne postacie establishmentu Schetyny, czyli starego układu w partii. Byli wiceprzewodniczącymi i akceptowali program Schetyny, który teraz wszyscy uznają za błędny, a nawet skompromitowany. Mucha czy Zdrojewski wypominają im tę potulność i firmowanie wszystkich błędów Schetyny. I pytają, dlaczego Budka i Siemoniak milczeli, a wręcz firmowali ten program. Ten sam zarzut jest zresztą stawiany Arłukowiczowi, który był w zarządzie partii. Na niekorzyść Siemoniaka działa poza tym „namaszczenie" go przez Schetynę, co jest interpretowane jako chęć kontynuowania jego kursu i programu. Na niekorzyść Muchy i Zdrojewskiego działa z kolei ich status outsiderów w partii. Mucha nie jest traktowana jako poważny kandydat, mimo wielkich ambicji, ale jest tolerowana jako jedyna kobieta w tym towarzystwie, co ma ratować honor partii przed zarzutami o maczyzm i mizoginię. Z kolei na niekorzyść Zdrojewskiego działa jego izolacja w partii przez lata oraz jego wiek, bo co to miałaby być za zmiana, jeśli następca Schetyny byłby od niego o sześć lat starszy. Mucha jest poza tym postrzegana jako osoba, której nikt nie będzie w partii słuchał, Zdrojewski zaś jako zbyt miękki na potrzeby walki z rządzącą Zjednoczoną Prawicą i depczącą PO po piętach (w sondażach) lewicą. Oboje łączy programowa ogólnikowość polegająca na wskazaniu dziedzin, w których powinny nastąpić zmiany, ale bez konkretów i strategii. Mucha i Zdrojewski są z tych powodów traktowani jako kandydaci bez większych szans.

AMBITNI KONTRA CIAMCIARAMCIA

Politycy PO spodziewają się decydującej rozgrywki między Budką a Arłukowiczem, ewentualnie jeszcze Siemoniakiem, bo w partii lęk przed rewolucją jest jednak spory. A Siemoniak jest gwarantem spokojnej ewolucji, choć na jego niekorzyść działa miękkość i brak wyrazistości, co jest określane jako „ciamciaramcia". No i obawa, że zza pleców Siemoniaka w każdej chwili mógłby wychynąć Schetyna. Z dwójki potencjalnych liderów rozgrywki Budka jest postrzegany jako bardziej przewidywalny, dbający o procedury, a przynajmniej o pozory, co demonstrował, przemawiając w Sejmie jako szef klubu czy reagując na różne ważne dla Polski wydarzenia za granicą. Budka stara się też być nobliwy, choć jest najmłodszy z całego towarzystwa. Arłukowicz ma natomiast opinię nieprzewidywalnego rewolucjonisty, anarchisty, a wręcz jeźdźca bez głowy, który się podpala, a potem gaśnie, a nawet znika. Arłukowicz ma poza tym kompletnie nierealistyczny pomysł kierowania PO przez rodzaj biura politycznego, w którym on sam byłby tylko pierwszym członkiem takiego ciała. Żaden z pretendentów nie ma ani doświadczenia, ani umiejętności kierowania partią taką jak PO, przynajmniej w wersji do końca 2019 r., czyli intrygowania, manipulowania, zastraszania, przekupywania, napuszczania jednych na drugich. Nie mają też umiejętności czytania polityki, może poza Sienkiewiczem, ale on z kolei ma problem z realnym sprawowaniem władzy. Z tego punktu widzenia doświadczonych i sprytnych graczy w osobach Tuska i Schetyny miałby zastąpić ktoś albo naiwny, albo zbyt prostolinijny czy niemający pojęcia o polityce jako grze, i to wielopiętrowej. Istnieje też problem formatu intelektualnego pretendentów. Najlepiej pod tym względem są postrzegani Sienkiewicz i Zdrojewski, tyle że ten pierwszy jest uważany za teoretyka, drugi zaś za kandydata na szefa klubu dyskusyjnego, a nie lidera egzekutywy, choć przecież w przeszłości był prezydentem Wrocławia i ministrem kultury.

> Gdyby wygrał Siemoniak lub Sienkiewicz, Schetyna dostałby coś na pocieszenie. Ale liczenie na to, że mógłby wtedy kierować partią z tylnego siedzenia, jest nieporozumieniem

Największe ambicje ma najmłodszy Budka, który ma już za sobą bardzo skuteczną kampanię na przewodniczącego klubu parlamentarnego, przeprowadzoną w elitach PO i wbrew przewodniczącemu Schetynie. Co oznacza, że potwierdził swoją sprawność w montowaniu większości. Z kolei Arłukowicz pokazał sprawność w organizowaniu doraźnych akcji, szczególnie podczas kampanii wyborczych. Sienkiewicz potrafi działać za kulisami i metodami znanymi mu z tajnych służb, ale w polityce to nie musi działać, tym bardziej że wzbudza wielką podejrzliwość, że chodzi o manipulowanie ludźmi. Zdrojewski sprawdził się jako prezydent Wrocławia przez 11 lat, szczególnie wtedy, gdy wymagało to umiejętności zarządzania kryzysowego, czyli w czasie wielkiej powodzi w 1997 r. Tyle że to było dawno, a potem już tylko stawał się coraz bardziej miękki i refleksyjny, co w polityce nie pomaga, a wręcz jest obciążeniem. Najmniejsze doświadczenie organizacyjne czy w prowadzeniu politycznych kampanii wojennych mają Mucha i Siemoniak, mimo że oboje byli ministrami – sportu i obrony.

Niezależnie od tego, kto wygra wybory na przewodniczącego PO, będzie to mimo wszystko kupowanie kota w worku. Nie sposób, by do 25 stycznia 2020 r. (wtedy ogłoszone będą wyniki, a ewentualna dogrywka jest planowana na 8 lutego) pretendenci pokazali bowiem program czy precyzyjnie określili, jak ma wyglądać nowa Platforma Obywatelska. Wszyscy liczą, że gdy wygrają, jakoś to będzie. Tym bardziej że nie będzie już Schetyny. Ale jak będzie, tego nie wie nikt. Niektórzy analitycy twierdzą zresztą, że to nie ma żadnego znaczenia, podobnie jak to, kto zostanie przewodniczącym, gdyż po Grzegorzu Schetynie PO już się nie odrodzi i czeka ją stopniowa marginalizacja.

eprasa.pl 31f09d037d

Dwóch papieży,

czyli Watykan za zamkniętymi drzwiami

Jaką wersję ustąpienia Benedykta XVI przedstawia Netflix? Jak mogło być naprawdę? Dlaczego doszło do abdykacji papieża?

Fot. Peter Mountain

epresa.pl 31109d03.tif

GRZEGORZ GÓRNY

Film „Dwóch papieży" pokazywany przez Netflixa w błyskawicznym czasie stał się hitem na całym świecie. Globalny sukces obrazu w dużej mierze wynika z tego, że wychodzi on naprzeciw oczekiwaniom milionów ludzi, dotykając czułej struny zwłaszcza w duszach katolików. Nigdy w dziejach Kościoła nie było bowiem przypadku, by w jednej zagrodzie Piotrowej zgodnie mieszkało dwóch papieży. Stało się tak na skutek abdykacji Benedykta XVI – pierwszej tego typu decyzji od ponad 700 lat. Do dziś jednak wiele osób zadaje sobie pytanie, dlaczego właściwie papież ustąpił. Nie zadowalają się oficjalnymi tłumaczeniami o jego podeszłym wieku ani osłabieniu sił fizycznych i duchowych.

Film wydaje się odpowiadać na to pytanie, wypełniając pustkę w powszechnym odczuciu zdezorientowanych katolików. W ten sposób narzuca – i to w skali globalnej – własną narrację wydarzeń, których kulminacją stała się sensacyjna abdykacja Benedykta XVI w lutym 2013 r. Sądząc po reakcjach wielu widzów, jest to wersja przyjmowana jako prawdopodobna i satysfakcjonująca. Uwiarygadnia ją rozpoczynająca film informacja, że jest on „oparty na prawdziwych wydarzeniach", a także wplecione weń fragmenty archiwalnych materiałów telewizyjnych. W rzeczywistości – jak zauważył sarkastycznie jeden z komentatorów – jedyne prawdziwe sceny to dym z komina nad Kaplicą Sykstyńską. Przyjrzyjmy się zatem, jaką wersję rezygnacji Benedykta XVI rozpowszechnia Netflix, a jak mogło wyglądać to naprawdę.

APOKRYF WEDŁUG NETFLIXA

Na początek warto zadać pytanie, kto stoi za produkcją filmu. Kierownictwo Netflixa nie ukrywa, że bierze aktywny udział w wojnie kulturowej, opowiadając się zdecydowanie po innej stronie niż Kościół katolicki. Gdy w zeszłym roku stan Georgia w USA uchwalił prawo zakazujące dokonywania aborcji po wykryciu bicia serca dziecka, a więc około szóstego tygodnia ciąży, Netflix zagroził Georgii bojkotem, czyli wycofaniem swych inwestycji w produkcje filmowe i telewizyjne w tym stanie, jeśli wspomniane prawo nie zostanie uchylone. Dla władz internetowego potentata zabijanie dzieci nienarodzonych jest bowiem podstawowym prawem człowieka.

> Filmowy Benedykt na początku mówi: „Kontynuacja – tak, zmiana – nie", by pod koniec ulec argumentom Bergoglia i opowiedzieć się za zmianami przeciw kontynuacji. W rzeczywistości nie dysponujemy żadnym świadectwem, by papież Ratzinger zmienił w tej kwestii zdanie

Ostatnio Netflix zasłynął wprowadzeniem do emisji bluźnierczego filmu pt. „Pierwsze kuszenie Chrystusa", przedstawiającego Jezusa jako homoseksualistę, Maryję jako prostytutkę, apostołów zaś jako alkoholików. W odpowiedzi na protesty wzburzonych chrześcijan bronił swej decyzji, powołując się na „twórczą swobodę artystów", która „obejmuje także historie biblijne".

Taka firma wzięła się więc do interpretacji przełomowego wydarzenia w dziejach Kościoła, stawiając konkretną tezę wynikającą z sekwencji fikcyjnych scen. Całkowitym zmyśleniem jest filmowa opowieść, jakoby kard. Bergoglio chciał w 2012 r., jako metropolita Buenos Aires, podać się do dymisji, jednak Benedykt XVI się temu sprzeciwił. W rzeczywistości argentyński purpurat zrezygnował z urzędu w 2011 r. po osiągnięciu emerytalnego wieku 75 lat, zaś papież przyjął jego rezygnację.

Wspomniana konfabulacja posłużyła jednak reżyserowi do przedstawienia dwóch kluczowych dla filmu scen, do których naprawdę nigdy nie doszło, czyli spotkań obu dostojników w Castel Gandolfo i w Kaplicy Sykstyńskiej. Zaprezentowane tam dialogi są powtórzeniem (w dość uproszczonej formie) podstawowych tez z dyskusji teologicznych, jakie przez długie lata kard. Joseph Ratzinger, jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, toczył ze swoimi oponentami (m.in. Hansem Küngiem czy kard. Walterem Kasperem).

W bezpośredniej konfrontacji z argentyńskim hierarchą filmowy Benedykt okazuje się nie tylko oderwany od rzeczywistości, lecz także bezradny intelektualnie. W słownych pojedynkach ostatnie słowo zawsze należy do Bergoglia, Ratzinger zaś nie ma zazwyczaj dobrej odpowiedzi na trafne argumenty swego błyskotliwego rozmówcy. Jest tak zwłaszcza w przypadku dwóch powtarzających się motywów: ostrzeżenia, by Kościół nie ulegał „duchowi świata", oraz napięcia między „kontynuacją" a „zmianą".

Istotny jest zwłaszcza ten ostatni wątek. Dla Josepha Ratzingera jeden z najważniejszych sporów teologicznych we współczesnym Kościele przebiegał między zwolennikami „hermeneutyki ciągłości" i „hermeneutyki zerwania". Jego zdaniem ci pierwsi (do których sam się zaliczał) podkreślali jedność, powszechność i nienaruszalność nauczania katolickiego przy dokonywaniu jakichkolwiek reform, natomiast ci drudzy gotowi byli poświęcić niezmienność doktryny w imię racji duszpasterskich.

Filmowy Benedykt na początku mówi: „Kontynuacja – tak, zmiana – nie", by pod koniec ulec argumentom Bergoglia i opowiedzieć się za

eprasa.pl 31f09d037d

zmianami przeciw kontynuacji. W rzeczywistości nie dysponujemy żadnym świadectwem, by papież Ratzinger zmienił w tej kwestii zdanie.

Jak przedstawia tę ewolucję reżyser Fernando Meirelles? Otóż w filmie Benedykt XVI przyznaje, że przestał czuć obecność Boga i nie może już dłużej grać roli papieża. Później dodaje, iż znów usłyszał głos Boga w głosie... Bergoglia. Wtedy zrozumiał, że to sam Najwyższy domaga się radykalnych zmian w Kościele. To sprawia, że Benedykt postanawia ustąpić, dokonując wręcz namaszczenia argentyńskiego kardynała na swego następcę.

Powyższa wersja wydarzeń jest raczej projekcją wyobrażeń twórców filmu niż opisem rzeczywistości. Służyć ma ona legitymizowaniu autorytetem Benedykta XVI rewolucyjnych zmian dokonywanych w Kościele – oczywiście tak, jak wyobrażają sobie te zmiany autorzy dzieła. Dlatego w tle kilka razy przewija się motyw akceptacji dla rozwodów, środków antykoncepcyjnych czy homoseksualizmu. Netflix kreuje więc wizerunek Kościoła, którego przywódcy zaakceptowali dostosowanie tej instytucji do liberalnego świata kosztem rezygnacji z własnej doktryny.

SPISEK PAŁACOWY

Jeśli wersja przedstawiona w filmie nie odpowiada rzeczywistości, to jak było naprawdę? Jakie były okoliczności, które doprowadziły do abdykacji Benedykta XVI? Z wielu moich rozmów z urzędnikami kurii rzymskiej, duchownymi i watykanistami wyłania się wielce prawdopodobny obraz tamtych wydarzeń. Spróbujmy dokonać jego rekonstrukcji.

Kiedy 24 kwietnia 2005 r. Benedykt XVI na placu św. Piotra inaugurował swój pontyfikat, wypowiedział w trakcie homilii zdumiewające słowa: „Módlcie się za mnie, abym nie uciekł ze strachu przed wilkami". Do tego wątku powrócił niedługo przed swym ustąpieniem, gdy 6 stycznia 2013 r. wyjaśniał, na czym polega obecnie rola biskupa: „Szczególnie ważne jest dziś, aby biskup miał odwagę sprzeciwić się dominującym kierunkom. Musi być mężny. To męstwo nie polega na przemocy, na agresywności, lecz na dopuszczeniu ciosów i opieraniu się kryteriom dominujących poglądów. Od tych, których Pan posyła jak owce między wilki, wymagana jest oczywiście odwaga wytrwania w prawdzie".

Powyższy cytat pokazuje więc, że Benedykt XVI nie porzucił – jak chcieliby twórcy filmu – swych poglądów na temat dostosowania Kościoła do świata. Pokazuje też, że wbrew wilkom trwał przy prawdzie.

A jednak był osaczony przez „wilki". Udowodnił to proces sądowy, podczas którego na ławie oskarżonych zasiadł tylko jeden człowiek – papieski kamerdyner Paolo Gabriele, który miał wykradać poufne dokumenty watykańskie, a następnie przekazywać je dziennikarzom. Oskarżony wziął całą winę na siebie i jako jedyny został skazany. Śledztwo wykazało jednak, że w sprawę wycieku akt musiało być zaangażowanych ok. 20 osób, ponieważ sam kamerdyner nie mógł mieć dostępu do wszystkich wyniesionych dokumentów. Tak wiele sprawdzonych i zaufanych osób w kurii rzymskiej zawiązało więc „pałacowy spisek", który ostatecznie wymierzony był przeciwko Benedyktowi XVI.

> Netflix kreuje wizerunek Kościoła, którego przywódcy zaakceptowali dostosowanie tej instytucji do liberalnego świata kosztem rezygnacji z własnej doktryny

W niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci" ks. prof. Andrzej Kobyliński mówił: „Punktem zwrotnym był zwłaszcza rok 2010, zwany przez niektórych »annus horribilis«, czyli rokiem strasznym, kiedy nastąpił nieprawdopodobnie silny atak na papieża Ratzingera. To była zmasowana krytyka zarówno zewnętrzna, jak i wewnętrzna. Od tamtego czasu miałem przeczucie, że będzie to pontyfikat skrócony. W pewnym sensie Benedykt XVI nie mógł dalej rządzić Kościołem, mając przeciwko sobie prawie wszystkich, nawet osobistego kamerdynera, który przez kilka lat wykradał mu dokumenty. Dlatego, gdy nadszedł 11 lutego 2013 r., nie byłem niczym zaskoczony".

Kto mógł należeć do owej siatki spiskowców? W Kościele istniało wiele wpływowych środowisk, którym nie podobał się (jak to określano) „dogmatyzm teologiczny i moralny" Josepha Ratzingera. Moi watykańscy rozmówcy wskazywali kilka takich grup, jednak na pierwszy plan wysuwała się tzw. lawendowa mafia. Jej istnienie potwierdził w 2016 r. w wywiadzie dla honduraskiej gazety „El Mundo" jeden z najbliższych współpracowników Franciszka kard. Óscar Maradiaga. Ujawnił on, że w Watykanie działa lobby gejowskie, które infiltruje struktury kurii rzymskiej.

Czym miałby się narazić owej nieformalnej grupie wpływu Benedykt XVI? Żeby to zrozumieć, musimy się cofnąć do roku 2004, gdy renomowana amerykańska uczelnia kryminologiczna John Jay College of Criminal Justice przy Uniwersytecie Miasta Nowy Jork opublikowała raport na temat pedofilii wśród katolickich księży w USA w latach 1950–2002. Nikt na świecie nie przeprowadził bardziej dokładnych i rzetelnych badań na ten temat. Wynikało z nich, że ponad 90 proc. duchownych skazanych za wykorzystywanie seksualne dzieci było homoseksualistami, zaś 81 proc. ofiar pedofilii stanowili nieletni chłopcy.

Biorąc pod uwagę, że homoseksualiści stanowią zaledwie 1–2 proc. populacji, oznacza to, iż wśród sprawców czynów pedofilskich wśród duchownych mamy gigantyczną, porażającą wręcz nadreprezentację osób o tych właśnie preferencjach seksualnych. Prawidłowość tę potwierdziły później najgłośniejsze przykłady „drapieżników w sutannach", takich jak Marcial Maciel Degollado, Józef Wesołowski czy Theodore McCarrick.

Gdy rok później Benedykt XVI został papieżem, pierwszym wydanym przez niego dokumentem stała się instrukcja

eprasa.pl 31f09d037d

zabraniająca przyjmowania do seminariów i wyświęcania na księży „osób, które praktykują homoseksualizm, wykazują głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub wspierają tak zwaną kulturę gejowską". Za słowami poszły czyny. W trakcie tego pontyfikatu stanowiska straciło ok. 80 biskupów, zaś ok. 800 księży zostało wykluczonych ze stanu duchownego.

Fot. AFP PHOTO/OSSERVATORE ROMANO/East News

Papieże Franciszek i Benedykt XVI

PASTERZ I WILKI

Jest prawdą, że w okresie poprzedzającym abdykację Benedykt XVI odczuwał coraz bardziej odpływ sił fizycznych. Zdarzało się, że wypuszczał z rąk pastorał, słabo widział na lewe oko, a na audiencje wwożono go na ruchomym fotelu. Zapewne miał w pamięci ostatnie lata pontyfikatu Jana Pawła II, gdy gasnący papież, dotknięty postępującą chorobą Parkinsona, nie miał już sił, by kontrolować sytuację w Kościele, i coraz częściej musiał się zdawać na swe najbliższe otoczenie. To właśnie w tamtym czasie doszło do wydarzeń, które obecnie używane są do ataków na Karola Wojtyłę, jak np. sprawa Marciala Maciela.

Dziś wiadomo, że papież był wprowadzany w błąd. Jako głównego winowajcę watykaniści najczęściej wskazują potężnego sekretarza stanu kard. Angela Sodano, wówczas osobę nr 2 w Watykanie. Tylko on miał na tyle silną pozycję, by zneutralizować kard. Ratzingera domagającego się wyjaśnienia tej sprawy. Jak ujawniły media, jego bratanek Andrea otrzymał od Maciela lukratywny kontrakt przy budowie głównej siedziby Legionistów Chrystusa w Rzymie. Według kard. Christopha Schönborna, to właśnie Sodano miał stać za utrudnianiem śledztwa w sprawie kard. Hermanna Groëra z Wiednia. Komentatorzy przypominają też, iż część duchownych w Chile, uwikłanych w skandale pedofilskie, zawdzięcza swe nominacje protekcji Angela Sodano, który w latach 1977–1988 był nuncjuszem apostolskim w tym kraju.

Moi watykańscy rozmówcy uważają, iż papież Ratzinger obawiał się, że gdy stanie się tak zniedołężniały, iż nie będzie w stanie kontrolować sytuacji, znajdzie się na łasce swojego otoczenia. Skoro zaś współpracownicy Jana Pawła II, którym on tak bardzo ufał, wprowadzali go w błąd, to co mogliby zrobić współpracownicy Benedykta XVI, do których nie można było mieć zaufania? Ratzinger miał słuszne prawo obawiać się, że mogą oni podejmować bez jego wiedzy decyzje, które następnie będą szły na jego konto, zniesławiając jego dobre imię, a przede wszystkim szkodząc Kościołowi. Żeby nie dopuścić do takiej sytuacji, postanowił abdykować. To oczywiście hipoteza, ale bardzo prawdopodobna i powtarzana przez wiele osób w Watykanie.

GRUPA Z SANKT GALLEN

Nie ma najmniejszego dowodu, że Benedykt XVI wyznaczył kard. Bergoglia na swojego następcę. Wiadomo, że zwolennicy papieża Ratzingera w 2013 r. najchętniej na Tronie Piotrowym widzieliby kard. Angela Scolę. W filmie Meirellesa znajduje się jednak podpowiedź, kto naprawdę wykreował kandydaturę argentyńskiego purpurata. Podczas konklawe w 2005 r. swego poparcia metropolicie Buenos Aires udzielił kard. Carlo Maria Martini z Mediolanu.

To z jego inicjatywy w 1996 r. w Sankt Gallen w Szwajcarii zaczęła się nieoficjalnie spotykać grupa kardynałów dążących do zmian w Kościele. Kulisy działania owego gremium ujawnił publicznie w 2015 r. jeden z jego członków, prymas Belgii Godfried Danneels, stwierdzając: „Byliśmy mafijnym klubem pod wezwaniem św. Galla". Grono wtajemniczonych hierarchów doszło do wniosku, że tak hierarchiczną strukturę jak Kościół można zmienić tylko w jeden sposób: poprzez swojego papieża. W 2002 r. – jak wspominał kard. Danneels – postawili na Jorgego Maria Bergoglia, którego zaczęli intensywnie promować. Podczas konklawe w 2005 r. nie udało się jednak przeforsować jego kandydatury. Sukces przyniosła dopiero kolejna próba w 2013 r. Tego wątku w filmie jednak nie odnajdziemy.

Kard. Martini uważał, że najważniejszym zadaniem katolików jest dziś przyswojenie sobie zdobyczy oświecenia i nadrobienie 200 lat zapóźnienia, jakie Kościół ma wobec współczesnego świata. Jego zdaniem najskuteczniejszą metodą przeprowadzenia przyspieszonej modernizacji jest zarządzanie przez permanentnie zwoływane synody. Każdy z nich miałby dotyczyć innej tematyki i w jej obrębie dokonywać znaczących zmian.

Program synodalizacji realizowany w trakcie obecnego pontyfikatu jest niczym innym jak wcieleniem w życie idei Carla Marii Martiniego. Zresztą w przemówieniu do kardynałów 21 grudnia ub.r. Franciszek wprost zacytował słowa nieżyjącego już kardynała wyrażające żal, iż „Kościół pozostał 200 lat z tyłu".

Kiedy mediolański purpurat zmarł w 2012 r., włoska Loża Wielkiego Wschodu pożegnała, a właściwie „powitała brata Carla Marię Martiniego w jego podróży na wschód". Biografia tego hierarchy mogłaby posłużyć jako gotowy scenariusz filmu, ale na razie nikt się nie spieszy, by go nakręcić.

eprasa.pl 31f09d037d

Najstarszy mieszkaniec Jasnej Góry

Fot. Krzysztof Tapiej

eprasa.pl 31f09d037d

Mówi o sobie, że jest „człowiekiem Jasnej Góry". I z pewnością ma do tego prawo. Nikt dłużej w tym miejscu nie mieszkał. Zna każdy jasnogórski kamień i każdy kąt, od klasztornych fundamentów po krzyż górujący na wieży sanktuarium. Mówi, że Jasna Góra jest jego domem i życiową legitymacją. To ojciec Jerzy Tomziński, najstarszy paulin, mądry, uroczy, wyjątkowo serdeczny człowiek

W 2019 r. ukończył 101 lat. Wyjątkowej witalności mogą mu pozazdrościć ludzie znacznie młodsi. Radosny zakonnik, z ogromnym poczuciem humoru, pełen wewnętrznego twórczego niepokoju, nadal śledzący i komentujący bieżące wydarzenia. Jednocześnie człowiek rozmodlony i zdyscyplinowany, pilnujący dziennego klasztornego rytmu życia. Dobrze się czuje w zakonnym posłuszeństwie, chociaż wie, co znaczy władza, bo dwukrotnie był przełożonym generalnym, a trzykrotnie przeorem Jasnej Góry.

Codziennie wstaje o stałej porze i sprawuje poranną mszę św. w klasztornej kaplicy. Nadal spowiada stałych penitentów. Przy ołtarzu czy w rozmównicy zakonnej spotyka się z różnymi osobami, również dziennikarzami, których przywiązanie do ojca Jerzego trwa nieustannie od wielu dekad. Niektórzy przychodzą do niego tak jak kiedyś, gdy jeszcze był rzecznikiem Jasnej Góry. Wielu z nas pamięta go biegającego z notesem na ważne wydarzenia i spotkania prasowe, jak pełen emocji, gestykulując, przemawiał przed telewizyjnymi kamerami czy radiowymi mikrofonami.

NIEPRAWDOPODOBNE WYDARZENIA

Dziennikarze również dzisiaj wypytują najstarszego mieszkańca Jasnej Góry o różne sprawy. Wiadomo przecież, że jest skarbnicą mądrości. Można powiedzieć, że odgrywa rolę łącznika między dawnymi a nowymi laty. Trudno znaleźć równego mu gawędziarza. Opowiada ze swadą, odsłaniając wręcz sensacyjne wątki różnych spotkań, nawet najwyższej wagi państwowej czy kościelnej, w których centrum bardzo wcześnie się znalazł.

Przyszedł na świat w roku odzyskania przez Polskę niepodległości. Krąży nawet powiedzenie, że nasza niepodległa ma twarz ojca Jerzego. Chwyta za serce jego wspomnienie z dziecięcych lat, dotyczące starca z długą brodą, który regularnie pukał do drzwi rodziny Tomzińskich w Przystajni koło Częstochowy. Pewnego razu mały Jasio oznajmił domownikom, że „przyszedł dziad". Mama natychmiast odparła: „Przeproś, to nie dziad, to ubogi". Chłopak musiał przybysza przeprosić i pocałować w rękę. Miał nauczkę na całe życie. To była prawdziwa kindersztuba, której efekty do tej pory zachwycają w zachowaniu sędziwego zakonnika.

Wspomina też, jak przed II wojną światową, na prośbę księdza proboszcza, rozprowadzał „Niedzielę". Biegał po całej parafii i swoje ciotki, wujków oraz sąsiadki zachęcał do kupna. Pamięta, że wtedy gazeta kosztowała 10 groszy. Dostawał 2 grosze od każdego sprzedanego egzemplarza, a pieniądze zbierał na dziecięce przysmaki, czyli czekoladkę Anglasa lub słodką bułkę. W 1981 r. związał się z „Niedzielą" na dziesięciolecia jako redaktor tego tygodnika.

Inna historia sięga czasów, gdy jako kandydat do zakonu paulinów, ubrany w szkolny mundurek paulińskiego gimnazjum, dyżurował na furcie jasnogórskiej. Miał wtedy okazję spotkać się twarzą w twarz z prezydentem RP Ignacym Mościckim, który właśnie przybył z wizytą do klasztoru. Do dziś jeszcze zdziwiony przypomina słowa skierowane wtedy do niego: „Dzień dobry, panie kawalerze". Potem dostał dzbanek z gorącą wodą z poleceniem dostarczenia do apartamentu prezydenta. Kiedy wchodził, pułkownicy stojący przy drzwiach zasalutowali mu, a prezydent powiedział: „Dziękuję, panie kawalerze!". Teraz ojciec Jerzy zwykle podsumowuje tego typu wspomnienia z szerokim uśmiechem na twarzy i słowami: „To było nieprawdopodobne!"; „To było niesamowite!", a nawet: „Ale kino!".

Był też świadkiem wizyt na Jasnej Górze m.in. najwyższego dowództwa III Rzeszy: zbrodniarza wszech czasów Adolfa Hitlera, gubernatora generalnego Hansa Franka, okrutnych nazistów Hermanna Göringa i Henricha Himmlera. Widział też, jak Niemcy mieszkający podczas okupacji na Jasnej Górze, 16 stycznia 1945 r. umykali w popłochu, obawiając się wybuchu i pożaru klasztoru: „Uciekli bez portek, bez niczego, kotlety smażone zostawili" (słowa zanotowane w książce: „Znam tu każdy kamień. Nieznane dzieje Jasnej Góry". Z ojcem Jerzym Tomzińskim OSPPE rozmawia Grzegorz Polak).

RAZEM Z KARDYNAŁEM WYSZYŃSKIM

Ojciec Tomziński wpisał się wyraziście w historię naszej ojczyzny. Był uczestnikiem wielu epokowych wydarzeń, a nawet inicjował różne przełomowe sytuacje, których skutki wciąż trwają i mają wpływ na kształt obecnego życia nie tylko w Polsce. Bo przecież nestor paulinów to żywa historia Jasnej Góry ogarniająca cały wiek.

Chętnie wspomina na przykład spotkanie z nowo mianowanym biskupem lubelskim Stefanem Wyszyńskim, który w 1946 r., przed otrzymaniem sakry biskupiej, odbywał w klasztorze paulinów kilkudniowe rekolekcje. Ojciec Tomziński był wtedy kustoszem Jasnej Góry i odstąpił biskupowi nominatowi swoją zakonną celę. Sporo czasu spędzali razem, przygotowując ceremonię sakry biskupiej. Pamięta, jak ksiądz Wyszyński powiedział do

eprasa.pl 31f09d037d

niego: „Kochany, pomódl się za mnie, bo ja pisać to trochę potrafię, ale rządzić – to nic!”.

W związku z pełnieniem w zakonie wysokich funkcji ojciec Jerzy często przebywał z prymasem Wyszyńskim. Po latach zwierzył się w wywiadzie prasowym: „Byłem przekonany, że tak właśnie wygląda święty, i chciałem się od niego wszystkiego uczyć, przede wszystkim świętej cierpliwości i ufności Panu Bogu”. Podpatrywał, jak w jasnogórskiej zakrystii kardynał Wyszyński całował po rękach kapłanów odchodzących od ołtarza po odprawieniu mszy św., przez co wyrażał pokorę i najgłębszy szacunek wobec sprawujących Eucharystię.

PIERWSZY APEL JASNOGÓRSKI

Ojciec Jerzy utrzymywał ścisły kontakt z prymasem więzionym przez komunistów w latach 1953–1956. Wraz z paniami z Prymasowskiego Instytutu Maryjnego, głównie Marią Okońską, bardzo aktywnie działał na rzecz jego uwolnienia. Aby dotrzeć do prymasa, potrafił nawet przechytrzyć strażników i groźnego psa pilnującego klasztoru w Komańczy, w którym więzień przebywał. To głównie z inicjatywy ojca Jerzego oraz instytutu rozpoczęła się w Kaplicy Cudownego Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze tradycja Apelu Jasnogórskiego, który jest dzisiaj stałą wieczorną modlitwą Polaków.

Pierwszy apel został odprawiony 8 grudnia 1953 r. pod przewodnictwem ojca Tomzińskiego. O godz. 21 do pustej kaplicy weszło wtedy trzech paulinów, którym towarzyszyły dwie panie z instytutu. Ze względów politycznych nie można było wtedy publiczne ujawnić intencji apelowej, którą była modlitwa o rychłe uwolnienie prymasa Polski.

W CENTRUM WIELKICH WYDARZEŃ

Prymas był jeszcze internowany, gdy ojciec Jerzy, jako przeor Jasnej Góry, zorganizował tajną akcję przepisania i rozesłania kilku tysięcy listów skierowanych do wszystkich polskich parafii, z zaproszeniem na 26 sierpnia 1956 r. na Jasną Górę. W wielkiej tajemnicy zaplanowano bowiem, że w tym dniu zostaną złożone Jasnogórskie Śluby Narodu, przygotowane przez prymasa więzionego w Komańczy. Ponieważ prawdziwej przyczyny zaproszenia wiernych do Częstochowy nie można było zdradzić, jako powód podano, że wyjątkowo zostanie wtedy wyniesiony z kaplicy na jasnogórskie wały Cudowny Obraz Matki Bożej. Gdy zaproszenia były już gotowe, posłańcy z Jasnej Góry rozjechali się do różnych miejscowości w całej Polsce i w tym samym dniu o tej samej godzinie wrzucili do skrzynek pocztowych listy zaadresowane do wszystkich proboszczów. Ubecy nie zdołali przechwycić tej korespondencji. Listy dotarły do adresatów i księża odczytali z ambon zaproszenie na Jasną Górę.

Do Częstochowy przybyło ponad milion Polaków. Ojciec Tomziński, w obawie przed prowokacją, osobiście wymachując batutą, z jasnogórskiego szczytu dyrygował wiernymi podczas całej uroczystości, prowadził komentarz oraz śpiewy. Na znak duchowej łączności z uwięzionym kardynałem Wyszyńskim przy ołtarzu ustawił fotel z prymasowskim herbem. Wzruszająca dla zgromadzonych była chwila, gdy ojciec Jerzy wziął do rąk bukiet biało-czerwonych kwiatów, ucałował, a następnie złożył na fotelu. Tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu odczytał biskup Michał Klepacz, a ogromna rzesza wiernych powtarzała: „Królowo Polski, przyrzekamy”.

Paulini doskonale wtedy słyszeli, jak ludzie wołali: „Matko, przyjdź do nas!”. Konsekwencją tego wezwania było rozpoczęcie w 1957 r. peregrynacji po polskich parafiach obrazu nawiedzenia, która trwa do dziś. U początku tej inicjatywy był ojciec Jerzy wraz z Marią Okońską. Znalazł też znakomitego kopistę. To Leonard Torwird, który – co jest wymowne – miał szwedzkie pochodzenie i był protestantem, a potem przeszedł na katolicyzm.

Kard. Stefan Wyszyński i o. Jerzy Tomziński

Fot. Instytut Prymasa Wyszyńskiego

RZYMSKI OKRES

Ojciec Tomziński uzyskał doktorat z prawa kanonicznego na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. W czasie studiów i po nich zetknął się osobiście z kilkoma papieżami. Teraz wspomina, jak któryś z paulinów szczycił się, że zna papieży. Wtedy zaczepnie zapytał, czy papieże jego znają. W wywiadzie dla mediów wyjaśnił to wprost: „W moim przypadku była to relacja w obie strony – ja znałem papieży, ale i oni mnie znali”. Był na osobistych audiencjach u papieży, począwszy od Piusa XII. Nie zdążył się spotkać z Janem Pawłem I, gdyż jego pontyfikat trwał tylko 33 dni.

Ojciec Tomziński jest ostatnim żyjącym polskim uczestnikiem Soboru Watykańskiego II. Był świadkiem, jak Jan XXIII pierwszy raz zapowiedział zamiar jego zwołania. Było to 25 stycznia 1959 r. podczas papieskiej mszy św. w rzymskiej bazylice św. Pawła za Murami. Widział, jak papież wyjął spod ornatu kartkę i odczytał zapowiedź tego epokowego wydarzenia. Otwarcia soboru papież dokonał 11 października 1962 r., czyli trzy lata później. W czasie trwania czwartej sesji soboru Episkopat Polski ofiarował ojcom soborowym obrazy Matki Bożej Jasnogórskiej z listem zapraszającym na obchody Milenium Chrztu Polski. Tutaj też ojciec Jerzy znowu zadziałał skutecznie, gdyż

eprasa.pl 31f09d037d

obrazy te zostały wykonane przez jedną z weneckich firm na podstawie kliszy, którą osobiście udostępnił. 4 grudnia 1965 r. gotowe obrazy zostały przywiezione do Watykanu i ofiarowane ojcom soborowym, a z nimi trafiły na wszystkie kontynenty.

Okazuje się, że papież Paweł VI planował przyjazd na Jasną Górę w wigilię Bożego Narodzenia 1965 r., tuż przed rozpoczęciem w Polsce roku milenijnego. Miał przygotowaną złotą różę jako dar dla Matki Bożej. Ojciec Jerzy wyjawił, że wraz z prymasem Wyszyńskim bardzo konkretnie przygotowywali się do papieskiej wizyty z okazji Milenium Chrztu Polski. Ustalili nawet menu dla gościa z Watykanu. Niestety, komunistyczne władze nie wpuściły Pawła VI do Polski.

BLISKO JANA PAWŁA II

Ojciec Tomziński to również encyklopedia wiedzy o Janie Pawle II. Według jego relacji Karol Wojtyła pielgrzymował na Jasną Górę już jako student polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przybył podczas okupacji z nielegalną pielgrzymką młodzieży akademickiej. Po wojnie, będąc już księdzem, przyjeżdżał z młodzieżą do Częstochowy na rowerze. Paulinom stwarzało to pewien problem, bo nie miał na sobie sutanny, co było niezgodne z jasnogórskimi rygorami. Ale szybko zakonnicy znaleźli wyjście z tej sytuacji i zawiesili w zakrystii sutanny w trzech rozmiarach dla potrzebujących księży, którzy zamierzali odprawić mszę św.

To ojciec Jerzy wydał na Jasnej Górze rozkaz: „Bić w dzwony!", gdy 16 października 1978 r. kardynał Karol Wojtyła został wybrany na papieża. A potem witał Jana Pawła II podczas kolejnych pielgrzymek do Polski, począwszy od tej pierwszej, w 1979 r., gdy przywiózł dla Matki Bożej złotą różę przygotowaną już przez Pawła VI. Ojciec Tomziński odegrał też szczególną rolę w przygotowaniu i przeprowadzeniu w 1991 r. VI Światowego Dnia Młodzieży w Częstochowie z udziałem Jana Pawła II.

OJCOWSKIE RADY

Niedawno dziennikarz telewizyjny Krzysztof Tadej poprosił ojca Jerzego o komentarz do bieżącej sytuacji. 101-letni mędrzec powiedział: „Nie rozumiem wielu rzeczy. Pewne zachowania były kiedyś nie do pomyślenia. Słyszę np., że ktoś bluźnił Matce Bożej. Jedna osoba, druga... Dla mnie, człowieka Jasnej Góry, to potwarz! Szok!

> Nestor paulinów jest zaniepokojony tym, że Polacy nie potrafią z sobą rozmawiać, nie potrafią się różnić. – To wielki błąd i nieszczęście Polski – mówi. – To nasza narodowa wada. Jesteśmy przeciwieństwem np. Anglików. Oni się spierają, wymieniają argumenty, a potem się poklepują po plecach i idą razem pić herbatkę. U nas – jak dyskusja, to na noże

Coś niepojętego! Jakim prawem? Dobrze, że nie głoszę już kazań, bo bym rozniósł to towarzystwo. Mocno bym powiedział. Znam język, potrafię. Ale czy można nie reagować? Jeśli ktoś opluwa Matkę, to czy można siedzieć cicho? Stać spokojnie z boku? Bardzo mnie to boli. I dzieje się to w Polsce, gdzie jest największy na całym świecie kult Matki Bożej". Przypomniał, że jak kiedyś skradziono korony z obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej, to nawet car Rosji Mikołaj II chciał nowe korony podarować. Papież Pius X musiał szybko działać, aby cara uprzedzić. Na tym przykładzie pokazał, że nawet car potrafił uszanować Matkę Bożą.

Nestor paulinów zaniepokojony jest tym, że Polacy nie potrafią z sobą rozmawiać, nie potrafią się różnić. – To wielki błąd i nieszczęście Polski – mówi. – To nasza narodowa wada. Jesteśmy przeciwieństwem np. Anglików. Oni się spierają, wymieniają argumenty, a potem się poklepują po plecach i idą razem pić herbatkę. U nas – jak dyskusja, to na noże. Nie potrafimy spokojnie rozmawiać. I co z tego wynika? Nic. Nie można zmusić kogoś, żeby myślał tak jak ja. Wiem, co mówię, bo całe życie dyskutowałem – z wrogami, z pijakami, z komunistami. Można spokojnie rozmawiać.

DZIEJOWE LUSTRO

W życiu ojca Jerzego, jak w lustrze, można zobaczyć najważniejsze wydarzenia prawie całego XX w. i początku obecnego stulecia. Fascynujące są opowieści zakonnika, który miał łaskę przebywać blisko świętych i błogosławionych: ojca Pio, Matki Teresy z Kalkuty, Jana Pawła II, kard. Stefana Wyszyńskiego. Spotykał też na Jasnej Górze znanych polityków, m.in. amerykańskiego senatora Roberta Kennedy'ego, a także ludzi kultury, choćby wybitną pisarkę Zofię Kossak.

Dużo ma do przekazania człowiek, który przeżył Hitlera i Stalina, zmagał się z komuną w powojennej Polsce. Swoim długim życiem daje świadectwo radosnej służby i wytrwałej, solidnej, systematycznej pracy. Mamy z tego pożytek, bo przykłady najlepiej uczą.

Ojciec Tomziński mówi, że „czuje się, jakby trzymał w garści swoje ponad 100 lat", i modli się o dobrą przyszłość dla naszej ojczyzny oraz zgodę i mądrość dla Polaków. Wszystkich przekonuje, że światem rządzi Bóg, który jest po stronie dobra. Trzeba tylko się otworzyć na to dobro i roztropnie działać.

Ma też swoje marzenia. Zdradza, że jego pragnieniem jest uczestniczyć w beatyfikacji kardynała Stefana Wyszyńskiego, która odbędzie się 7 czerwca 2020 r. na placu Piłsudskiego w Warszawie, a potem – w narodowym dziękczynieniu, które jest zaplanowane na Jasnej Górze 26 sierpnia 2020 r.

Lidia Dudkiewicz

eprasa.pl 31f09d037d

Kim naprawdę jest Greta

3 stycznia skończyła 17 lat. Dzień swoich urodzin zdecydowała się spędzić na proteście przed szwedzkim parlamentem, zamiast świętować z rówieśnikami. Potrzeba serca czy konieczność? Świadomy wybór nastoletniej aktywistki czy realizacja scenariusza dorosłych? Skąd światowy fenomen dziecka ze Sztokholmu, które jeszcze niedawno zmagało się z ciężkimi zaburzeniami?

MARZENA NYKIEL

Wieść o Szwedce, która zatrzyma zmiany klimatyczne, gruchnęła w sierpniu 2018 r. 16-latka odmówiła pójścia do szkoły, by zamanifestować w ten sposób swój sprzeciw wobec bierności rządu w kwestii zmian klimatycznych. Zbojkotowaniem zajęć rozpoczęła ogólnoświatowy Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, który w konsekwencji zaangażował tysiące dzieci w prawie 150 krajach. Fala upałów i pożary lasów przekonały ją do tego, że powinna porzucić szkołę i protestować. Córka śpiewaczki operowej Maleny Ernman i aktora Svantego Thunberga błyskawicznie ogłoszona została ikoną ekologów, Człowiekiem Roku magazynu „Time" i jedną z najbardziej wpływowych kobiet 2019 r. Wielu liczyło na to, że w jej ręce trafi Pokojowa Nagroda Nobla. Skąd ten fenomen?

ŚWIATOWY SPLENDOR

Postulaty zmniejszenia emisji dwutlenku węgla Greta kierowała nie tylko do szwedzkiego rządu. W grudniu 2018 r. wzięła udział w szczycie klimatycznym COP24 w Katowicach, dokąd przyjechała na zaproszenie sekretarza generalnego ONZ. Protestowała również w Londynie i przed siedzibą Parlamentu Europejskiego w Brukseli, a w kwietniu 2019 r. wystąpiła na jego forum. We wrześniu 2019 r. pojawiła się ze swoim histerycznym przemówieniem na otwarciu Szczytu Klimatycznego ONZ. „Nie powinnam tu być! Powinnam być

Fot. Per Grundtiz/Shutterstock.com

eprasa.pl 31f09d037d

po drugiej stronie oceanu! Nie powinnam musieć zajmować się kryzysem" – krzyczała ze łzami w oczach „Ukradliście moje marzenia i moje dzieciństwo" – oskarżała. Zyskała poparcie światowych mediów. „Greta Thunberg dostrzegła w nas swoją moc, a my w zamian widzimy naszą moc w niej. Walcząc w swojej rodzinnej Szwecji o przyszłość wolną od zanieczyszczeń, zniszczenia środowiska i zmian klimatycznych, Greta inspiruje niezłomnych studentów i zawstydzonych apatycznych dorosłych" – pisał oczarowany „Time". Otrzymała także nagrodę zwaną Alternatywnym Noblem „za inspirowanie i wzmacnianie politycznych żądań dla natychmiastowych działań w obszarze klimatu w oparciu o dane naukowe". Tak umocowana rozdawała ekologiczne ciosy rządom poszczególnych państw, piętnowała opieszałość wobec działań ochronnych, nawoływała do dekarbonizacji. Miała być twarzą światowej rewolucji ekologicznej.

EKOLOGIZM JAKO TERAPIA

Szybko okazało się jednak, że Greta zupełnie nie daje sobie rady z wystąpieniami spontanicznymi, nie potrafi samodzielnie odpowiadać na pytania i sprawia wrażenie osoby zaburzonej. Zaczęto głośniej mówić o jej chorobie, o zmaganiach z depresją, autyzmem i innymi problemami psychicznymi. Wyraźnie było widać, że jest precyzyjnie prowadzona, a jej działania nie mają niczego wspólnego z niewinną nastoletnią spontanicznością. Nadmierna aktywność nastolatki mocno zaniepokoiła opinię publiczną. Do szwedzkich służb socjalnych napłynęły donosy, w których sugerowano, że dotknięta zespołem Aspergera dziewczyna jest wykorzystywana przez rodziców spragnionych światowej kariery. Osoby składające zgłoszenia zwracały uwagę na histeryczne wystąpienia Grety oraz na wyczerpujące podróże. Jako że dziewczyna nie lata samolotami, by nie zostawiać śladu węglowego, zmuszona była do dwukrotnego opłynięcia katamaranem niespokojnego Atlantyku. Opinię publiczną niepokoiło też narażenie nastolatki na potężny natłok negatywnych komentarzy, z którymi zderzała się w mediach społecznościowych.

Po wzmożonej fali zarzutów wobec rodziców Grety głos zabrał jej ojciec. Na antenie Programu 4 Radia BBC przyznał, że córka zmagała się z ciężką depresją i początkowo uważał, że taka forma działalności klimatycznej nie była dobrym pomysłem. Okazało się jednak, że aktywizm pomógł jej w walce z chorobą. „Na trzy–cztery lata, zanim zaczęła strajki klimatyczne, zachorowała, przestała mówić, przestała jeść, przestała chodzić do szkoły i w zasadzie przez rok była w domu. Teraz jest taka jak inne dziewczyny. Teraz nie jest zwykłą dziewczyną, ponieważ jest wyjątkowa, bardzo sławna. Ale dla mnie jest ona zwyczajną dziewczyną. Może robić te rzeczy, które robią inni. Jest szczęśliwa" – przekonywał Svante Thunberg.

Sława to z pewnością najmocniejsza cecha młodej aktywistki. Pytanie, czy poradzi sobie w konfrontacji z rosnącą falą krytyki. Zwłaszcza że jej działania zostały wprzęgnięte w szeroki zasięg rewolucji klimatycznej i dziewczyna pojawia się w coraz nowych odsłonach konfliktu.

> Ojciec Grety przyznał publicznie, że córka zmagała się z ciężką depresją i działalność klimatyczna, której był początkowo przeciwny, stała się dobrą terapią, pomogła jej w walce z chorobą

PŁONĄCA AUSTRALIA ODPOWIADA GRECIE

Greta Thunberg, która zakończyła swoją edukację na poziomie raczej podstawowym, wydaje sądy na tematy, o których nie ma pojęcia. Niedawno skomentowała w swoisty, skrajnie uproszczony sposób, tragiczne pożary w Australii, czym rozsierdziła mieszkańców płonącego kontynentu. „Nie tylko katastrofy takie jak ta wydają się nie pociągać za sobą żadnych politycznych działań. Jak to jest możliwe? Ponieważ nadal nie udało nam się powiązać kryzysu klimatycznego ze wzmożonymi ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi oraz katastrofami naturalnymi, jak pożary w Australii" – napisała Thunberg na Twitterze. Odpowiedział jej australijski premier Scott Morrison, który mimo sprzeciwu podjął nadzwyczajne środki dla ochrony klimatu, w tym zamknięcie kopalni węgla. „Australia i rząd australijski będą opierały swoją politykę na interesie narodowym Australii, na tym, czego Australia potrzebuje. Na tym się skupię" – zapowiedział. „Nie do mnie należy komentowanie tego, co ludzie spoza Australii uważają, że Australia powinna uczynić. Będziemy robili w Australii to, co uważamy za słuszne. I to zawsze było moją przewodnią regułą. Nie jestem tu po to, aby imponować ludziom zza oceanu. Jestem tutaj, aby wykonywać dobrą robotę dla Australijczyków i ich stawiać na pierwszym miejscu" – oświadczył premier.

Do słów nastolatki odniósł się z oburzeniem także australijski dziennikarz John McMahon. „Tego ranka z wiadomości telewizyjnych dowiedziałem się, że św. Greta prorokini łączy pożary australijskiego buszu ze zmianami klimatycznymi oraz najwyraźniej »brakiem działań« australijskiego rządu" – stwierdził McMahon i zacytował Petę Credlin, która sporządziła zestawienie pożarów w XIX i XX w. „Czarny Czwartek. Pożary buszu w Victorii w 1851 r. zabiły około 12 osób i uważa się, że zniszczyły 5 mln ha, czyli dwa razy więcej spalonego obszaru niż dotychczas w tym roku w NSW. W 1898 r. Czerwony Wtorek – pożar buszu, również w Victorii, zabił 12 osób i zniszczył ok. 2 tys. budynków. Pożary buszu w Victorii między lutym a marcem 1926 r. zabiły 60 osób. W 1939 r. Czarny Piątek – pożary, również rozprzestrzeniające się przez dwa miesiące, zabiły 71 osób. W innym miesiącu w 1944 r. z powodu pożarów zginęło prawie 20 osób. W lutym 1967 r. Czarny Wtorek – pożar buszu w Tasmanii

eprasa.pl 31f09d037d

zabił 62 osoby. W 1983 r. Środa Popielcowa – pożary buszu w Victorii i w południowej Australii zabiły 75 osób i zniszczyły ok. 2,5 tys. domów. A w 2009 r. Czarna Sobota – pożar buszu w Victorii zabił 173 osoby i zniszczył 4,5 tys. budynków". Po tej historycznej wyliczance przedstawionej nastolatce, która ze zdobywania wiedzy w szkole programowo zrezygnowała, podkreśliła: „Zawsze występowały u nas ekstremalne susze, powodzie i pożary buszu".

NIEWINNA TWARZ REWOLUCJI

Kolejne działania podejmowane przez Gretę Thunberg są dowodem na to, że dziewczyna realizuje nakreślony przez innych plan rewolucji klimatycznej. Niewinna twarz dziecka ma budzić zaufanie i pociągnąć za sobą większość. Rzecz w tym, że źródłem jej działań są niebezpieczne w skutkach strategie rewolucyjnej ideologii ekologizmu. Trend ten przenosi się szerzej. Widać go w reklamie, w programach dla dzieci i młodzieży, w popkulturze, ale zaczyna trafiać także do szkół. Jednym z najbardziej szokujących przejawów brutalnej ideologizacji dzieci klimatyzmem był muzyczny popis dziecięcego chóru, wykonany na antenie niemieckiej publicznej stacji radiowo-telewizyjnej Westdeutscher Rundfunk (WDR). „Moja babcia to stara świnia ekologiczna" – śpiewały kilkuletnie dzieci, nie zdając sobie chyba sprawy z grozy przekazu. Obraźliwa piosenka opisywała babcię, która nie prowadzi „ekologicznego" trybu życia, a motywem przewodnim tekstu było zdanie: „Moja babcia to stara świnia ekologiczna". „Moja babcia jeździ motocyklem w kurniku. To tysiąc litrów benzyny każdego miesiąca. Moja babcia jest starą świnią ekologiczną. Moja babcia jeździ SUV-em do lekarza i przejeżdża dwie babcie z chodzikiem" – śpiewały dzieci. „Moja babcia codziennie smaży kotlety z mięsa z dyskontu, które nie kosztuje prawie nic. Moja babcia to stara świnia ekologiczna" – brzmiała kolejna zwrotka. Piosenka kończyła się powtórzeniem słów Thunberg: „Nie darujemy ci tego". Nadawca usunął materiał po tym, jak nagranie wywołało burzę w sieci.

Rewolucja klimatyczna wkracza w kolejny etap. Tak jak w przypadku rewolucji kulturowej realizowany jest „długi marsz przez instytucje", mający zmienić masowe myślenie i wpłynąć na strukturę społeczną. Dorośli zaczynają być przedstawiani dzieciom jako bezwzględni okrutnicy, katujący matkę Ziemię. Ideologia ekologizmu tak dalece została wtłoczona do wszechobowiązujących trendów społeczno-politycznych, że jakakolwiek krytyka tego odwróconego patologicznie porządku, w którym człowiek musi podporządkować się światu przyrody, spotyka się z natychmiastowym, bezrefleksyjnym hejtem. Ekoideolodzy w swojej zapalczywości niedługo będą chcieli karać więzieniem za głoszenie antropocentryzmu. A przecież to człowiek stanowi centrum świata przyrody i jako istota rozumna oraz wolna posiada zdolność mądrego i odpowiedzialnego korzystania ze świata stworzonego. Ta podstawowa zasada została przez skrajnych ideologów ekologizmu zdeptana i zastąpiona zupełnie odwróconym porządkiem rzeczy. Człowiek ma w niej zostać podporządkowany bezrozumnej naturze. „Światła" myśl ekoideologów idzie tak daleko, że w ramach troski o planetę nakazują eliminowanie ludzkiego życia. Każdy zdroworozsądkowo myślący człowiek rozumie, która z tych koncepcji jest normalna. Okazuje się jednak, że nie wolno tego mówić głośno. Ks. abp Marek Jędraszewski przekonał się o tym dotkliwie, gdy w naturalny sposób nazwał rzeczy po imieniu. Histeria, jaką wywołała jego wypowiedź, jasno pokazuje, jak daleko zabrnęła ekologiczna indoktrynacja i jak bardzo potrzebne jest otrzeźwienie.

Światowe trendy wtłaczane Polakom za pośrednictwem skaptowanych przez ekoideologów celebrytów, dziennikarzy i polityków mają zmienić zbiorową świadomość. Już dziś słyszymy, że należy wysoko opodatkować mięso i dążyć do powszechnego weganizmu. Okazuje się, że dla jednych i tych samych ludzi unerwiony mózg karpia sprawia, że ryba przeżywa i cierpi, ale trzymiesięczne dziecko w łonie matki jest zaledwie nic nieczującym zlepkiem komórek. Lewacka ideologia uczyniła sobie z ekologii własną religię. Ci sami, którzy podważają istotę człowieczeństwa, negują ludzką godność, depcząc fundamentalne wartości, wyznają wiarę w świętość matki Ziemi, która ma pierwszeństwo przed człowiekiem. Źle ukierunkowana duchowość już dawno przeistoczyła się w histeryczny fanatyzm. Jeśli nie podejmiemy w porę rzeczowej i skutecznej debaty o miejscu człowieka w świecie i nie przywrócimy mądrej koncepcji ekologicznej, fanatyzm nas zmiecie. Pojawi się kolejna, młodsza, zdolniejsza mała Greta i poprowadzi świat w kolejny etap szkodliwego dla człowieka klimatyzmu.

Adamowi Kasprzykowi

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TATY

składają koleżanki i koledzy
z wydawnictwa Fratria oraz z agencji Apella

4/0120/F

eprasa.pl 31f09d037d

Kazimierz „Dobra Rada” Marcinkiewicz

Choć miał się wycofać z życia publicznego, wraca z garścią dobrych rad dla Polaków. Mamy m.in. jeść owoce i uprawiać seks. Tak przynajmniej uważa Kazimierz „Dobra Rada” Marcinkiewicz, który znów niestety o sobie przypomniał

DOROTA ŁOSIEWICZ

Gdy pół roku temu Kazimierz Marcinkiewicz ogłosił, że znika z życia publicznego i odtąd chce, by go traktować jako osobę prywatną, stawiałam dolary przeciwko orzechom, że to pożegnanie chwilowe, a były premier niebawem znów da o sobie znać. Nie sądziłam, że wróci w aż tak karykaturalnej postaci.

Na łamach „Faktu” były szef rządu zalecał: „Zamiast słodyczy jeść owoce. Zamiast oglądać seriale, chodzić z rodziną na spacery albo biegać”. „Jedzenie należy kończyć o 20, a przed snem czytać książki Tokarczuk albo kochać się” – zaleca dodatkowo były polityk. Ale na tym nie koniec. Marcinkiewicz radzi także, by mięso jeść raz w tygodniu i – co najważniejsze – być dobrym dla wszystkich, bo życie ma się tylko jedno! Trudno się oczywiście, zwłaszcza z tą ostatnią radą, nie zgodzić. Pewien dysonans wynika jednak z tego, że to nie słowa jakiegoś life coacha, lecz moralnego i politycznego bankruta.

WYCOFANIE Z WYCOFANIA?

Warto przypomnieć, że ubiegłoroczna lipcowa deklaracja Marcinkiewicza o wycofaniu się życia publicznego i pozostania odtąd osobą prywatną, była już jego kolejną tego typu zapowiedzią.

„Postanowiłem zamknąć etap publicznego życia, by uniemożliwić wszystkim szczujniom używanie mojej osoby” – pisał pół roku temu na Facebooku Marcinkiewicz. „Zrobiłem to po brutalnym i bezprecedensowym ataku pełnym oszczerstw i poniżania, ataku mojej stalkerki na mnie przy użyciu mediów. Ten chamski atak uniemożliwił mi start w wyborach europejskich, ale więcej – spłoszył wszystkich klientów, poniosłem ogromne straty. Właśnie dlatego, w celu obrony siebie i rodziny, podjąłem decyzję o odejściu z życia publicznego i stania się osobą stricte prywatną” – oznajmił były premier. Marcinkiewicz obwieścił wówczas także, że rezygnuje z korzystania z mediów społecznościowych i jeśli będzie taka potrzeba, to udowodni sądownie, że jest osobą prywatną, a atakujące go media będą musiały go właśnie tak traktować. „Dosyć zarabiania na mojej osobie z użyciem chamstwa, kłamstwa i steku bzdur” – straszył Marcinkiewicz i rzeczywiście z mediów społecznościowych i tradycyjnych zniknął.

– Znałem Kazimierza Marcinkiewicza w czasach, gdy był poważnym urzędnikiem państwowym w czarnym garniturze – komentował wówczas w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” mec. Marek Markiewicz. Miałem wrażenie, że jego poczucie godności przerasta innych. I gdy patrzę na jego drogę, to dziwię się, że tak roztrwonił wizerunek poważnego człowieka, który kiedyś budował. Na własne życzenie – stwierdził prawnik.

W 2020 r. Marcinkiewicz wszedł ze wspomnianymi już radami dla Polaków. Czy to znaczy, że postanowił zerwać z postanowieniem bycia osobą prywatną, czy może jednak radzi całkowicie prywatnie? Ponieważ jednak robi to na łamach poczytnego dziennika, może jednak należy to interpretować jako kolejny powrót do życia publicznego?

IDŹ DO PRACY!

– Myślałem, że Kazimierz „Yes, Yes, Yes” Marcinkiewicz już dawno odszedł z życia publicznego, a przynaj-

eprasa.pl 31f09d037d

mniej dawno powinno się tak stać. Cóż z niego dziś za polityk? – pyta Tadeusz Płużański, dziennikarz, szef publicystyki TVP Historia. – Kiedyś owszem nim był, ale później został celebrytą, i to marnej jakości. Bardziej być może pasowałoby do niego określenie „skandalista matrymonialny", a jego wciąż do tego życia publicznego ciągnie. To nie jest dobra droga, bo Kazimierz Marcinkiewicz nigdy już nie będzie poważnym kandydatem do objęcia jakiejkolwiek funkcji. Gdy nawet pojawiał się w towarzystwie polityków Koalicji Obywatelskiej, to wyglądał jak błazen i nawet jego polityczni druhowie pozbyli się go ze swoich szeregów. Najwyraźniej jednak były premier chce być blisko tej formacji, bo tylko tam jeszcze chcą z nim rozmawiać. Problem w tym, że ten pan nikomu już nie przysporzy poparcia – ani sobie, ani swoim politycznym kompanom. W 2020 r. powinien sobie po prostu dać spokój z mediami i z życiem publicznym i trzymać się tej obranej przez siebie kilka miesięcy temu ścieżki i pozostać w cieniu – radzi Marcinkiewiczowi Płużański.

Z troską zaś nad losem byłego premiera pochyla się Łukasz Jankowski z Radia Wnet. – Przykład Kazimierza Marcinkiewicza skłania do pytania o to, co robić z zawodowymi politykami, gdy wypadną z gry? Ci ludzie ewidentnie sobie nie radzą. To, co dzieje się z Marcinkiewiczem, to bardzo smutna historia. Przecież to jest były premier Rzeczypospolitej Polskiej. Dziś jest on nie tylko na marginesie życia politycznego, lecz także na marginesie życia zawodowego. Ale przecież gdy się wypowiada, to robi to nie tylko w mediach polskich, ale i zagranicznych, jako były premier RP – zauważa Jankowski. – Tymczasem Marcinkiewicz jest na oucie i nie potrafi sobie znaleźć miejsca w życiu ani w polityce. To, czego szczerze życzyłbym panu Marcinkiewiczowi, to dobra, ciekawa praca i by znalazł szczęście poza polityką. Życzę mu także, by odnalazł godność i szacunek do własnej osoby, bo jeżeli były premier idzie do tabloidu i każe Polakom jeść owoce i uprawiać seks, to znaczy tyle, że nie szanuje sam siebie. Dziś ten były polityk jest gotów powiedzieć każdą najgłupszą rzecz, byleby tylko media go zacytowały, i to jest bardzo przykre – kończy publicysta.

I to właściwie dobrze koresponduje z radą, którą kiedyś wykrzyczał w twarz były premier drugiej byłej żonie Izabeli: „Zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą" – przekonywał. Gdyby był łaskaw posłuchać swoich rad, wówczas może przestałby ubogacać nimi rzesze Polaków.

TAM GDZIE SZCZAW I MIRABELKI

Mieliśmy już polityka, który zalecał jedzenie szczawiu i mirabelek, teraz mamy takiego, który doradza seks i jedzenie owoców. Kazimierza Marcinkiewicza ze Stefanem Niesiołowskim łączy więcej, niż można się spodziewać. Obaj politycy dokonali zwrotu o 180 stopni – zaczynali w ZChN, by ostatecznie związać się z Platformą Obywatelską. Obaj zaliczyli skandale obyczajowe i wylądowali na marginesie życia politycznego i publicznego. Obaj też równie zajadle uderzali w Jarosława Kaczyńskiego, z czego chętnie korzystały media wrogie obozowi Zjednoczonej Prawicy. Chociaż Marcinkiewicz miał od pół roku wieść żywot „człowieka poczciwego" i nikogo o swoim życiu prywatnym nie informować, to jednak za pośrednictwem mediów podzielił się z rodakami swoimi planami na 2020 r. A te są bardzo bogate. Były premier „zamierza brać udział w maratonach i triathlonach, trenować jogę, zwłaszcza siadanie w pozycji kwiatu lotosu i stanie na głowie bez podpórki. Chce też doskonalić inne umiejętności: szlifować język rosyjski i nauczyć się przyrządzania sushi oraz dań tajskich" – czytamy w „Fakcie".

> Jeżeli były premier idzie do tabloidu i każe Polakom jeść owoce i uprawiać seks, to znaczy tyle, że nie szanuje sam siebie. Dziś ten były polityk jest gotów powiedzieć najgłupszą rzecz, byleby tylko media go zacytowały

– W pewnym wieku mężczyźni powinni nieco większą wagę przywiązywać do picia ziółek i głębokiego przemyślenia dorobku własnego życia – komentuje były poseł PiS Janusz Szewczak. – Dobre rady pana Marcinkiewicza można wykorzystać lub nie, ale dziś Polacy w ogromnej masie są zadowoleni z własnego życia, wierzą w dobrą przyszłość, tak przynajmniej wynika z badań statystycznych i raczej nie potrzebują podpowiedzi od skompromitowanego człowieka. Polacy nie są dziś społeczeństwem mruków i malkontentów, a rady Marcinkiewicza brzmią po prostu śmiesznie – dodaje były polityk.

– Życzę byłemu premierowi ostatecznego zakończenia sporów rodzinnych. To dla jego samopoczucia i zdrowia byłaby rzecz kluczowa – śmieje się Anita Kucharska-Dziedzic, posłanka Lewicy.

Życzeniowy strzał w dziesiątkę, były premier jest bowiem zobligowany wyrokiem sądu do wypłacania Izabeli Olchowicz-Marcinkiewicz alimentów. Niestety polityk uporczywie nie wywiązuje się z obowiązku, a była żona od miesięcy prowadzi batalię o wyegzekwowanie długu.

– Właściwie to podoba mi się ta rada, by być dobrym dla innych – żartuje Jan Strzeżek, radny Warszawy z Porozumienia. – Jednak w wypadku Kazimierza Marcinkiewicza zastosowanie ma dawna maksyma Leszka Millera, że mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, a jak kończy, a były premier Marcinkiewicz kończy bardzo źle. Życzyłbym mu na ten rok mądrości i ważenia słów – podsumowuje radny.

Autorka tego tekstu podpisuje się pod tymi słowami.

Fot. East News/ Tomasz Jastrzębowski/REPORTER

eprasa.pl 31f09d037d

Fot. Andrzej Wiktor

Dojść do sedna

W filozofii pociągało mnie to, że wywodzi się z niej cała kultura europejska. Ona była pierwsza i od dwóch i pół tysiąca lat cały czas ludzie się nią zajmują, więc musi w niej być coś takiego, że jednak warto to robić

Z Adamem Skowronem, najlepszym studentem Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Mali chłopcy chcą być policjantami, strażakami, sportowcami, astronautami, potem im to przechodzi i idą na studia z marketingu i zarządzania. A pan, kiedy był chłopcem, już chciał być filozofem?

Adam Skowron: Chciałem być nauczycielem.

W dzisiejszych czasach bycie filozofem to dość zaskakujący wybór.

Pochodzę z małej wielkopolskiej miejscowości Witaszyce, która szczyci się etosem pracy, tak jak cała ziemia jarocińska. Wiele osób ma tu też różne pasje, np. opodal, w Potarzycy, działa z powodzeniem zespół folklorystyczny Snutki, którego częścią czuję się do dziś. W moim domu było bardzo dużo książek: po prababci i jej rodzinie, mama i tata też kupowali. A na przełomie lat 80. i 90. wznowiono encyklopedię Gutenberga z początku XX w. Mieliśmy tę książkę i lubiłem ją czytać. Za dużo z tego wówczas nie rozumiałem, ale miałem ambitny plan przeczytać całą, choć nic z tego nie wyszło.

Na której literze pan skończył?

Na „a", ale ciągle do niej zaglądałem.

Czasami spotyka się w szkole pedagoga, który wpływa na drogi życiowe swojego ucznia. Pan spotkał takiego nauczyciela?

Chodziłem do bardzo dobrej szkoły nr 1 w Jarocinie, ale dopiero w czasie studiów na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy prawdziwie dojrzałem, by zrozumieć, na czym polega pasja naukowa, czyli już po technikum handlowym...

Coś niesamowitego: filozof z technikum handlowego!

A tak! I prawdziwie się tym szczycę.

Skończył pan germanistykę, świetne studia, biegła znajomość języka, nietrudno o pracę w dobrej firmie, szczególnie z niemieckim kapitałem. Dlaczego wybrał pan filozofię, drugi kierunek?

Od początku chciałem iść na filozofię, ale uznałem, że najpierw skończę kierunek praktyczny, a dopiero później zajmę się teorią.

eprasa.pl 31f09d037d

Taki parasol bezpieczeństwa. Co takiego zafascynowało pana w filozofii?

W filozofii pociągało mnie to, że wywodzi się z niej cała kultura europejska. Ona była pierwsza i od dwóch i pół tysiąca lat cały czas ludzie się nią zajmują, więc musi w niej być coś takiego, że jednak warto to robić.

Odkrył pan, co to jest?

Cały czas odkrywam. Bardzo podoba mi się to, że filozofia uczy krytycznego myślenia, podchodzenia do rzeczywistości z dystansem. Filozofia wymaga chłodnego umysłu. Podoba mi się, że celem filozofowania jest poszukiwanie i dojście do sedna rzeczy.

A jaka jest droga dochodzenia do sedna?

Krytyka i analiza są takim pierwszym krokiem. W filozofii bardzo dużą wagę przykładamy do nauki logiki, a więc staramy się analizować na chłodno i wyciągać z tego wnioski. Pozbywając się uprzedzeń, sympatii czy antypatii. Wniosek czasami może być niewygodny, ale tylko tak możemy dotrzeć do prawdy, czyli sedna.

Jest pan współautorem monografii „Sens, samoświadomość, szczęście – przyczynek do realizacji życiowego sukcesu". Sens życia?

Każde życie ma sens, a jeśli ktoś uważa, że jego życie nie ma sensu, to dlatego że jeszcze go nie odkrył albo go stracił. Wtedy trzeba poszukać nowego sensu życia, co jest bardzo trudne. Zdarza się, że ludzie nie potrafią go znaleźć i są nieszczęśliwi, bo to jednak nierozerwalnie łączy się ze szczęściem.

Samoświadomość?

Dzisiaj wbrew pozorom niewiele osób ją prawdziwie posiada. Część ludzi nie do końca potrafi myśleć o sobie w kategoriach zdrowego egoizmu. Egoizm uważa się za cechę negatywną. Ale ten egoizm samoświadomości nie polega na tym, że stawiam siebie na pierwszym miejscu, lecz ujmuję siebie jako podmiot, który ma wartość, taką wewnętrzną pewność siebie. Wymagam np. szacunku jako pracownik od pracodawcy, bo znam swoją wartość.

A szczęście?

Każdy ma swoją definicję szczęścia. Niektórzy sprowadzają je do radości, a to nie jest to samo. Współcześnie bardziej staramy się znaleźć radość niż szczęście. Niektórzy starożytni filozofowie twierdzili, że o szczęściu można mówić dopiero u kresu życia. A dziś poszukujemy szczęścia na chwilę, szczęścia osiągniętego szybko, które można kupić, w łatwy sposób załatwić. Oczywiście do szczęścia powinno się dążyć, by je osiągnąć, to nie jest tak, że ono przychodzi do nas samo, jednak nie powinno się do tego podchodzić instrumentalnie, że np. będę bogaty, będę miał dużo pieniędzy, wtedy będę szczęśliwy, bo kupię sobie to, co chcę. To będzie bardziej radość, a nie szczęście. Można być radosnym i nieszczęśliwym.

A co sprawia, że jesteśmy szczęśliwi?

W każdym z nas – w niektórych bardziej, w innych mniej – tkwi ukryta potrzeba twórczości. I nie chodzi o to, że nagle ktoś zacznie malować obrazy, tylko o chęć stworzenia czegoś, to może być np. wychowanie dziecka, stworzenie własnej formacji politycznej, bycie wolontariuszem. Jeżeli tworzymy, to mamy poczucie wpływu na świat zewnętrzny. Wtedy czujemy się szczęśliwi, czujemy, że nie jesteśmy czymś obcym w tym świecie, że mamy wpływ na drugiego człowieka i możemy też uczynić go szczęśliwym.

Publikacja w prestiżowym „Kwartalniku Filozoficznym", osiem publikacji w poważnych periodykach, najlepszy student na uniwersytecie. Pan widzi swoją drogę jako drogę naukową? Czyli filozofia to taka dziedzina, że trudno znaleźć miejsce filozofowi poza nauką. Bo co np. mógłby robić filozof w wielkiej korporacji?

Wnieść trochę inne myślenie, nieschematyczne. Firma chce odnieść sukces i przychodzi ktoś, kto myśli nieszablonowo, kto ma bardzo szerokie spektrum intelektualne, dlatego że są różne rodzaje filozofii i my na studiach poznajemy je wszystkie. I potrafimy spojrzeć na problem z zupełnie innej perspektywy.

Pan jednak nie widzi swojej przyszłości w biznesie.

Bo wbrew pozorom filozofia jest bardzo twórcza. Nie chodzi o to, by analizować i wyjaśniać myśl danego filozofa, ale wyciągnąć z tego jakieś wnioski, które mogą być wręcz praktyczne, np. jak wprowadzać idee w życie, jak choćby wolność czy patriotyzm. Choć dzisiaj filozofia raczej unika takich tematów.

Pana mistrz, prof. Janusz Sytnik-Czetwertyński, twierdzi, że filozofia skończyła się na Platonie i Arystotelesie, więc cóż ci biedni filozofowie potem mieli do roboty? Medycyna, inżynieria, sztuki piękne to jest zbiór otwarty, tam zawsze może się pojawić geniusz, który nada zupełnie inny tok myślenia. Dla młodego współczesnego filozofa to nie jest deprymujące?

Nie, bo nie da się odkryć innego sposobu myślenia niż Platona i Arystotelesa, a przynajmniej my dzisiaj tego nie potrafimy. To nie dotyczy wyłącznie filozofii. To nakłada się na wszystkie dziedziny, czyli inżynierię, chemię, biologię, one są także w pewnym paradygmacie jakościowo-ilościowym i pod tym względem nie można powiedzieć, że są czymś lepszym niż filozofia.

Ale badacze z tych dziedzin nauki zawsze mają przed sobą perspektywę genialnego odkrycia, czegoś, co nada nowy bieg tym dziedzinom. Filozof nie wymyśli czegoś, co diametralnie zmieni życie ludzi, tak jak uniwersalne lekarstwo na raka. Nie stworzy teorii, która wstrząśnie światem, odmieni bieg historii.

Ale czy to ostatnie jest nam prawdziwie potrzebne?

A to jest pytanie głęboko filozoficzne.

Filozofia wcale nie musi być praktyczna, choć bywa, jak etyka lekarska. Dziś jednak, o ile wymaga się praktyczności od inżynierii czy chemii, biologii, o tyle od filozofii już nie. Podobnie wielu dziś zadaje pytanie, jaki jest sens uprawiania np. polonistyki, wszak dla osób niewprawnych jest to tylko literatura i nie widzą w niej znaczenia praktycznego. A przecież polonistyka to np. edytorstwo – dziedzina

eprasa.pl 31f09d037d

stricte praktyczna. Są też głosy, które mówią, że filozofia jest tylko literaturą, ale bez fabuły, że to też jest literatura piękna, ale taka, która mówi o ideach, o tym, jak się odnaleźć w świecie. Zauważmy jednak, że dla wielu osób jest to ważne przesłanie. Są osoby, które w filozofii właśnie odnajdują sens swojego życia. Chociażby poprzez to, że odkrywają inną drogę, inny sposób myślenia, co pozwala im podejść inaczej do swojego życia. I cóż, czyż nie jest to właśnie praktyka?

Filozof wolontariusz uczący bezdomnych filozofii i niemieckiego. Nawet scenarzysta ambitnego filmu na festiwal w Sundance nie stworzyłby takiej postaci, a ja obok niej siedzę w rzeczywistości.

Rzeczywiście prowadziłem kurs języka niemieckiego dla osób bezdomnych w Zgromadzeniu Sióstr Albertynek w Bydgoszczy.

Po co osobom bezdomnym niemiecki?

Niektóre przychodziły dlatego, że ten język znały wcześniej, a chciały go sobie odświeżyć, inne, bo uznały, że to jedyna szansa, kiedy mogą się tego języka nauczyć. W wielu tych osobach był właśnie taki potencjał twórczy, by czegoś nowego się nauczyć, coś nowego poznać i chociaż prawdopodobnie nigdy w życiu tego nie wykorzystają, to przychodziły dla własnej satysfakcji. Dzięki mnie ktoś się czegoś nauczył i z mojej strony też jest to realizacja potrzeby twórczości.

Pierwszy student filozofii, który w dziejach uczelni został najlepszym studentem. Co trzeba było zrobić, żeby to osiągnąć?

Myślę, że przesądziły o tym moje publikacje. Profesor Sytnik-Czetwertyński zachęca do robienia rzeczy, na które my, studenci, nigdy byśmy się nie odważyli. Wiemy, że publikują profesorowie, doktorzy, ale dla nas to była nieosiągalna liga. Jeżeli się uwierzy w swoje siły, to wtedy ta odwaga przynosi profity. Ten pierwszy krok jest najważniejszy. Nawet jeśli artykuł zostałby odrzucony, choć przyznam, że jakoś mi się to nie zdarzyło, to już samo to, że się go napisało, że próbowało się brać przykład z utytułowanych naukowców, jest pozytywnym doświadczeniem. A i recenzje dają sporo, nawet negatywna może się okazać potrzebna, bo zobaczy się, co jest dobrze, a co źle. Czasami bowiem można zatracić krytycyzm do własnych tekstów i takie opinie są wówczas bardzo potrzebne.

Który filozof jest panu najbliższy w sposobie widzenia świata?

Gottfried Wilhelm Leibniz, XVIII-wieczny filozof. To był ostatni człowiek na świecie, który wiedział wszystko.

> Każde życie ma sens, a jeśli ktoś uważa, że jego życie nie ma sensu, to dlatego że jeszcze go nie odkrył albo go stracił

Nie ma takich ludzi.

Dzisiaj już nie ma. On posiadał całą wiedzę, którą mógł mieć w tamtym czasie. Znał się na wszystkim: na medycynie, fizyce, matematyce, historii. Gdyby nie Leibniz i jego rachunek różniczkowy, który wymyślił, dzisiaj nie byłoby komputerów. Jedak dla mnie najważniejsza jest jego filozofia, taka ludzka, optymistyczna. W tamtych czasach, gdy uprawiano filozofię, robiono to w bardzo suchy, traktatowy sposób. Dzisiaj, kiedy bierze się dzieła XVIII-wiecznych mistrzów bez przygotowania filozoficznego, nic z tego nie można zrozumieć. Leibniz pisał w taki sposób, że nawet ktoś, kto nie studiował filozofii, może się w tym odnaleźć. A najbardziej podoba mi się to, że on za pomocą suchej, formalnej logiki udowadnia, że świat, w którym żyjemy, jest najlepszy z możliwych. Jest wielkim optymistą, nie wierzy w przypadki, uznaje, że wszystko ma charakter racjonalny. To jest taka kompleksowa filozofia wszystkiego, obejmująca każdy aspekt życia.

Gdyby dzisiaj żył, też by uważał, że to jest najlepszy z możliwych światów?

Wychodził z założenia, że gdyby Bóg mógł stworzyć lepszy świat, toby to zrobił. Skoro stworzył ten, to on jest najlepszy. Twierdził, że dobro i zło postrzegamy ze swojej perspektywy, nie mając perspektywy wyższej, dlatego czasami nam się wydaje, że żyjemy bez nadziei, jesteśmy nieszczęśliwi, natomiast gdybyśmy potrafili tylko popatrzeć na nasze życie inaczej, to wtedy moglibyśmy dostrzec jego prawdziwy sens. Jest taka historyjka o pewnym tkaczu pracującym przy ogromnym gobelinie. Tkał swoją część i uważał, że to jest bez sensu, bo robi kilka ściegów, zmienia nitkę i nieudanie plącze nici, podczas gdy inni robią piękne, długie ściegi. I wtedy osoba, która ów gobelin zamówiła, zaprowadziła go na szczyt pracowni, żeby spojrzał na całość. Ujrzał wtedy, że utkał jego najpiękniejszą część.

Jak możemy popatrzeć na nasze życie z innej perspektywy?

Powinniśmy wierzyć w to, że nasze życie jest sensowne, ma jakiś cel, jest racjonalne, i to, co nam się przytrafia, nie dzieje się bez przyczyny. Nie jest tak, że jeśli kogoś spotykają niepowodzenia, to dlatego że się urodził pod nieszczęśliwą gwiazdą, bo może sprawią one, że ten człowiek dojdzie do tego, czego by nie osiągnął, gdyby jego życie było usłane różami.

Cierpienie uszlachetnia?

Nie wiemy, jak potoczyłoby się nasze życie, gdyby nas nie spotykały rzeczy, które uważamy za trudne, nieszczęśliwe. Może by się okazało, że wcale nie byłoby lepsze?

Jakie przesłanie pańskim zdaniem mogłoby być dla współczesnego człowieka filozoficznym drogowskazem?

Słowa Immanuela Kanta: „Postępuj według takiej tylko zasady, którą mógłbyś chcieć uczynić prawem powszechnym". Kant skłania nas do rygoryzmu moralnego – abyśmy nigdy nie zapominali o tym, że jesteśmy istotami moralnymi, by nie zdarzały się sytuacje, że można wyrządzić komuś coś złego, żeby osiągnąć korzyść.

Dzisiaj Kant raczej nie miałby wielu wiernych wyznawców.

Za życia też nie miał.

eprasa.pl 31f09d037d

Śpiewający seniorzy rozgrzali mały ekran i internetowe fora. „Sanatorium miłości" zaiskrzyło w Cannes i podbiło środkową Europę. Teraz znów przyciąga trzy miliony polskich widzów, dowodząc, jak duży potencjał ma przedział 60+

Nie tylko telewizyjna przygoda

Fot. Materiały Prasowe

eprasa.pl 31f09d037d

JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Z powodzeniem można by nazywać ten program „Sanatorium możliwości", „Kuracją z potencjałem" czy „Terapią uśmiechem". W każdym przypadku wpisane w tytuł pozytywne nastawienie nie oznacza braku bolesnych emocji na ekranie. Związanych z trudnymi wydarzeniami z przeszłości. Z doświadczeniami, z którymi trzeba się rozliczyć, by pójść do przodu, by sięgnąć po nowe marzenia, a może przypomnieć sobie dawne.

JUNIORZY BIS

Przyjechali z różnych stron Polski, a także świata. Otwarci na nowe doświadczenia, na przygodę życia – jak zgodnie mówią – choć też obarczeni bagażem minionych lat. Z rodzinnym zapleczem, z dziećmi i wnukami, które jednak żyją na własny rachunek, często z dala od rodziców. Co w takiej sytuacji pozostaje reprezentantom przedziału 60+, jeśli nie ma u ich boku drugiej połówki (to jeden z kluczowych wymogów programu)?

Ci, którzy trafili do nowej edycji „Sanatorium miłości", nie narzekają (choć nie odcinają się od często traumatycznych wspomnień czy trudów dzisiejszego dnia), rozwijają dawne pasje i szukają nowych. Jeśli któraś z uczestniczek dzierga czapki, to optymistycznie różowe, z pomponem. Dla siebie też. Panowie kleją fantastyczne modele żaglowców, piszą wiersze, ćwiczą fizyczną tężyznę albo grę na akordeonie. Gotowi są wyjść do ludzi, pokazać im się nawet w tak ekstremalnej wersji jak telewizyjny show.

Zgodnie z założeniami formatu w kolejnej edycji „Sanatorium miłości" pojawili się bohaterowie bardzo różni, jednak przynajmniej w dwóch kwestiach niezwykle zgodni. Po pierwsze, z pozytywnym nastawieniem gotowi na nowe otwarcie, kolejną szansę. Po drugie, niezależnie jak się prezentują i co o sobie mówią, świadomi, że najpoważniejszym symptomem starości i największym w niej wrogiem, jest samotność. A oni nie zamierzają być starzy. Nie chcą się nawet nazywać seniorami. Wolą określenie „juniorzy bis".

PANIE NA SZÓSTKĘ

Bożena od 30 lat żyje w Stanach Zjednoczonych, niedaleko Chicago, ale przyjechała do Polski, by wziąć udział w programie. Może zatrzyma się tu na dłużej?

Mieszkająca we Wrześni superenergiczna Stenia wypełnia czas zajęciami z fitnessu, tańcem i spotkaniami kółka teatralnego. Jako osoba samotna (obie córki mieszkają za granicą, jedna w Hiszpanii, druga za oceanem), a jednocześnie pełna optymizmu, postanowiła poszukać w programie tytułowej miłości. Czy to się udało, nie zdradzi, by nie psuć przyjemności oglądania. Natomiast już po pierwszym odcinku przekonała się, co znaczy popularność. Została rozpoznana i skomplementowana przez konduktora w pociągu relacji Września–Warszawa.

Barbara z Sosnowca marzyła o emeryturze – o spotkaniach z koleżankami, ćwiczeniach na siłowni, wycieczkach... ale nie potrafiła usiedzieć w domu. Po roku wróciła do pracy. Na trzy zmiany. I okazało się, że ma jeszcze mnóstwo czasu m.in. na szycie ubrań. Do programu zgłosiła się, by – zwłaszcza w święta – mieć kogoś obok.

Halina z Kielc, matka trójki dzieci i babcia sześciorga wnucząt, na nudę nie ma czasu. Lubi szyć i robić na drutach, ale też jeździ na rowerze. Ma nadzieję, że jak jej mama, w wieku 93 lat będzie miała siłę gotować obiady dla dziesięciu osób. Do programu zdecydowała się pójść, bo szuka szczerego i uczciwego partnera.

Wiesława z Brzezin pod Białymstokiem przez ponad 20 lat mieszkała we Włoszech. Wcześniej samotnie odchowała dzieci. Potrafi być bezkompromisowa i prostolinijna. Jako jedyna w sanatoryjnym towarzystwie korpulentna kobieta z dystansem mówi o swojej tuszy i o tym, co jej w duszy gra. Do programu zgłosili ją bratankowie, przekonani, że „jest nie do pobicia". – Charakteru to mi ten program nie zmienił – uważa Wiesława – ale teraz jestem w lepszej formie fizycznej.

Najmłodsza uczestniczka programu Iwona, od roku znów mieszkanka Radomska, przez parę lat układała sobie życie w Anglii, potem w Holandii. Drobna, pełna wigoru, z temperamentem widocznym także we fryzurze, przywołuje skojarzenia z Małgorzatą Ostrowską i jej „Szklaną pogodą". – Jestem porównywana do wielu znanych postaci – śmieje się. – Także do Michelle Pfeiffer, Ireny Jarockiej czy... Jodie Foster.

Obiektyw aparatu ją lubi, kamera też. To był jeden z powodów, dla których zdecydowała się przyjść do programu. – Za kilka lat miło będzie spojrzeć na zarejestrowane teraz kadry – mówi.

Fot. Materiały Prasowe (3)

eprasa.pl 31f09d037d

MĘSKA POŁOWA

Gerard, mieszkaniec Zabrza, były ratownik górniczy, codziennie rano ćwiczy, a potem biega. Jego marzeniem jest wejście na szczyt Kilimandżaro. W małżeństwie przeżył 32 lata. Dzisiaj uważa, że jest gotowy na nowe uczucie. Potrzebuje drugiej połówki do szczęścia, tym bardziej że chce dożyć stu lat.

Władysław z Jastrzębia-Zdroju na Śląsk przyjechał poznać nową towarzyszkę życia. Z żoną przeżyli 39 lat. Po jej śmierci przez rok nie mógł się pozbierać, kolejny stawał na nogi, potem, za sprawą wnuków, trafił do programu. Dzięki wnukowi całkiem niedawno założył sobie skrzynkę mailową.

Adam przez 16 lat był radnym w Wolbromiu, w którym dziś mieszka, opiekując się 93-letnią matką. Mówi, że to jego synowski obowiązek, ale też sytuacja, która mocno ograniczyła jego kontakty z ludźmi. Ma trzy córki, które się usamodzielniły i wyprowadziły z domu. Zgłosił się do programu, bo chciał poznać telewizję od środka. Dzięki jego udziałowi w „Sanatorium..." nikt już nie powinien pytać, gdzie leży Wolbrom. Adam liczy też, że po emisji krąg jego znajomych poszerzy się zwłaszcza o panie.

Władysława z Łodzi do udziału w programie namówił... lekarz po zabiegu związanym z przepukliną, a zgłoszenie wysłała córka z Baden-Baden, gdzie na stałe mieszka. Już po emisji pierwszego odcinka odebrał wiele pozytywnych sygnałów na Facebooku. Od pań, którym podobał się m.in. jego „piękny uśmiech i uwodzicielski wzrok". Zakłada, że nadchodzący rok będzie przełomowy w kwestii życiowej partnerki.

Wojtek, mieszkaniec Warszawy, po przejściu na emeryturę opiekował się chorą mamą. Było ciężko. Później nauczył się języka włoskiego, został aktorem amatorem. Rozpoczął treningi na siłowni i kupił organy elektryczne, na których sam nauczył się grać. Uwielbia też tańczyć i szuka partnerki, z którą mógłby dzielić tę pasję.

Waldemar z Zielonej Góry w dzieciństwie marzył, by zostać aktorem, ale poszedł do technikum elektrycznego i poświęcił się piłce nożnej (którą do dziś uwielbia oglądać). Do amatorskiej grupy teatralnej dołączył na emeryturze. Wtedy też zaczął pisać wiersze. W jednym tak skomentował program: „Dwanaścioro fajnych osób/ Dwanaście dróg do celu/ Dwanaście rodzących się przyjaźni/ Dwanaścioro... Dużo... Jednak nie tak wielu/ I co?/ Byliśmy, żyliśmy złączeni programem/ Przyszłość to pokaże/ Było to prawdziwe czy zakłamane".

„NIE" SAMOTNOŚCI

Prowadząca Marta Manowska, która jak nikt inny potrafi rozmawiać przed kamerą z uczestnikami telewizyjnych show, ufa w szczerość potrzeb bohaterów: – Cztery tygodnie, które przeżyliśmy razem, pokazują, że „Sanatorium miłości" to program o... młodości. O tym, że nigdy nie jest za późno. Ani na miłość, ani na przyjaźń, ani na nowe pasje. Na to, by pewne sprawy w życiu pozamykać; by zrzucić przytłaczający balast i znów móc się cieszyć życiem. Żeby mówić szczerze i wprost, co myślimy i czego potrzebujemy.

Twórcy „Sanatorium..." podkreślają: – Odczarowujemy starość. Mówimy „nie" samotności. Jesteśmy jedyną telewizją, która pokazuje, że życie po sześćdziesiątce może być piękne. Po to jest m.in. ten program, żeby wyciągnąć ludzi z domów, przekonać ich, że tuż za rogiem może czekać coś ciekawego, trzeba się tylko na to otworzyć.

– Dostaję mnóstwo wiadomości typu: „Byłam dzisiaj w operze z klubem seniora", „Zapisałam się na zajęcia manualne", „Jutro zaczynam pierwsze zajęcia na Uniwersytecie Trzeciego Wieku...". I to jest największy plus: bohaterowie „Sanatorium..." czy „The Voice Senior" stali się inspiracją dla swoich rówieśników. Sami „wyważyli te drzwi, odkorkowali temat" – podkreśla Manowska.

Na ubiegłorocznych targach branżowych w Cannes „Sanatorium miłości" uznano za jedną z najbardziej udanych premier telewizyjnych 2019 r. Podczas konkursu w Budapeszcie, pokonując 20 konkurentów, polska produkcja zdobyła tytuł najlepszego programu rozrywkowego w Europie Środkowo-Wschodniej. W Polsce pierwszy sezon oglądało średnio 3,5 mln widzów, premierowy odcinek nowej serii – blisko 3 mln. I – co niezwykle ważne – przed telewizorami zasiadają ludzie w różnym wieku, by z uśmiechem kibicować „juniorom bis".

eprasa.pl 31f09d037d

Klata wśród diabłów i aniołów

Po raz kolejny Jan Klata potraktował świetną literaturę jak fragment scenopisu do teledysku. Tym razem padło na słynne opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Zadziwia mnie Jan Klata, może nawet zadziwia mnie najbardziej spośród reżyserów teatralnych. Jeszcze rok temu wydawało mi się, że dojrzał, że zgrywy zastąpił namysł nad literaturą, jej znaczeniami. Co więcej, trzy miesiące temu, przy okazji premiery publicystyczno-hiphopowego „Długu", napisałem też, że daję Klacie kredyt zaufania, bo mimo wszystko wciąż czegoś szuka i potrafi dawać do myślenia przynajmniej w pojedynczych scenach. U Klaty takie przebłyski refleksji najczęściej przydarzają się wtedy, gdy postanawia się wyciszyć. Kiedy zgiełk zostaje zastąpiony przez skupienie.

„Matka Joanna od Aniołów" Jarosława Iwaszkiewicza również daje taką szansę. To mogłaby być rzecz o wiecznej naturze zła – myślę, że dla Klaty po jego doświadczeniach z antykiem to kwestia co najmniej zajmująca – lecz i o wadzeniu się człowieka z Bogiem, gdy dochodzi do momentu realnej próby wiary: przecież u Iwaszkiewicza ksiądz Suryn przybywa do klasztoru także po to, by stoczyć walkę z samym sobą, ze swoimi wątpliwościami. Wypędzenie demonów z duszy Joanny to jedno, to motyw oczywisty, te demony są bowiem prawdziwe, opowiadanie sprzed ponad 70 lat nie jest przecież grą w zgadywankę, czy diabeł istnieje. Jednak drugie – chyba najistotniejsze – to pytanie, czy w konfrontacji ze złem w ogóle warto mieć wątpliwości, czy one się opłacają.

Klata jednak nie ma obowiązku refleksji nad szczegółową teologią. Równie dobrze mógłby potraktować „Matkę Joannę" jako przypowieść o poświęceniu z miłości, ostatecznie Suryn z własnej woli staje się ofiarą opętań, by tylko wyzwolić zakonnicę. Ten wątek u autora jest zresztą wieloznaczny, lecz dotyka w jakiś sposób istoty chrześcijaństwa. W planie bardziej ogólnym byłby interesujący.

Ale, jak się okazało, zupełnie nie o to chodzi. I dlatego Klata mnie zadziwia. Chociaż przesadzam, przecież dało się to przewidzieć. Ten reżyser lubi się podobać, a już na pewno lubi się podobać tam, gdzie wie, że spodoba się jeszcze bardziej bez względu na swoje ewentualne potknięcia; mówiąc wprost: tanim kosztem. Po raz pierwszy pracuje w warszawskim Nowym Teatrze, w którym wystawienie „Matki Joanny" (granej przez Małgorzatę Gorol) jako widowiska o hipokryzji Kościoła to zabieg tyle oczywisty, ile koniunkturalny. Klata co prawda niejako przy okazji ma ochotę trochę prowokować: a to każe Surynowi (Bartosz Bielenia) namawiać publiczność do odmówienia w całości „Ojcze nasz", jakby chciał sprawdzić, czy widz przyzwyczajony do rytualnej lewicowości środowiska teatru przy Madalińskiego w ogóle potrafi jeszcze posługiwać się innym językiem. A to wykorzystuje wątek niezłomnego młodego papieża, który zapożycza z serialu Paola Sorrentino: Maciej Stuhr w białych szatach kilka razy wykrzykuje „my zapomnieliśmy...", po czym spada ze stromych watykańskich schodów, które zresztą stanowią główny element scenografii. Jednak to raczej nadal bezpieczne performance.

Bo próżno tu szukać groźnej atmosfery Ludynia z opowiadania Iwaszkiewicza, spektakl Klaty chyba nie może przejąć nawet kogoś, kto spodziewał się psychologicznego horroru. Rządzi nim irytująca prawidłowość, która przez lata stała się znakiem rozpoznawczym reżysera, ale której też w niektórych jego ostatnich przedstawieniach było trochę mniej. Gdy tylko sięga bowiem po frapujący dialog przeniesiony bezpośrednio z literatury, od razu jego teatr zyskuje inny wymiar: pojawia się powaga, rodzą się konteksty, często świetnie wymierzona porcja ironii, i to trafiona w punkt. Tak jest choćby w znakomitej scenie, kiedy cadyk Isze (Jacek Poniedziałek) tłumaczy Surynowi zawiłości dysputy o istocie zła na świecie. Ale już chwilę później Klata wraca na swój ulubiony teren i brnie w czysto kabaretowe chwyty, jakby udowadnianie po raz enty przywar duchowieństwa było jego oryginalną zasługą. Mając do dyspozycji dzieło Iwaszkiewicza, naprawdę warto mówić tak mało, schodząc kilka pięter poniżej tej prozy?

Nikt nie zabrania Klacie korzystać z efektownej skali, nikt chyba już nawet nie ma pretensji o specyficzny rytm jego teatru, który zaświadcza o tym, że jego twórca wciąż pragnie sprawdzać się jako reżyser wideoklipów. Jednak po pierwszej scenie, kiedy Bartosz Bielenia, skradając się wzdłuż kurtyny, powiada szatanowi: „widzę cię", naprawdę wypadałoby, żebym przynajmniej zaczął się bać.

„Matka Joanna od Aniołów"
wg Jarosława Iwaszkiewicza
reż. Jan Klata
Międzynarodowe Centrum Kultury
Nowy Teatr
premiera: 30 listopada 2019 r.

eprasa.pl 31f09d037d

Król kontra hipis

„Król Roger" w berneńskiej interpretacji stawia pytania o wolność jednostki i jej cenę w dobie zmieniających się wzorów kultury. Wybitną kreację w roli tytułowej stworzył Mariusz Godlewski

ADAM CIESIELSKI

Dzieło Karola Szymanowskiego po warszawskiej premierze w 1926 r. zostało w 1928 r. wystawione w Duisburgu, a w 1932 r. oklaskiwano je w Pradze. Po wojnie nawet w kraju pojawiało się rzadko, choć w głównej partii błyszczał niezapomniany Andrzej Hiolski. Przeważała opinia, że to utwór trudny, bez dynamicznej dramaturgii.

Zmianę spojrzenia przyniósł XXI w. Sceniczny potencjał zapomnianej opery dostrzegł Mariusz Treliński, wystawiając ją m.in. w 2000 r. w Operze Narodowej, w 2007 r. w Operze Wrocławskiej, a rok później na festiwalu w Edynburgu. Tym śladem, choć każdy inaczej, poszli Krzysztof Warlikowski, Michał Znaniecki i kolejni reżyserzy. Posypały się też realizacje zagraniczne, było ich już w tym wieku ponad 20 – od Barcelony, Bregencji, Petersburga, po Paryż, Nowy Jork, Melbourne i głośnej wersji Kaspera Holtena w londyńskiej Covent Garden z Mariuszem Kwietniem w roli Króla.

Każde z tych ujęć to odmienne odczytanie historii o XII-wiecznym królu Sycylii, którego kodyfikowany religią świat rygorystycznej moralności burzy pojawienie się Pasterza, apostoła nowej, hedonistycznej wiary. Dramat zazdrości (bo entuzjastyczną zwolenniczką przybysza zostaje królowa Roksana), rzecz o kryzysie władzy czy wreszcie tak chętnie dziś eksponowany temat tożsamości erotycznej? Niemiecki reżyser Ludger Engels zręcznie dotyka wszystkich tych wątków, nie popadając w jednoznaczność. Przewodni motyw konfrontacji społecznej rutyny z naturalną potrzebą wolności jednostki pokazuje, odwołując się do znanego sprzed półwiecza kontrkulturowego wzorca dzieci kwiatów. Programowe transparenty, które wyznawcy Pasterza demonstrują na scenie (i na widowni), jako żywo powtarzają „Make love, not war!" itp. hasła kontestującej młodzieży z San Francisco, Woodstock i europejskich stolic przełomu 60. i 70. lat XX w.

Plakatowa natarczywość nuży, ale to wrażenie neutralizuje intrygująca przemiana dionizyjskiego Pasterza (w tej roli czysto brzmiący tenor Andries Cloete z RPA). Gdy przybywa on w I akcie jako porywający tłumy herold ekstatycznej religii szczęścia, jest wysportowanym, uśmiechniętym hipisem w dżinsach, kapeluszu, z włosami do ramion. Pod koniec, gdy jego ideologii poddał się już nawet sam Król (wiarygodny w każdym momencie, znakomicie dysponowany głosowo i aktorsko baryton Mariusz Godlewski), lider triumfującego ruchu ukazuje się nam wyłysiały, zmaltretowany, jakby prosto z kostnicy. Zabójcze koszty zwycięstwa? A może wizja przyszłości, bo przecież niejedna rewolucja zniszczyła własnych idoli?

Wszyscy – zarówno berneńskie chóry, jak i międzynarodowe grono solistów – śpiewali w języku oryginału, czyli po polsku. Partnerującym Godlewskiemu – Rosjance Evgenii Grekovej (Roksana) i Ukraińcowi Nazariyemu Sadivsky'emu (Edrisi) nie nastręczało to większych problemów. Dla pozostałych wyuczenie się tekstu musiało być wyzwaniem nie lada.

Spektakl pod kierownictwem muzycznym Matthew Toogooda miał bardzo życzliwe przyjęcie w szwajcarskiej stolicy. Po kilku wyprzedanych prezentacjach grudniowych opera Szymanowskiego zostaje w repertuarze na 2020 r. Inscenizacja „Króla Rogera" była jednym z finałowych akcentów XV festiwalu Culturescapes, przybliżającego Szwajcarom co roku kulturę innego kraju. Teraz bohaterką była Polska. W ciągu 10 tygodni w 18 miastach odbyło się 220 polskich wydarzeń: wystaw, projekcji filmowych, przedstawień teatralnych, koncertów, organizowanych przy współpracy IAM.

„Król Roger" Karola Szymanowskiego
Reż. Ludger Engels
Szwajcarska premiera w Konzert Theater Berno 1 grudnia 2019 r.
Partner realizacji: Instytut Adama Mickiewicza w ramach festiwalu Culturescapes Polen

eprasa.pl 31f09d037d

Wojciech Stanisławski

Prawość i pięść

Pokusa, żeby zestawić te dwa tytuły, okazała się nie do odparcia – także dlatego, że są pod wieloma względami tak uderzająco różne

Kontrast zaczyna się już na etapie okładki – czerń kontra biel, wysmakowanie kontra brzydota, perfekcyjna muszla marmurowej klatki schodowej kontra perfekcyjna podróbka okładki kasety VHS z wżartym brudem – ale sięga znacznie głębiej. Brutalny, naturszczykowski thriller z życia kiboli i pełen niedopowiedzeń zapis doświadczeń osoby zdystansowanej i nieprzysiadalnej. Skondensowana do trzech tygodni akcja i namysł nad trzema dekadami życia. Tekst drażniąco aż, przerysowanie niemal brutalny i „męski" i drugi, drażniąco aż, przerysowanie niemal delikatny i „kobiecy" (Marta Kwaśnicka, opisując ściany zdewastowanej windy w blokowisku, sięga po godną zeznającej przed sądem hrabiny frazę „rysunki męskich części intymnych"; gdybym chciał zacytować, co Wojciech Mucha pisze o rysunkach na ścianach wind i blokowisk, zabrakłoby mi pewnie asterysków). Łamiący nos prawy prosty i zawisająca w powietrzu dłoń (książkę Muchy powinien był zilustrować Roy Lichtenstein, Kwaśnickiej – Edward Okuń). Troglodyci i erudyci. Wykrzyknik i trzykropek.

Razem wziąwszy, prawość i pięść. Stawiam obok siebie „Pomyłkę" i „Miasto noży" nie tylko z przekory i nie tylko dlatego, że obie książki były od dłuższego czasu wyczekiwane (zarówno Marta Kwaśnicka, jak i Wojciech Mucha nie są przecież debiutantami, a ich opinie i wybory są uważnie śledzone. Wydana przed kilku laty „Jadwiga" Kwaśnickiej oraz „Krew i ziemia" Muchy są książkami, które zostały z nami na dobre; ale i drobniejsze rzeczy, zarówno jej blog, jak i jego artykuły są dumnym świadectwem niezależności obojga autorów, również od środowisk, do których na co dzień im blisko). Zestawiam te książki nawet nie dlatego, że urzekły mnie i rozdrażniły zarazem, że obie są ważne i zarazem w pewien sposób niedoskonałe. Dlaczego więc? O tym może za kilka akapitów.

* * *

„Pomyłka" to portret pisarki z czasów młodości, zbiór na poły solilokwiów, na poły wyznań; plus dwa–trzy „śledztwa literackie" osadzone na solidnej bibliografii i zdumiewającej sztuce introspekcji. I prozodia, i proporcje, w jakich splecione są fikcja i relacja, wydadzą nam się znajome. Tak, to Kwaśnicka, pokiwa głową każdy, kto otworzy na chybił trafił tę książkę i przeczyta pierwszy akapit; ja też to robię, zafascynowany i zirytowany, bo w zdaniach autorki dostrzegam resentyment, skupienie uwagi na swoich prywacjach, które XIX-wieczny spowiednik nazwałby chyba „rozpamiętywaniem" – a obok tego ogromną uważność, czy rzecz dotyczy odprysków krzemiennego pięściaka, czy samotności w secesyjnym Madrycie.

Sięgając po „Pomyłkę", trzeba się pogodzić z tym, że nie mamy do czynienia z opowieścią quasi-autobiograficzną. Jeśli tego nie zrobimy, przykro uderzać nas będzie brak konsekwencji i ciągłości: zapisane spotkania, sceny i postaci nie wynikają z siebie nawzajem, nie układają się w fabularny ciąg, jak dzieje się w lepszej czy gorszej powieści. Tyle że rozczarowanie to, jeśli się pojawi, będzie wynikiem głównie naszych oczekiwań; trochę może iluzji, jakie sprawia elegijno-powieściowa narracja pierwszych rozdziałów. W rzeczywistości mamy do czynienia z zapisem kilkunastu spotkań, sytuacji błahych lub w najlepszym razie malowniczych, które po latach okazują się wiele znaczyć. Nieszczęśliwie zakochana znajoma czy dawne wydanie „Odysei" oprawne w zielony aksamit pojawią się w książce tylko raz, jako zapowiedź niespełnienia. Narratorka i jej życie ukazują nam się w strzępach mgły: w jednym szkicu mignie dalsza rodzina, w innym – „praca w mediach centralnych", opisana z pasją godną pamfletu. Wierny T., obecny we wszystkich niemal rozdziałach, raz bodaj tylko uchyli przyłbicy inicjału.

A jednak wartość tego zapisu nie wyczerpuje się w trochę neurotycznej uważności, z jaką zapisywane są losy wiekowego pianina, celtycka brosza, krakowski kloszard. Żeby to jednak zrozumieć, musimy przeczytać „Pomyłkę" raz i drugi, pogodzić się z pozornym

eprasa.pl 31f09d037d

brakiem pointy, by dostrzec, że jest to także rzecz o niespełnieniu, dogasaniu, inwolucji, którą zapowiadała spirala okładkowych schodów. „W szybę okienną uderzała mucha, coraz bardziej leniwie. Już się objadła życiem, ale nadal była łakoma; chciała więcej, tylko chorowała już na wrzesień i opadała z sił".

To również książka o pragnieniu tak staroświeckim, że najpierw przestano przyznawać się do niego, a później – traktować je poważnie: o pragnieniu „zostania pisarzem". Szły za nim tysiące, udawało się setkom, które nierzadko najciekawsze książki pisały o swojej „drodze do debiutu". Bohaterka „Pomyłki" krąży wokół tego marzenia, opadając z sił, cierpka, zgorzkniała, niepewna i zrezygnowana. Kształt tej książki, jej ciemna elegancja jest mocniejszym od wielu triumfalnych autobiografii argumentem, że nadal można marzyć o pisaniu – i znaleźć w nim spełnienie.

* * *

Narrator „Miasta noży" nie ma problemu z pisaniem: tu narracja aż kipi, zarzuconych wątków (co z natręctwami Małpy, co z młodszym bratem Browarnika, czy Deska pogodzi się z powrotem Goldena?) starczyłoby na sequel, a jeśli niektóre z nich trudno powiązać, w rolę deus ex machina chętnie wcieli się kompania antyterrorystyczna policji, rzucając na glebę większość głównych bohaterów i zbytnie komplikacje fabuły.

Tyle że w malowniczym, brutalnym, westernowo-blokerskim zapisie wojny kibiców dwóch krakowskich drużyn piłkarskich nie o samą wojnę chodzi. Owszem, opis aspiracji zaniedbanych nastolatków, technik awansu w osiedlowej hierarchii i walk stadionowych, kibolski slang, zestawiony aż przez wydawcę w minisłowniku na końcu książki (!) ma swoją wartość etnograficzną i kronikarską.

Gdyby jednak poprzestać na adrenalinie (o której Mucha, świadek walk na Majdanie, wie jak mało kto), do tego zaś workach hery, szalikach, dobrze naostrzonych kosach oraz postaciach zdefiniowanych już dawno temu przez elitę scenarzystów filmów sensacyjnych (główny bohater – Zły, ale o Dobrym Sercu; Bandyta, tłusty, obleśny i bez Ludzkich Uczuć; Spracowana Matka; Młody Aspirujący; Młody, Który Musi Zginąć; Młoda, Rogata Dziennikarka; jej Dobrze Sytuowana, ale Cyniczna Przyjaciółka; Skorumpowany Policjant; Nieskorumpowany Policjant etc.) mielibyśmy do czynienia z wąsko gatunkowym czytadłem na jeden wieczór. Tymczasem mamy do czynienia z jednym z najbardziej udanych nawiązań do klasyki, jaką jest „Zły" Tyrmanda i wykorzystaniem całego potencjału tamtej opowieści.

„Miasto noży" jest panoramą Krakowa napisaną z drwiną i miłością, z wyraźną, choć dyskretną, przewagą tej drugiej. Jest powieścią, która oddaje sprawiedliwość detalom kamienic i smakom maczanki, niedzielnym targom staroci i kiczowi Rynku, Igołomskiej i Azorom, starym przegubowcom i nowobogackim knajpom, która wiernie odtwarza geografię „miejsc niczyich" (torowisk, zrujnowanych magazynów, potoków-ponorników, moteli na wylotówkach), i wyzwalająco wyśmiewa genealogie licznych „Krakówków". Ta powieść zachowuje sznyt Tyrmanda nawet w detalach – w traktowaniu miasta jako wielkiego, zbiorowego organizmu, w filuternej powadze opisu. I nawet, jeśli Janusz zwany Hersztem nie jest i nie miał być postacią na miarę Filipa Merynosa, to pozycja „Miasta noży" jako najlepszego antyheroicznego portretu Krakowa lat 90. na długo pozostanie niezagrożona.

* * *

Po co jednak zestawiać współczesne naśladowania „Wyznań" i „Złego"? Mniejsza o obecny w obu książkach Kraków (u Kwaśnickiej już nie tak piękny i świetlisty jak w jej „Jadwidze", ale nadal pełen głębi; u Muchy antyheroiczny, wywrócony na nice). „Pomyłka" i „Miasto noży" są świadectwem tego, jak w lata poniżej zera i w wiek XXI (w formacyjne lata III RP) wchodziło pokolenie czterdziestolatków. Mucha, jak można było się spodziewać, jest w tych kwestiach bardziej dobitny: spora część komentarzy padających w powieści to ostra polemika z sielankową wizją Polski, która dzięki „okrągłemu stołowi" i Balcerowiczowi miała popłynąć mlekiem, miodem i sprawiedliwością. Kwaśnicka stroni od publicystyki, ale jej migawki z życia prowincji, ekspatów, wojen podjazdowych dwóch politycznych plemion są nie mniej przejmujące. To, że w literaturze pojawiła się inna niż „gazetowyborcza" narracja o III RP, wydaje mi się jeszcze jednym, niemałym atutem tych dwóch książek.

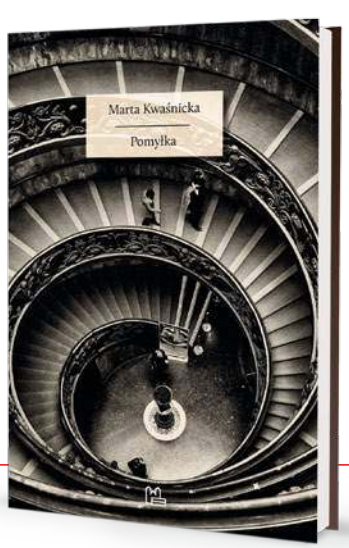

Marta Kwaśnicka, „Pomyłka", Wydawnictwo Benedyktynów Tyniec (Biblioteka Christianitas)

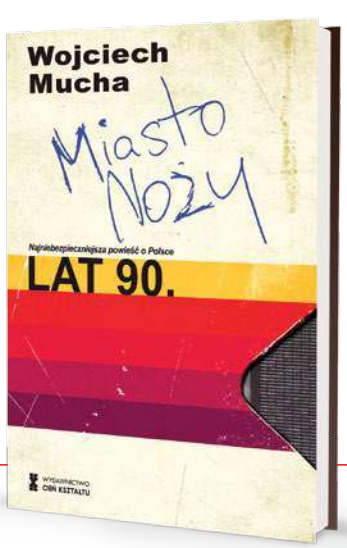

Wojciech Mucha, „Miasto noży", Wydawnictwo Cień Kształtu

eprasa.pl 31f09d037d

Adamski poleca

Bez głębi pierwszego sezonu

Dlaczego „Młody papież" z 2016 r. tak bardzo się podobał wielu konserwatywnym katolikom, mimo otwarcie prowokacyjnej formy? Dlaczego serial o ultrakonserwatywnym papieżu (Jude Law), wyglądającym jak filmowa gwiazda, który możliwe, że nie wierzył nawet w Boga, wywołał tak ciekawe dysputy o Kościele katolickim?

Paolo Sorrentino zrobił serial znakomicie diagnozujący problemy trawiące Kościół. Powierzchowność teologiczna kapłanów celebrytów, zapatrzenie w poklask mas i uginanie się przed nowinkami ideologicznymi wywołały kontrrewolucję Amerykanina Lenny'ego Belardo, przyjmującego imię Piusa XIII. Była ona wymierzona w popadanie przez Watykan w niewolę ducha czasów, o której pisał Chesterton czy de Maistre. Jasne, że Sorrentino wytłumaczył wszystko traumą dziecka odrzuconego przez hipisów pokolenia '68.

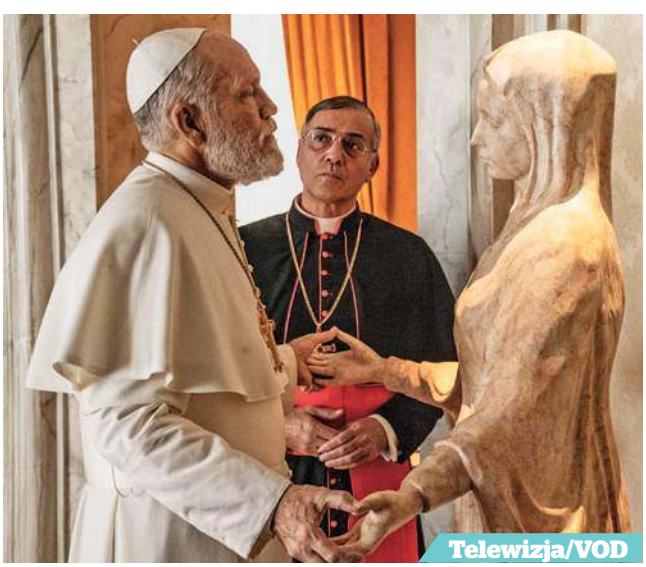

Telewizja/VOD

Zapatrzył się też w swojego mistrza Felliniego, przejmując jego przenikliwy antyklerykalizm ze sceny pokazu mody kościelnej z „Rzymu". Niechcący dał nam jednak intrygującą teologicznie i prowokującą opowieść o kondycji Kościoła katolickiego w czasie kryzysu wiary zlaicyzowanej zachodniej cywilizacji.

Ta wizja nie potrzebowała sequela, czego dowodem jest pierwszych sześć odcinków (tyle obejrzałem przedpremierowo) „Nowego papieża". Nie jest to jednak serial zły. Ba, jest to serial magnetyczny, wizjonerski i przezabawnie bezczelny. Niestety Sorrentino zgubił całą głębię i niejednoznaczność „jedynki" kosztem pójścia w stronę mieszanki infantylnych (choć uroczych) „Dwóch papieży" Netflixa z „Rodziną Borgiów".

Pius XIII (Law) zapadł w śpiączkę. Jego oddech jest transmitowany w radiu przez garstkę wyznawców koczujących pod weneckimi oknami kliniki. Ma przypominać o jego tajemniczości i milczącym proteście przeciwko odejściu świata od wiary. Papież pojawia się jako duch w wizjach swoich przyjaciół i ważnych postaci Kościoła. Unosi się nad pogrążonym w kryzysie Watykanem, gdzie dzięki machlojkom potężnego sekretarza stanu kardynała Voiello (Silvio Orlando) na tronie zasiada traktowany jak marionetka Franciszek II. Ten jednak tylko gra naiwniaka i zgodnie z franciszkańskim duchem zapowiada rozdanie majątku Watykanu biednym. Otwiera też bramy imigrantom i zabiera przywileje przerażonym hierarchom. Umiera na zawał serca po kilkunastu tygodniach pontyfikatu. Jak Jan Paweł I. W jego miejsce przychodzi brytyjski arystokrata sir John Brannox (John Malkovich), który przybiera imię Jan Paweł III. Zwolennik status quo i umiarkowany tradycjonalista podobnie jak Pius XIII jest napędzany traumami dzieciństwa, które przekładają się na jego pontyfikat.

Już to pokazuje, że Sorrentino odcina kupony od błyskotliwego „Młodego papieża", osadzając na tym samym szkielecie historię „Nowego papieża". Brannox jest ekscentryczny jak Belardo. Jest w nim wewnętrzna uczciwość, ale napędzają go osobiste uprzedzenia. Belardo wyrzekł się w imieniu Kościoła taniego poklasku „człowieka masowego" i blichtru związanego z „kremówkową wizją papiestwa". Skoro rodzice symbolizujący wolną miłość lat 60. odrzucili jego, on odrzucił przepojony duchem roku 1968 świat. Brannox wyrzekł się natomiast siebie. W imię dobra surowych rodziców i pamięci po zmarłym bracie bliźniaku. Teraz znów wyrzeka się siebie, ale w imię Kościoła. Też go znienawidzi jak rodziców? „Potrafię być papieżem, bo wiem, jak przyjąć cierpienie. Pierwszy raz będę podziwiany" – mówi.

Sorrentino idzie wydeptaną ścieżką, odwracając leniwie wektory. Hipisowskich rodziców zastępuje konserwatywna arystokracja, a konserwatywnego buntownika na Tronie Piotrowym – zniewolony tradycją kryptoliberał. Zamiast prowokacyjnej, ale ożywczej intelektualnie debaty o klerykalizmie i korporacjonizmie w Watykanie dostajemy zbanalizowaną opowieść o finansach Watykanu i unikaniu płacenia podatków oraz teorie spiskowe godne „Ojca chrzestnego III".

A jednak daję temu sezonowi szansę. Paolo Sorrentino zniewala plastycznymi ujęciami łączącymi sacrum i profanum. Intryguje śpiący Pius XIII i jego rola w finałowych odcinkach. Nieustannie moje serce kradnie kapitalnie napisana postać ironicznego kardynała Voiello, łączącego w sobie cynizm Franka Underwooda, dobroduszność opiekującego się niepełnosprawnymi wiejskiego proboszcza i fanatyzm kibica Napoli. Wkurza mnie, że Sorrentino spłaszczył intelektualny wymiar opowieści. Mimo to nie mogę oderwać od niej wzorku, czekając na przebudzenie Belardo. No, ale ja czekam właśnie na takiego papieża. W rzeczywistości. Nie w kinie.

„NOWY PAPIEŻ" NA HBO GO I HBO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 31f09d037d

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Już to widziałem

Kino

Jest w tym filmie ważna scena. Młoda Judy Garland po skończonych zdjęciach do „Czarnoksiężnika z krainy Oz" zostaje zaproszona przez Mickeya Rooneya na kolacje. Oboje stoją za kulisami sceny, gdzie byli chwilę wcześniej oklaskiwani. „Chodź. Wszystko się skończyło" – mówi do koleżanki młodziutki gwiazdor Hollywood. Ona rozdarta patrzy na Mickeya i słucha aplauzu widowni. „Może innym razem" – odpowiada. Zostaje w szponach show-biznesu. Wybrała świat, który ją wycisnął jak cytrynę i potem odrzucił. Szkoda, że Rupert Goold właśnie wokół tej sceny nie obudował opowieści o ostatnich miesiącach życia Judy Garland.

Jest to powrót Renée Zellweger do aktorskiej formy. Zdobywczyni Oscara za „Wzgórze nadziei" (2003) w ostatnich latach aktorsko najczęściej pikowała. Jej wybór do roli ikony Hollywood i piosenkarki, która przedawkowała leki w wieku 47 lat, był zrozumiały. Zellweger nie doświadczyła takich dramatów jak Garland, ale rozumie, czym jest utrata miłości fanów i mroki show-biznesu. Czy jednak Złoty Glob za rolę był zasłużony?

Goold nie poszedł drogą tak odważnych biografii muzycznych jak zeszłoroczny „Rocketman". Bliżej tej opowieści do bezpiecznego i do bólu schematycznego „Bohemian Rhapsody". Nie dowiemy się, jak bardzo trauma na planie „Czarnoksiężnika...", gdzie Judy była traktowana jak maszynka do zarabiania pieniędzy (głodzono ją, faszerowano tabletkami i szantażowano emocjonalnie za każdy przejaw buntu), wpłynęła na jej późniejszy alkoholizm, lekomanię i depresję. Matka m.in. Lizy Minnelli była postacią niejednoznaczną i skomplikowaną, co właśnie pokazała scena, gdy mimo upokorzenia ze strony legendarnego reżysera Louisa B. Mayera wybrała drogę w show-biznesie. To zresztą znamienne, że Zellweger odbierała Złoty Glob za rolę Judy, która podobno była molestowana seksualnie (tak pisała w nieopublikowanych nigdy pamiętnikach) przez legendarnego współzałożyciela MGM, na gali, gdzie co roku przyznaje się nagrodę im. Louisa B. Mayera. Trudno się dziwić żartom Ricka Gervaisa z hipokryzji Hollywood.

Niejednoznaczność Garland nie wybija z roli Zellweger, choć aktorka robi wiele, by pokazać różne twarze Judy Garland. W pamięci pozostaje jedna z nich – infantylna i naiwna gwiazdeczka, nieumiejąca poradzić sobie z przemijaniem. „Judy" nie mówi nam nic więcej o upadku gwiazdy niż większość biograficznych filmów. Na dodatek reżyser niezrozumiale nie eksploatuje klimatu Londynu końca lat 60., gdy Garland zderzała się z nową falą zespołów jak Rolling Stones i Beatlesi. Przecież to samograj!

Zellweger bardzo mocno pragnie drugiego Oscara. Momentami widać, jak wyrachowana i wystudiowana jest jej kreacja. Aktorka pręży swoje wychudzone ciało i naśladuje mimikę ikony, nie wkładając w rolę własnej iskry. Natomiast już na scenie Zellweger błyszczy charyzmą Garland. Sama wykonuje jej piosenki (jak Phoenix i Witherspoon w „Spacerze po linie"), czym dodaje kreacji autentyzmu. Co jednak z tego, skoro po seansie nie zostaje głębsza myśl od tej, którą czułem po „The Doors" Stone'a. Zobaczyłem kolejną gwiazdę przeżutą i wyplutą przez show-biznes. Nic więcej.

„JUDY", REŻ. RUPERT GOOLD, DYSTR. MONOLITH

Film nadający się do kuwety

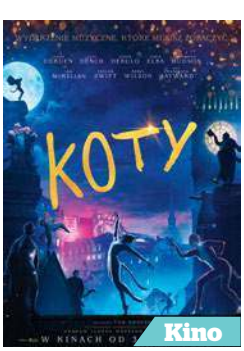

Kino

Co można powiedzieć o filmie, który spowodował taką lawinę zdumienia, że jeden ze znanych brytyjskich krytyków filmowych napisał swoją recenzję szyderczym wierszem? Nie będę się silił na analizę filmowej wersji kultowego musicalu „Koty" Andrew Lloyda Webbera, opartego na wierszach T.S. Eliota, którą do swoich rąk wziął Tom Hooper. Mnie ten film nawet fascynuje, bo każe zapytać, jak to możliwe, że w czymś tak strasznym zagrały takie gwiazdy jak Judi Dench, Idris Elba, Ian McKellen i Jennifer Hudson? Nie chodzi nawet o to, że ta wersja jest wykastrowana z klimatu scenicznego show i ma scenariusz bardziej pogruchotany niż kości kota w pysku pitbulla. Można miauknąć ze znudzenia, że nie widać tutaj chrześcijańskiej alegorii T.S. Eliota ani miłości do kociego indywidualizmu Webbera. Najgorsze jest to, że ktoś tak koszmarnie zepsuł efekty specjalne. Koty z nałożoną komputerowo twarzą aktorów wyglądają, jak sen Filemona i Garfielda po sesji z grzybkami. Oglądając to filmowe kuriozum, miałem nadzieję, że choć jedna z postaci spadnie na cztery łapy. Na szczęście te koty dziewięciu żyć nie będą miały. Chyba że posłużą jako seans kara dla terrorystów w tajnych więzieniach CIA. Najlepiej w kuwecie.

„KOTY", REŻ. TOM HOLLAND, DYSTR. UIP

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 31f09d037d

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piękny umysł Tolkiena

Do czasu obejrzenia filmowych adaptacji nie znałem twórczości Johna Ronalda Reuela Tolkiena. Choć wiedziałem, że inspiruje innych, np. harcerzy z czasów mojej młodości, dzielnych ludzi. Kiedy obejrzałem adaptacje, potem zajrzałem do książek, doceniłem jego umiejętność budowania oddzielnego świata. Śródziemie zaludnione przez przedziwne ludy, istoty i stwory działa trochę jak narkotyk. Pamiętam, jak zaproszony do Anglii w 2004 r., zwiedzałem zabytkowe miasteczko. Pojąłem, że jestem gościem hobbitów, z ich małymi domkami.

A teraz dzięki Canal+ z miejsca kupiłem film o samym Tolkienie cypryjskiego reżysera Dome Karukoskiego. Pisarz już zawsze będzie miał dla mnie twarz Nicholasa Houlta.

Pokazano nam w filmie „Tolkien" głównie dzieciństwo i młodość pisarza. Mamy opowieść o przyjaźni z trzema kolegami ze szkoły. To prawdziwe postaci, prawdziwy jest też tragiczny koniec tej przyjaźni – w czasie I wojny światowej. Trauma hekatomby, jaką przeszła brytyjska (podobnie jak francuska czy niemiecka) młodzież, musiała wisieć latami nad całym pokoleniem. Ale poza wymową historyczną, zresztą delikatną, bo z Tolkiena nie robi się pacyfisty, byłem zafascynowany prostotą, z jaką można sportretować ludzkie braterstwo – jakby wbrew stereotypowi oschłej angielskiej szkoły. To nadaje filmowi rys staroświeckiej szlachetności.

To zarazem przypowiastka o ludzkiej wyobraźni. Oglądamy sceny z życia Tolkiena, które zmienią się potem w literackie pomysły. Na froncie w 1916 r. podczas eskapady po okopach w poszukiwaniu przyjaciela zobaczy ziejące ogniem bestie. Ale dozna też opieki żołnierza Sama, który stanie się pierwowzorem Sama z „Władcy pierścieni", tego, który był cały czas przy Frodo Bagginsie. Zaczynamy też rozumieć fascynacje człowieka, który wymyślał sztuczne języki, bo tak dobrze pojmował te prawdziwe. Ten film powinien się nazywać „Piękny umysł".

Last but not least – jest jeszcze miłość. Edith, grana przez Lily Collins, która towarzyszyła potem Tolkienowi całe życie, jest prawdziwa, tak jak koledzy. Narzekano, że film niedostatecznie oddaje rolę wiary w życiu katolickiego autora w protestanckiej Anglii. Z tym się zgodzę, choć mamy wątek jego związku z Kościołem, który się nim i jego bratem, sierotami, opiekował, co jest przyczynkiem do szczególnej roli tej instytucji chroniącej swoich wyznawców. Nieco oschły ksiądz Francis dozna na koniec rehabilitacji, ale scenarzyście brakło odwagi, aby drążyć duchowość Tolkiena. Mogłoby to być ciekawe, bo przecież jego wizja świata zdominowanego przez magię jest pozornie mało chrześcijańska – poza jednym: wiarą w dobro, które zwycięża zło.

Na koniec Hoult. Dziecięcy aktor m.in. z „Był sobie chłopiec", potem czarujący młodzieńczą naturalnością w „Samotnym mężczyźnie", następnie przewrotny w feerii ról „pokręconych": łajdak z „Wykończyć przyjaciół", zombie z „Wiecznie żywy", nawet lider torysów Robert Harley z „Faworyty". Ale

też ujmujący, choć zdeformowany Nux z „Mad Max. Na drodze gniewu". Tu ma się wrażenie, że aktor opowiada o sobie, o swojej dobroci. Pewnie to iluzja, ale przemożna.

Ale warto też pochwalić dziecięcych aktorów grających Tolkiena i jego kolegów w pierwszych szkolnych wcieleniach. I Dereka Jacobiego, cesarza Klaudiusza z dawnego serialu, jako ekscentrycznego profesora od języków. Mam odrobinę żalu, że za mało tu było o religii. I jednak bezmiar wdzięczności za film o dobru.

Piotr Zaremba

Hit tygodnia

Sharp Rollable RGB OLED

Nadchodzi era zwijanych telewizorów? Sharp Rollable RGB OLED to na razie prototyp, ale jak ktoś chce, to może już zacząć zbierać pieniądze na LG Signature OLED R, który ma jeszcze w tym roku pojawić się w sprzedaży. Sharp Rollable RGB OLED ma przekątną 30 cali i zachowuje przy tym rozmiarze rozdzielczość 4K, ma grubość pół centymetra i waży 100 g. Firma Sharp podkreśla też, że do skonstruowania telewizora zastosowała zupełnie inne technologie niż LG – w tym drugim białe światło przechodzi przez filtr koloru, natomiast w Sharpie to piksele emitują kolorowe światło. Technologia technologią, ale dla użytkownika liczy się wygoda korzystania ze sprzętu, a sama idea zwijanego monitora wydaje się całkiem ciekawa. Zapewne jeszcze trochę poczekamy, czy takie telewizory przyjmą się na rynku – wspomnijmy tylko o monitorach 3D, które zapowiadane były jako rewolucja, a dziś już ich nikt w zasadzie nie produkuje. **zapowiedź**

Plusy i minusy

+ zwijany telewizor zajmie zdecydowanie mniej miejsca, no i gdy będzie wyłączony (czyli zwinięty), się nie przewróci
+ musimy poczekać, aż tego typu telewizory pojawią się w sprzedaży, by ocenić ich użyteczność i ceny, żeby nie były zbyt wysokie

Obiektyw Nikkor Z 58 mm f/0.95 S Noct

Raczej jako ciekawostkę (nie, że coś z nim nie tak, wręcz przeciwnie) potraktujmy pojawienie się obiektywu w wersji przeznaczonej do aparatów bezlusterkowych: Nikkor Z 58 mm f/0.95 S Noct. Nawiązuje on swoją koncepcją do słynnego obiektywu Noct z mocowaniem F firmy Nikon. Jest to zdecydowanie obiektyw przeznaczony do profesjonalnej fotografii; jego jasność, czyli f/0.95, pokazuje, jakie możliwości daje nowy bagnet Nikona. Jednakże cena tego szkła sprawia, że Nikkor Z 58 mm f/0.95 S Noct pozostanie marzeniem dla zdecydowanej większości – 39 999 zł. **premiera**

Huawei P smart Pro

P smart Pro to nowy smartfon Huawei z potężnym, potrójnym aparatem fotograficznym: głównym o rozdzielczości 48 MP, ultraszerokokątnym z matrycą 8 MP oraz obiektywie przeznaczonym do głębi ostrości o rozdzielczości 2 MP. Huawei P smart Pro został wyposażony w wysuwany aparat selfie. Poza wysokiej klasy optyką, wspomaganą przez sztuczną inteligencję, telefon wyróżnia się też wydajnością pracy. Zastosowano w nim m.in. energooszczędny procesor, dużą pamięć operacyjną (6 GB) i pamięć wewnętrzną (128 GB, którą można poszerzyć za pomocą karty micro SD aż do 512 GB) oraz wytrzymałą baterię o pojemności 4000 mAh. P smart Pro wyposażony jest w pozbawiony wcięć i otworów ekran Ultra FullView, a dodatkową innowacją jest czytnik linii papilarnych wbudowany w krawędź obudowy. Urządzenie będzie dostępne w dwóch kolorach – czarnym oraz opalu. Smartfon pracuje pod kontrolą systemu Android 9.1 Pie z autorską nakładką systemową Huawei – EMUI 9.1. **cena: 1399 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 31f09d037d

K jak kłamstwa kagebisty

Dr Hanna Karp, medioznawca

Przez niemal pół wieku życie Polakom upłynęło w orbicie wpływów państwa sowieckiego. Wydaje się, że to już niemal prehistoria. Filmy Stanisława Barei, przypominane stale w każdym politycznym rozdaniu na różnych telewizyjnych kanałach, są tylko zabawnym pastiszem tamtego czasu.

NOWOROCZNY STEK WYZWISK

W rzeczywistości było znacznie straszniej i mroczniej. Gdyby Bareja chciał opowiedzieć historię w odcinkach na poważnie o PRL, mogłoby wyjść coś między grecką tragedią a włoskim neorealizmem. Szkoda, że nie zdążył tego zrobić. Dziś, zanurzeni bez opamiętania w potępieńczych krajowych swarach, zapomnieliśmy, że jednak u wschodniego sąsiada wcale tak wiele się nie zmieniło.

Przypomniał nam o tym boleśnie sam Władimir Putin. Widząc perwersyjny rys sadomasochizmu Polaków, postanowił dorzucić do naszego kotła co nieco. Oskarżając o wywołanie II wojny światowej, mówiąc o swołoczy, łajdakach i antysemickich świniach, chlusnął nam w twarz wiadrem pomyj. I otrzeźwił. A do niedawna wydawało się, że możemy bezkarnie pieklić się we własnym grajdole, zapominając o bożym świecie. Wydawało się, że główny problem rządu to jedynie nawiedzeni obrońcy „OTUI", unijni komisarze, Greta Thunberg i Nobel dla Olgi Tokarczuk. Zapomnieliśmy, że wielu nam się przygląda.

Sama technologia kłamstw i agresji propagandowej Władimira Putina wydaje się sporządzona według zatrutych receptur propagandy goebbelsowskiej, której główną zasadą jest nakaz nieustającego kłamania. Fałsze, i to bezczelne, powtarzane milion razy utrwalą się w końcu jako rzecz oczywista. Pułkownik Putin jako wzorowy kagiebista na pewno dużo wie i rozumie. Życie upłynęło mu na służbie Związkowi Sowieckiemu i obserwacji innych krajów. Pracował na rzecz totalitarnego aparatu wojskowego, był szkolony i uczony, jak demonicznie kłamać, patrząc prosto w oczy.

SZKOŁA PROPAGANDY

A wojskowa propaganda w Sowietach ma bogate doświadczenie i praktykę. Kierował nią Główny Zarząd Propagandy Politycznej Armii Czerwonej. Wydawał gazety i czasopisma centralne i okręgowe. Od początku prym wiodła jednak sowiecka propaganda partyjna. Produkowała nie tylko prasę, lecz także filmy, kierowała radiofonią. Nadzorowała ok. 1 tys. gazet i 200 czasopism o łącznym nakładzie 300 mln egz. Na rzecz propagandy partyjnej uruchomiono ponad 5 mln głośników w sieci przewodowej. W 1940 r. nastąpił w Związku Sowieckim szczególny rozwój sieci kin. Dla 30 tys. sal projekcyjnych kształcono pracowników w 31 szkołach średnich, 8 technicznych i w 3 wyższych instytutach filmowo-fotograficznych. Dziedzina filmu była

eprasa.pl 31f09d037d

traktowana priorytetowo, prowadzona w myśl słów Lenina, że „ze wszystkich rodzajów sztuk najważniejszy jest dla nas film".

Doktryna przynosiła oczekiwane efekty. Propaganda sowiecka zdominowała każdą dziedzinę i sztukę, łącznie z architekturą. I to jeszcze zanim Putin stał się jej mistrzem. Powstawały absurdalne projekty gigantycznych budowli „architektonicznego stalinizmu". Zdewastowane centrum polskiej stolicy pokraczną architektoniczną pieczęcią w postaci budowli imienia Józefa Stalina było niczym w obliczu projektu „Pałacu Rad". Wznoszony w latach 1943–1945, był obliczony na 550 m wysokości, z czego 100 m (ponad 30 pięter) miała stanowić postać Lenina umieszczona na szczycie. W architektonicznej głowie postaci Lenina planowano umieszczenie wielkiego gabinetu Józefa Stalina. Budowla jednak nie powstała. Jej wzniesienie okazało się technicznie niewykonalne. Projekt był owocem swoistej rywalizacji z gigantomanią niemiecką, związaną z wcześniejszymi planami wzniesienia nowej stolicy Europy – Germanii.

SOWIECKA „WOLNOŚĆ" I „DEMOKRACJA"

System komunistyczny stworzony w Moskwie był wprowadzany bezprawnymi dekretami w powojennej Polsce. Przejęcie całej władzy od początku uzależnione był od skuteczności własnej narracji. Budowane kłamstwo potrzebowało bezwzględnego propagandowego wsparcia. Komuniści obawiali się oporu. Stalin wiedział, że Polakom komunizm pasuje jak krowie siodło. Wyłoniony w Lublinie z Krajowej Rady Narodowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) od początku był organem wykonawczym stworzonym dla ziem polskich kształtowanych w nowych granicach, bez Kresów Wschodnich.

„Polski" rząd utworzony w Moskwie 20 lipca 1944 r., na czele z komunistą Edwardem Osóbką-Morawskim, powstawał pod bezpośrednim nadzorem Józefa Stalina. Od zawsze kamieniem węgielnym tej wznoszonej w Polsce sowieckiej budowli było kłamstwo. Powiela je Putin, ale nie przypadkiem sam Stalin czuwał nad głoszącym „wolność" i „demokrację" tekstem „Manifestu PKWN". Tworzonym nie w Chełmie Lubelskim, jak głosiła propaganda, lecz w Moskwie. Jego redakcja zakończyła się na Kremlu 21 lipca wielką fetą i pijaństwem. W celach propagandowych i dla omamienia Polaków radio moskiewskie po raz pierwszy w audycji Związku Patriotów Polskich odczytało w języku polskim tekst manifestu i kłamliwie ogłosiło, że PKWN został wyłoniony 22 lipca w Chełmie. Na koniec audycji zagrano jeszcze „Mazurka Dąbrowskiego".

Sygnatariusze „Manifestu" obiecywali Polakom, a jakże: „powrót do Matki Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego". Wzywano do „walki z Niemcami o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą". Uznano też rząd RP na uchodźstwie za nielegalny, określając Krajową Radę Narodową jako najwyższy organ władzy państwowej, obiecując jednocześnie przywrócenie równości wobec prawa, swobody demokratyczne, przeprowadzenie reform (sic!). W efekcie z sowieckiego nadania władzę „ludową" w tzw. terenie budowały jednostki niemające poparcia Polaków i nieuznane jeszcze przez społeczność międzynarodową.

> Wiemy, że cały PRL był wielkim kłamstwem. Tak jak i wiecznotrwała przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Dlatego kolejne łgarstwa kagebisty nie powinny nas dziwić. On nie umie ani nie może inaczej. Jedno jest pewne: Władimir Putin o nas nie zapomniał

WŁADZY RAZ ZDOBYTEJ NIE ODDAMY NIGDY

PKWN, przekształcony przez Moskwę w Rząd Tymczasowy rozpoczął urzędowanie 1 lutego 1945 r. w Warszawie, nie zmieniając przezornie nawet nazwy państwa polskiego i powołując się na konstytucję marcową z 1921 r. Dopiero w 1952 r. oficjalnie nazwę Rzeczpospolita Polską (RP) zastąpiono Polską Rzeczpospolitą Ludową (PRL).

W czerwcu 1945 r. Władysław Gomułka, jeden z pierwszych wicepremierów w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej, wyznaczony na rozmowy ze Stalinem, dobitnie przedstawił emigracyjnej delegacji stanowisko komunistów i Moskwy. Te frazy przeszły do historii komunizmu w Polsce: „Nie obrażajcie się panowie, ale my wam tylko ofiarowujemy miejsca w Rządzie takie, jakie my sami uznajemy za możliwe. Myśmy bowiem gospodarze [...] Władzy, raz zdobytej, nie oddamy nigdy. [...] Możecie jeszcze krzyczeć, że leje się krew narodu polskiego, że NKWD rządzi Polską, lecz to nie zawróci nas z drogi". Słowa sekretarza Gomułki znów brzmią złowrogo. Choć mamy nową Polskę, nową Europę i nowy 2020 r.

Wiemy, że cały PRL był wielkim kłamstwem. Tak jak i wiecznotrwała przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Dlatego kolejne łgarstwa kagebisty nie powinny nas dziwić. On nie umie ani nie może inaczej. Jedno jest pewne, Władimir Putin o nas nie zapomniał. Choć na święta nie przysłał nam tradycyjnych życzeń: „S Nowym Godam, s Nowym Szczastiem". Ma za dużo problemów własnych, a musi udawać jak zawsze, że wszystko prowadzi do zwycięstwa, tymczasem kraj i gospodarka w rozsypce. Ale właśnie może dlatego nie może znieść spokoju u innych. Zwłaszcza gdy chcą przez cały rok bezczelnie świętować stulecie zwycięstwa nad bolszewią. I jeszcze wznieść pomnik – symbol swojej wiktorii i triumfu. A przecież powinni zapytać, czy im wolno. Jak to było jeszcze nie tak dawno.

eprasa.pl 31f09d037d

Muzeum Książąt Czartoryskich bramą do Krakowa

W odnowionym Muzeum Czartoryskich mamy do czynienia z dwiema przestrzeniami. Jedna to muzeum historii Polski. Druga to po prostu historia sztuki wiodąca przez epoki

Z Andrzejem Betlejem, od 1 stycznia 2016 r. do 2 stycznia 2020 r. dyrektorem Muzeum Narodowego w Krakowie, a od 3 stycznia 2020 r. dyrektorem Zamku Królewskiego na Wawelu, rozmawia Piotr Słabek

Po blisko 10 latach remontu i przebudowy od 19 grudnia 2019 r. Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie jest ponownie otwarte. Co jest wyjątkowego w tej kolekcji, co wyróżnia ją spośród innych zbieranych przez arystokratyczne rody?

Andrzej Betlej: To wynika z historii. W przypadku Czartoryskich mamy do czynienia z kolekcją, która jest autentycznym przełomem. Tu nie chodzi tylko o zamysł stworzenia zbioru pamiątek, artefaktów, bo rody magnackie w XVIII w. kolekcjonowały malarstwo (galerie portretowe) czy tworzyły paradne zbrojownie. Natomiast tutaj mamy do czynienia z ekspozycją, która od samego początku ma charakter programowy, została stworzona w pewnym określonym celu – uratowania chwalebnej przeszłości z nadzieją na przyszłość. Sama Izabela z Flemingów Czartoryska bardzo mocno to podkreślała.

Spotykamy się zatem nie tylko z pierwszą kolekcją, która ma charakter muzealny, lecz ze zbiorem z określonym a priori programem ideowym. To było coś wyjątkowego w stosunku do wcześniej tworzonych kunstkammer czy muzeów osobliwości, jakie funkcjonowały w rezydencjach Radziwiłłów, Jabłonowskich, Potockich. Powstaje coś, co ma swoją własną ideę przewodnią. Przeszłość – przyszłości. Te słowa doskonale łączą się z innym mottem, które znajduje się na pałacu Czapskich, również należącym do Muzeum Narodowego w Krakowie: „Monumentis Patriae naufragio ereptis" –„Zabytkom ojczystym ocalonym z burzy dziejowej".

Czy ten sam program ideowy kontynuował książę Władysław Czartoryski?

Książę Władysław miał nieco inne zainteresowania i uzupełnił kolekcję przede wszystkim o zbiory sztuki, ale bardzo ważnym komponentem, który pojawił się dzięki niemu w zbiorach Czartoryskich, były tak zwane starożytności polskie. Rozbudowując kolekcję, myślał o pewnego rodzaju świadectwie rozwoju cywilizacyjnego Polski. Publikacje, jakie powstały z jego inicjatywy (np. „Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia w dawnej Polsce"), oraz dzieła, jakie gromadził, były podstawą czegoś, co możemy określić mianem instytutu badającego przeszłość.

Wracając jeszcze do pierwszego pytania. Bardzo często na rezydencjach magnackich umieszczano różnego rodzaju wezwania – np. Deo, Sibi, Amicis (Bogu, sobie, przyjaciołom), natomiast w pewnym momencie to zostaje zastąpione jednym słowem, które bardzo mocno charakteryzuje zarówno to, co robiła Izabela Czartoryska, jak i to, co robił Władysław – Posteritati (potomnym), a zarazem Patriae (ojczyźnie). Nie chodzi tu tylko o potomnych z rodu, ale tak naprawdę o cały naród. To jest znacząca różnica.

Czyli możemy powiedzieć, że był to początek tak zwanej polityki historycznej?

W pewien sposób tak. Oczywiście w przypadku kolekcji puławskiej istotną rolę odgrywały też względy sentymentalne, ale pamiętajmy, że pierwszym budynkiem specjalnie wzniesionym dla pomieszczenia zbiorów była świątynia Sybili, którą sam monografista tej kolekcji śp. profesor Zdzisław Żygulski junior określił mianem pierwszego Muzeum Wojska Polskiego. Nacisk na swego rodzaju politykę historyczną był pierwotny, uzupełniony przez to, co było charakterystyczne dla tej epoki, czyli wiek wzruszeń.

Co było kluczem do pozyskiwania eksponatów?

Indywidualne odczucie i poszukiwania Izabeli, ale przy współpracy z Tadeuszem Czackim. Istotną rolę odegrał także generał Michał Sokolnicki. Kluczem było tworzenie kanonu pamiątek narodowych oraz tych związanych ze sławnymi osobami, postaciami historycznymi, bohaterami. Istotne było też wyczucie tego, co jest ważne w historii. Dzieła sztuki,

eprasa.pl 31f09d037d

Dr hab. prof. UJ Andrzej Betlej. Dyrektor Instytutu Historii Sztuki UJ w latach 2012–2015. Członek Komisji Historii Sztuki Polskiej Akademii Umiejętności, Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Od 2015 r. członek Rady Naukowej Instytutu Sztuki PAN. Przewodniczący Rady Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika" oraz wiceprezes zarządu głównego Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Od 3 stycznia 2020 r. dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu

Fot. Anna Stankiewicz

które pojawiły się bardzo szybko w kolekcji, np. obraz Leonarda da Vinci, to zakup nie Izabeli, tylko Adama Jerzego, syna, który ofiarował go matce.

Kolekcja jest przede wszystkim kojarzona z obrazem Leonarda da Vinci, ale może warto pamiętać o eksponatach, które są trochę w cieniu, lecz podkreślają jej polski charakter?

To zależy, jak patrzymy. W odnowionym Muzeum Czartoryskich mamy do czynienia z dwiema przestrzeniami. Jedna to faktyczne muzeum historii Polski. Tam możemy zobaczyć zestaw portretów Jagiellonów, przejść obok szkofi – dekoracji nakrycia głowy Stefana Batorego, wspaniałych militariów czy jednego z najlepszych staropolskich portretów – wizerunku Łukasza Opalińskiego, albo tzw. Tarczy Wróżebnej związanej z Janem III Sobieskim, ale też pierwszych odznaczeń Rzeczypospolitej – Orderu Orła Białego, świętego Stanisława czy pierwszych medali Virtuti Militari. Później mamy pamiątki historyczne, prawdziwe cymelia, czyli dokumenty biblioteki Książąt Czartoryskich: akty unii w Krewie, unii w Horodle.

> Polityka upamiętniania, powoływania i odnawiania muzeów powoduje, że myślenie historyczne przypomina nam, że to, co było, tworzy nas, ale tworzy też to, co będzie

Na drugim piętrze można zobaczyć dzieła, które pozostają w cieniu „Damy". Tuż obok niej wisi skromnie fresk przeniesiony na płótno, łączony z osobą Bernardino Luiniego, najbliższego ucznia Leonarda. Najprawdopodobniej jego autorstwa był obraz Chrystusa sprzedany kilka lat temu na aukcji za niebotyczną kwotę. Innymi słowy, jedno z ciekawszych dzieł nurtu leonardowskiego znajduje się w naszej galerii. Mamy doskonałe rzeczy dotyczące malarstwa niderlandzkiego czy niemieckiego, ale one już stanowią pewnego rodzaju punkty narracji. W przypadku drugiego piętra jest to po prostu historia sztuki wiodąca przez epoki.

Wyjątkiem jest sala polska, która jest klamrą tego, od czego rozpoczyna się program zwiedzania muzeum Czartoryskich. Zaczynamy zwiedzanie od opowieści o rodzinie Czartoryskich, o Puławach, a kończymy triumfalną salą polską. Tam znajdują się pochodzące ze Świątyni Sybilli słynne panoplia – tarcze honorowe upamiętniające najważniejszych wodzów polskich XVII i XVIII w., ale także maska pośmiertna Fryderyka Chopina i obraz Jana Matejki „Polonia zakuwana w okowy"...

Muzealnictwo jest dziedziną, która się rozwija. Wspomniał pan kiedyś o kontemplatywnym sposobie przedstawiania wybitnych dzieł. Jak to praktycznie wygląda? Jakie są najlepsze rozwiązania w sposobie przedstawiania dzieł sztuki?

eprasa.pl 31f09d037d

Fot. TOMASZ MARKOWSKI

De facto pyta pan o dyskusję pomiędzy formułą muzeum narracyjnego i muzeum tradycyjnego. Myślę, że najważniejszym doświadczeniem, jakie daje nam muzeum, jest doświadczenie dotknięcia oryginału. Jest to niezaprzeczalna wartość i żadna z multimedialnych projekcji nie zastąpi tego, czym jest doświadczenie prawdziwego artefaktu. To jest rzecz, która bardzo mocno powraca do łask przy tworzeniu muzeum, po zachłyśnięciu się możliwościami multimedialnymi. Nie oznacza to, że muzea narracyjne z takim przykładem, jak choćby Muzeum Powstania Warszawskiego, nie mają swojej wybitnej i znaczącej roli. Myślę, że tak naprawdę mówimy o dwóch stronach tego samego medalu. Mam nadzieję, że wyjściem z tej dyskusji, co lepsze, jest właśnie Muzeum Książąt Czartoryskich, bo my rzeczywiście tworzymy narrację, ale w oparciu o realne pamiątki. Tam są widoczne ciągi ideowe, poszczególne linie edukacyjne. Multimedia też są obecne, ale nie dominują, są wyłącznie uzupełnieniem tej rzeczywistości, którą tworzą obiekty. Muzeum jest teraz w znacznym stopniu większe i to, że mogliśmy jednocześnie rozgęścić i dołożyć obiekty, pozwala na to, że każdy może przystanąć i komfortowo obejrzeć dzieło, które go właśnie zatrzymuje, z którym nawiązuje kontakt.

W bardzo interesujący sposób przedstawiona jest „Dama z gronostajem", dla której został przeznaczony osobny pokój.

Uważam, że „Dama z gronostajem" jest wyjątkowo eksponowana. Bardzo chciałem, żeby obraz Leonarda był sam, dlatego postanowiliśmy tam nie zawieszać pustej ramy po portrecie Rafaela. Zamiast kontemplacji straty bardzo chciałem, aby odwiedzający skupili się na dziele wyjątkowym, aby dzieło to można było spokojnie kontemplować. Stąd ta kolorystyka, z której obraz jest wydobywany wyłącznie światłem i niejako unosi się w przestrzeni. Zresztą to jest tak wystudiowany, tak delikatny obraz, że pewnego rodzaju sakralizacja tej przestrzeni z tym jednym dziełem temu służy. Portret jest umieszczony w wyjątkowej gablocie i mogę z uśmiechem przyznać, że bardzo się cieszę, że widać refleksy szyb gabloty, nie będę bowiem miał problemu z odwiedzającymi, którzy zwracali uwagę, że obraz nie ma odpowiedniego zabezpieczenia. Kiedy „Dama" była eksponowana w Gmachu Głównym, nie było tygodnia, aby jakiś zatroskany widz nie przychodził do sekretariatu zdenerwowany, nierzadko krzycząc, że obraz Leonarda „nie ma szyby". Teraz ją widać, bo dzieło znajduje się w odpowiedniej gablocie, jest właściwie zabezpieczone.

Rzeczywiście robi wrażenie, trochę kojarzy się ze świątynią.

Tak, ale nie oszukujmy się. Pierwszym skojarzeniem z Muzeum Książąt Czartoryskich jest „Dama z gronostajem". To jest magnes przyciągający do muzeum, natomiast specjalnie ten obraz można zobaczyć dopiero po przejściu całego muzeum. Oczywiście niektórzy mówili, że powinniśmy stworzyć osobną ścieżkę dla widzów, którzy przychodzą tylko w tym celu. Otóż nie, to muzeum jest warte zobaczenia jako całość, ma sens jako całość. Jest to muzeum kolekcji, a nie jednego obrazu.

Ile zyskało muzeum po remoncie? W jaki sposób zostało poszerzone? Na ile jest nową jakością?

To jest w ogóle bardzo ciekawe pytanie, bo wszyscy mówią: „Otwieramy po trwającym 10 lat remoncie". Rzeczywiście okres zamknięcia wynosił 10 lat, a pierwszy remont realizowała Fundacja Książąt Czartoryskich. Ale tak naprawdę ukończył go zarząd, który był złożony z pracowników Muzeum Narodowego w Krakowie, bo Fundacja nie potrafiła doprowadzić tego remontu do końca. Po jego zakończeniu budynek stał pusty przez trzy i pół roku i tak naprawdę niszczał. Muzeum Narodowe przeprowadziło remont w niecałe dwa lata i miał on jedną podstawową wartość. Był robiony z myślą o kolekcji, to nie była tylko sztuka dla sztuki czy realizacja prostego hasła „stwórzmy nowe muzeum". W oparciu o scenariusz przygotowany przez kustoszy Muzeum Narodowego, opiekunów tych zbiorów, przygotowano muzeum specjalnie właśnie dla tej kolekcji.

eprasa.pl 31f09d037d

Oczywiście poszerzenie przestrzeni ekspozycyjnej o nowe sale, w poprzednio nieudostępnionej oficynie, pozwala na więcej. Przykładowo dzięki temu możemy co trzy miesiące otwierać pokazy jednego z najbardziej zasobnych działów Muzeum Książąt Czartoryskich, czyli gabinetu grafiki i rysunku. Obecnie pokazywana jest wystawa rycin i rysunków Jana Piotra Norblina. System zmiennych ekspozycji pozwala na zobaczenie takich dzieł, które właściwie dotąd były wyłącznie dostępne badaczom: historykom czy historykom sztuki. Podobnie – w rytmie wystaw zmiennych – będą prezentowane wyjątkowe obiekty z Biblioteki Książąt Czartoryskich – niedługo widzowie zobaczą na własne oczy akt hołdu pruskiego. Myślę, że to w pewnej sekwencji uświadomi nam to, że zbiory Czartoryskich to również pomniki historyczne.

Po remoncie powierzchnia przestrzeni ekspozycyjnej wzrosła o ponad 30 proc., a wraz z zapleczem (kawiarnia, szatnie, pomieszczenia edukacyjne) zwiększyła się niemal dwukrotnie. Ideą muzeum jest związanie widza z przestrzenią. Charakter kolekcji Muzeum Książąt Czartoryskich sprawia, że nie da się jej zobaczyć w trakcie jednej wizyty. Tu trzeba się zatrzymać, tu trzeba koniecznie wrócić po raz drugi, trzeci, bo zawsze się coś nowego się odkryje, zrozumie, zauważy.

Fot. Łukasz Wojciechowski

Jakie plany na przyszłość?

Niejako w cieniu ukończonego remontu Pałacu Książąt Czartoryskich pozostaje Arsenał. Budynek ten jest obecnie wyremontowany. Muzeum Narodowe odebrało go od inwestora i został przyjęty do użytkowania. Mamy gotowy projekt scenografii, choć aranżacja nie została jeszcze wzniesiona i nie powstały jeszcze m.in. gabloty do ekspozycji sztuki starożytnej na pierwszym piętrze (tam również – w basztach – znajdzie się prezentacja zbioru numizmatycznego i starożytności słowiańskich). Na parterze jest gotowa sala wystaw zmiennych, natomiast nie są wykończone szatnia i przestrzenie magazynowe. Mam nadzieję, że jak najszybciej w 2020 r. pojawi się tam wystawa czasowa, jak również zostanie otwarta galeria sztuki starożytnej. Pozostaje jeszcze tzw. klasztorek, który jest swego rodzaju łącznikiem między pałacem a Arsenałem. Muzeum wobec tego budynku również ma gotowy projekt, który zakłada przywrócenie ekspozycji na pierwszym piętrze. Będą tam pokazywane wspominki sentymentalne i historyczne pamiątki okresu paryskiego. Projekt zakłada odnowienie całego budynku, w którym na parterze będzie się mieścić gabinet rysunku i grafiki, a także zadaszenie wewnętrznego dziedzińczyka. Do ustalenia jest jeszcze mechanizm finansowania tej inwestycji.

Kraków staje się jednym z najbardziej znanych i odwiedzanych miast Europy. W związku z tym i muzea krakowskie stają coraz słynniejsze.

Oczywiście, że tak jest, ale to nie tylko Kraków. Mogę powiedzieć jedną rzecz, która mnie zaskoczyła. Nowoczesne gabloty, które znalazły się w Muzeum Książąt Czartoryskich, zostały przygotowane przez belgijską firmę Meyvaert. Z właścicielem tej firmy spotykaliśmy się kilkakrotnie. W pewnym momencie ten człowiek powiedział; „Nie wiem, czy państwo zdajecie sobie sprawę, że jeśli chodzi o powstawanie nowych muzeów, Polska zajmuje drugie miejsce w Europie, po Wielkiej Brytanii. Jesteście jednym z krajów, które przywiązują największą wagę do muzeów". Wydaje mi się, że to jest wielka wartość. Polityka upamiętniania, powoływania i odnawiania muzeów powoduje, że myślenie historyczne przypomina nam, że to, co było, tworzy nas, ale tworzy też to, co będzie.

Gdyby ktoś wybrał się na spacer po Krakowie, aby zobaczyć to, co Polskę stanowi, od czego pan profesor radziłby zacząć?

Oczywiście od Wzgórza Wawelskiego, nie mówię tu tylko o zamku wawelskim, ale Katedrze Krakowskiej. To jest taka „głowa" Rzeczypospolitej. Potem oczywiście należy zejść i przejść przez Rynek Krakowski i zobaczyć to, co jest w Sukiennicach, w kościele Mariackim. Kolejnym punktem jest Muzeum Książąt Czartoryskich. Ale przyjeżdżając do Krakowa na dworzec, można rozpocząć zwiedzanie w odwrotnej kolejności. Czyli można powiedzieć, że Muzeum Książąt Czartoryskich to taka brama do Krakowa i naszej historii.

eprasa.pl 31f09d037d

Pod ochroną wersalskiego porządku

Apel poległych przed Wielką Synagogą w Warszawie przy placu Tłomackie 7. Przemawia szef Głównego Urzędu Duszpasterskiego Mojżeszowego rabin Baruch Steinberg, 6 czerwca 1933 r. Steinberg został zamordowany przez NKWD 12 kwietnia 1940 r. w Katyniu

Eksterminację Żydów europejskich zaplanowała i przeprowadziła niemiecka III Rzesza. Ale jest jeden kraj, który walnie przyczynił się do możliwości dokonania tej największej zbrodni w historii nowoczesnej Europy

PIOTR GONTARCZYK

Porządek polityczny Europy Środkowo-Wschodniej budowany po I wojnie światowej na podstawie traktatów z Wersalu i Trianon nie był doskonały. Rozpad dawnych imperiów, pojawienie się nowoczesnych nacjonalizmów, liczne zatargi pomiędzy państwami i narodami oraz nakładające się na to wszystko problemy gospodarcze powodowały, że ta część świata pełna była sporów i konfliktów. Jednym z zagadnień, które większość krajów mniej lub bardziej oficjalnie uważała za problem, było istnienie dużych skupisk ludności żydowskiej. Pogląd o konieczności zorganizowania ich emigracji z Europy podzielało także wielu przedstawicieli społeczności żydowskiej, w tym przede wszystkim syjoniści głoszący hasło budowy własnego państwa w Palestynie.

Szczególnie trudna była sytuacja Żydów w Niemczech rządzonych od 1933 r. przez Adolfa Hitlera. Najpierw wprowadzono tu ustawodawstwo rasowe umożliwiające pozbawianie ich obywatelstwa III Rzeszy, ochrony prawnej i własności. Potem rozpoczął się zinstytucjonalizowany rabunek żydowskiego mienia i pogromy. Sytuację w Niemczech można porównać chyba tylko z tym, co od dawna działo się w Związku Sowieckim. Tu dawno już pozbawiono Żydów dobytku, a bolszewickie porządki nikomu nie gwarantowały ani praw obywatelskich, ani ochrony życia. Po rewolucji systematycznie zniszczono żydowskie życie społeczno-polityczne, szkolnictwo i religię, której przejawy (takie chociażby jak obchodzenie świąt żydowskich czy obrzezanie) zeszły do konspiracji. Synagogi i domy modlitwy przerabiano na domy kultury, stajnie albo magazyny. W ramach wojny z religią żydowską w gazetach ukazywały się karykatury Żydów, których nie powstydziłaby się propaganda III Rzeszy.

Prasa żydowska w Polsce pisała, że oficjalnie liberalna sowiecka polityka narodowościowa to propagandowa mistyfikacja. W latach 30. zaczęto też dostrzegać znikanie z przestrzeni publicznej Sowietów komunistów, którzy wcześniej działali w ramach tzw. jewsekcji partii komunistycznej. Nie zdawano sobie wówczas sprawy, że są oni mordowani w ramach czystek. Bardziej widoczni byli czołowi komuniści żydowskiego pochodzenia – jak chociażby Grigorij Zinowjew i Lew Kamieniew – których skazano na śmierć w pokazowych procesach. Krakowska żydowska „Trybuna Narodowa" pisała w 1938 r.,

eprasa.pl 31f09d037d

że sowiecka machina represji zaczęła uderzać po prostu w Żydów: „W jednym kraju jest to obrona przed naruszeniem zasady czystości i rasy, w drugim walka z »żydokomuną« – w Rosji sowieckiej – walka z trockizmem".

Zasadniczo odmiennie niż w Rosji i Niemczech wyglądała sytuacja w pozostałych krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Mimo narastania w latach 30. różnorodnych form dyskryminacji Żydów w zasadzie korzystali oni z pełni praw obywatelskich, a przede wszystkim z ochrony prawnej oraz możliwości nieskrępowanego pielęgnowania religii i kultury. Ich życie i mienie były bezpieczne dzięki pokojowi zbudowanemu na fundamencie traktatu wersalskiego.

MOSKWA I BERLIN: WSPÓLNY CEL

Liczni publicyści, a nawet niektórzy historycy traktują sojusz sowiecko-niemiecki z 1939 r. jako coś zgoła zaskakującego, nienaturalnego. Tymczasem wspólny interes, a raczej cel, był od początku oczywisty: zburzenie ładu europejskiego.

W wyniku Wielkiej Wojny Niemcy straciły znaczne obszary terytorium przede wszystkim na rzecz Polski i Francji, a także zamorskie kolonie. Na skutek ograniczenia liczebności wojska do 100 tys. żołnierzy i zakazu posiadania wielu rodzajów uzbrojenia (w tym samolotów i czołgów) oraz wielu innych restrykcji Niemcy utraciły status mocarstwa.

Rosja (już bolszewicka) za przegraną wojnę i rewolucję zapłaciła utratą zachodnich prowincji, na terenie których powstały Finlandia, Łotwa, Litwa, Estonia i Polska. Poziom cywilizacyjny tych ziem pod wieloma względami przewyższał stan pozostałej części Rosji. Istotny był też aspekt geopolityczny: dawne imperium zostało wypchnięte z naszej części Europy, dodatkowo doświadczając politycznej izolacji i marginalizacji.

I Rosja, i Niemcy kipiały żądzą rewanżu, a kluczowym zadaniem ich polityki stało się przekreślenie ładu wersalskiego. Już w latach 20. rozpoczęła się współpraca polityczna, gospodarcza i wojskowa między Berlinem a Moskwą. Republika Weimarska omijała ograniczenia właśnie w sowieckiej Rosji, testując tam produkowane potajemnie czołgi i broń chemiczną, szkoląc lotników i pancerniaków. Narzędzia i teoria niemieckiego blitzkriegu wykuwały się na poligonach w ZSRS. Kooperacja gospodarcza osłabła jeszcze przed 1933 r., przede wszystkim ze względu na rozluźnienie ograniczeń nałożonych na Niemcy, a współpraca polityczna zamarła po dojściu do władzy Hitlera i NSDAP. Moskwa odpowiedziała wówczas polityką dwutorową: oficjalnie występowała „przeciwko faszyzmowi", nawołując do budowy systemu zbiorowego bezpieczeństwa, potem oferowała nawet zbrojną pomoc Polsce i Czechosłowacji. Te propagandowe chwyty (obficie dziś wykorzystywane przez Moskwę) były dobrze skalkulowane: jeśli propozycje będą odrzucane, Związek Sowiecki wyciągnie z tego polityczne korzyści i będzie miał otwartą drogę do ewentualnego porozumienia z Niemcami. A jeżeli jakiś kraj (chyba tylko w przypływie szaleństwa) zgodziłby się na wkroczenie Armii Czerwonej na swoje terytorium „w obronie przed Niemcami", to skończy się to dla niego tak, jak skończyło się dla Litwy, Łotwy i Estonii w 1940 r.

Oficjalnie głosząc politykę „antyfaszystowską" i gardłując o konieczności zatrzymania Hitlera, Kreml po cichu regularnie składał Berlinowi propozycje. Wspólny rozbiór Polski był wtedy stałym elementem wyobrażeń sowieckich dyplomatów. Co będzie to oznaczało dla polskich Żydów, Moskwy nie interesowało wcale.

SOJUSZ ZBRODNIARZY I MORDERCÓW

W końcu zdecydowany na wojnę Hitler przyjął ofertę współpracy Moskwy, podpisując 23 sierpnia 1939 r. pakt Ribbentrop–Mołotow i tajny protokół dzielący między ZSRS i III Rzeszę Polskę i naszą część Europy. W wyniku zbrojnej agresji Niemiec i ZSRS dokonał się IV rozbiór Rzeczypospolitej, a potem Sowieci zagarnęli Litwę, Łotwę, Estonię i kawałek Rumunii, bezskutecznie jednak próbując zbrojnie podbić Finlandię.

Dziś Moskwa podpisanie paktu z Hitlerem i późniejsze agresje tłumaczy fiaskiem (oczywiście z winy Zachodu) pokojowej polityki ZSRS oraz koniecznością przesunięcia na Zachód swoich granic w celu lepszej pozycji strategicznej w przyszłej wojnie z Niemcami. Istnieją jednak twarde dowody, że w rzeczywistości Kremlowi chodziło o imperialny podbój, rozszerzenie zasięgu władzy komunistycznej oraz zniszczenie pokoju w Europie. Swoje polityczne credo Stalin wyłożył 7 września 1939 r. w rozmowie z szefem Kominternu Georgim Dymitrowem, który główne myśli wodza zapisał w dzienniku: „Nie będzie źle, jeśli rękami Niemców będzie rozchwiana pozycja bogatszych państw kapitalistycznych, a w szczególności Anglii. Hitler, sam tego nie rozumiejąc, podkopuje system kapitalistyczny".

Patrząc przez pryzmat wydarzeń z I wojny światowej, Stalin miał nadzieję, że po upadku Polski Hitler ugrzęźnie w długotrwałym i wyniszczającym konflikcie zbrojnym z Anglią i Francją, a gdy napięcie rewolucyjne dojrzeje, on sam przy pomocy Armii Czerwonej doprowadzi do zwycięstwa komunizmu w Europie.

W latach 1939–1941 trwała bliska współpraca pomiędzy III Rzeszą i Sowietami. Moskwa udzielała politycznego wsparcia podbojom Hitlera, przekazywała mu też znaczące ilości zaopatrzenia. Nie jest przesadą twierdzenie, że niemieckie czołgi wjechały do Paryża na sowieckim paliwie. Związek Sowiecki daleko przekraczał status państwa neutralnego. W 1940 r. niemieckie okręty walczące u wybrzeży Norwegii były zaopatrywane z tajnej niemieckiej bazy wojskowej założonej pod Murmańskiem.

Warto dodać, że na anektowanych ziemiach II RP Sowieci prowadzili brutalne represje także wobec Żydów. Do łagru na Kołymie trafił dowódca polskiego Bejtaru, późniejszy premier Izraela Menachem Begin i wielu jego towarzyszy. Aresztowania obejmowały żydowskich działaczy społecznych i politycznych, przywódców duchowych, przedstawicieli elit finansowych i intelektualnych. W głąb ZSRS wywieziono kilkadziesiąt tysięcy żydowskich uciekinierów z terenów zajętych przez Niemców (to uratowało ich przed Holokaustem, ale przecież nie to było celem ich deportacji). Jednym z symboli ówczesnych sowieckich zbrodni pozostanie mjr Baruch Steinberg, naczelny rabin Wojska

Fot. NAC

eprasa.pl 31f09d037d

Polskiego, który, obok ponad 400 innych polskich oficerów żydowskiego pochodzenia, 12 kwietnia 1940 r. został zamordowany w Katyniu. Nikt chyba dokładnie nie policzył, kto zamordował więcej Żydów do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej: Sowieci czy Niemcy.

PROPAGANDOWA HUCPA

W minionym roku, przed 80. rocznicą podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow, Rosja rozpoczęła propagandową ofensywę próbującą przypisać Polsce współodpowiedzialność za wybuch II wojny światowej. Moskwa przekreślała znaczenie paktu z Hitlerem, argumentując, że inne kraje podpisały takie samo porozumienie wcześniej niż ZSRS, np. Polska w 1934 r. Niektóre rosyjskie media uporczywie wracają do rzekomego tajnego protokołu, jaki miała wtedy podpisać Polska z Niemcami w sprawie wspólnej agresji na Związek Sowiecki i podziału przyszłych łupów na Wschodzie. Jako rzeczywistą przyczynę II wojny kremlowska propaganda wskazuje układ monachijski z 1938 r., na skutek którego dokonano rozbioru Czechosłowacji. Przy okazji przypominana jest Polsce spraw zajęcia w 1939 r. Zaolzia.

W rzeczywistości polsko-niemiecka deklaracja o nieuciekaniu się do przemocy z 26 stycznia 1934 r. miała za zadanie normalizację stosunków Polski z zachodnim sąsiadem i zachowanie pokoju. Pakt niemiecko-sowiecki z 1939 r. miał cel przeciwny: był podziałem łupów pomiędzy dwa zbrodnicze reżimy szykujące się do wojny. A sprawa rzekomego tajnego protokołu do porozumienia polsko-niemieckiego jest oczywista: taki dokument nigdy nie istniał. Na jego genezę pewne światło rzuciły opracowania rosyjskich historyków, które powstały jeszcze przed epoką Władimira Putina. Wynika z nich, że ów „tajny protokół" został sfabrykowany przez sowiecki wywiad („Inostrannyj otdieł" OGPU) i opublikowany w niszowej paryskiej gazecie. Celem tej operacji dezinformacyjnej było zapewne przedstawienie Polski w oczach francuskich władz jako wiarołomnego sojusznika. Józef Stalin miał wtedy (niestety) pełen wgląd w polską politykę wschodnią i dobrze wiedział, że podpisanie przez władze w Warszawie jakiegokolwiek porozumienia z Niemcami przeciwko Rosji było wykluczone. O możliwościach takiego porozumienia może pisać tylko rosyjska propaganda oraz niektórzy publicyści w Polsce (jak choćby w książce „Pakt Ribbentrop-Beck"), którzy udają, że nie widzą, że ich biznes to szkodliwy dla Polski przejaw zwyczajnej głupoty.

W zbliżonych kategoriach braku wyobraźni trzeba traktować zajęcie przez Polskę wiosną 1939 r. Zaolzia. Bez względu na to, że ziemie te Czechosłowacja zdobyła zdradzieckim atakiem 20 lat wcześniej, a potem blisko współpracowała z Sowietami przeciwko Polsce (na naszą i swoją zgubę), udział w rozbiorze południowego sąsiada był poważnym błędem i chwały Polsce nie przynosi. Ale trzeba pamiętać, że sam układ monachijski – mniejsza tu o jego ocenę i efekty – nie miał na celu zniszczenia Czechosłowacji. Był nieudolną próbą ratowania pokoju i zatrzymania ekspansywnej polityki Hitlera. Co to ma wspólnego z dokładnie przeciwnymi celami podpisania układu Ribbentrop–Mołotow?

KTO ODPOWIADA ZA HOLOKAUST?

Nowy etap rosyjskiej propagandy otworzyło niedawno wystąpienie Władimira Putina. Prezydent Rosji oskarżył Polskę o popieranie hitlerowskiego planu eksterminacji Żydów, za który polski ambasador w Berlinie Józef Lipski miał przed wojną obiecywać postawienie Hitlerowi pomnika. Bezcelowe wydaje się rozkładanie na czynniki pierwsze tego rodzaju głupstw, bo wcześniej wypowiedzieli się w tej sprawie wybitni historycy, którzy opisali absurdalność zarzutu antysemityzmu wobec ambasadora Lipskiego, przypomnieli też jego zasługi w pomocy wyrzucanym z Niemiec Żydom (przede wszystkim biograf Lipskiego prof. Marek Kornat w „polityce.pl"). Ponadto kolejna polemika z tymi wynurzeniami Putina oznaczałaby zgodę na debatę w kwestiach stosunków polsko-rosyjskich (Lipski jako „bydlę i antysemicka świnia") językiem żula spod budki z piwem.

Jedna z antyreligijnych karykatur, które ukazywały się w Związku Sowieckim („Bezbożnik" z 3 czerwca 1928 r.) „Przyjaciele w nieszczęściu" za popem odebrana przez władze cerkiew zmieniona na szkołę i za rabinem odebrana Żydom synagoga zmieniona na klub

Ale sprawa ostatnich oskarżeń prezydenta Rosji jeszcze się nie zakończyła. Wspomniany zapowiedział swój artykuł na temat polskiej polityki lat 30., potem ma ważne wystąpienie w Yad Vashem w Jerozolimie, w którym najwyraźniej też chce się zająć polskim antysemityzmem, ambasadorem Lipskim i rzekomą polską współodpowiedzialnością za Holokaust. Ważne jest więc, żeby Polska robiła teraz swoje. Konsekwentnie i kompetentnie głosiła urbi et orbi o wspólnym rozpętaniu przez Stalina i Hitlera II wojny światowej, o wcześniejszym, niemal całkowitym zniszczeniu żydowskiej kultury w ZSRS, o masowych mordach i represjach Żydów pod okupacją sowiecką w latach 1939–1941. To Polska ma obowiązek pokazania światu biografii naczelnego rabina Wojska Polskiego mjr. Barucha Steinberga oraz ponad 400 oficerów WP żydowskiego pochodzenia zamordowanych przez NKWD wiosną 1940 r. w Katyniu i Miednoje. Przede wszystkim jednak musimy przypominać o zbrodniczej naturze Związku Sowieckiego, który wspólnie z III Rzeszą otwierał puszkę Pandory niemieckich zbrodni. Żadne inne suwerenne państwo europejskie nie przyczyniło się w tak ogromnym wymiarze do umożliwienia Hitlerowi wymordowania 6 mln europejskich Żydów.

Autor jest pracownikiem IPN. Artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy

eprasa.pl 31f09d037d

Trump zadaje mocny cios Iranowi

Centralnym frontem konfrontacji USA i Iranu staje się Irak. Teheran chce zmusić Amerykanów do militarnej ucieczki z tego kraju, Waszyngton nie chce, by Irak wpadł w ręce Persów

JAN ROKITA

Zabicie generała Sulejmaniego oraz komendanta al-Muhandisa to niebywale dotkliwy cios, jaki Ameryka zadała Iranowi.

GENERAŁ DUCH

Sulejmani był najbliższym człowiekiem władcy Iranu ajatollaha Chameneiego, od którego otrzymał misję rozszerzania wszelkimi metodami perskich wpływów na Bliskim Wschodzie. I trzeba przyznać, że robił to z powodzeniem. Podlegały mu kilkunastotysięczne „święte oddziały" Strażników Rewolucji, czyli elitarne jednostki natchnionych religijnie komandosów, służące równie dobrze do tłumienia ludowej rewolty w Syrii czy odbijania Kirkuku z rąk Kurdów, jak i organizowania w razie potrzeby ostrzału Izraela bądź zamachów na Amerykanów. Ale Sulejmani to także od lat najpopularniejszy pośród bliskowschodnich (nie tylko perskich) szyitów dowódca wojskowy, nie przypadkiem zwany przez nich „Generałem Duchem", gdyż potrafił zbrojnie wspierać w rozmaitych opresjach szyickie społeczności w Iraku, Syrii, Libanie, Bahrajnie czy Jemenie, zarówno w walce z nienawidzącym szyitów Państwem Islamskim, jak i z innymi prześladowcami bądź lokalnymi konkurentami do władzy. Dlatego zabójstwo Sulejmaniego wywołało – zwłaszcza w samym Iranie – niezliczone zapowiedzi najokrutniejszego odwetu na Amerykanach, ale także falę politycznej histerii. Dość powiedzieć, że dziennikarz państwowej telewizji IRIB, który miał w studiu robić wywiad z rzecznikiem Strażników Rewolucji gen. Ramezanem Szarifem, zamiast wywiadu zaczął na antenie całować mundur bojownika, po czym obaj we wzajemnym uścisku wybuchnęli płaczem. Scena ta dobrze

Fot. East News/Seyed Madyar Shojaeifar/MEI/Polaris

eprasa.pl 31f09d037d

oddaje klimat, jaki zapanował w Iranie w dniach po śmierci Sulejmaniego i w czasie patetycznych uroczystości pogrzebowych.

DOWÓDCA Z BAGDADU

Z kolei al-Muhandis był najważniejszym człowiekiem Sulejmaniego w Iraku. Lata temu organizował ataki na ambasady USA i Francji w Kuwejcie, gdyż państwa te nie popierały wtedy Iranu w jego przewlekłej wojnie z Irakiem. Gdy Amerykanie w 2003 r. uwolnili Irak od tyranii Saddama Husajna, al-Muhandis został w Bagdadzie posłem i doradcą premiera. Zidentyfikowany jako terrorysta salwował się ucieczką do Iranu, ale gdy tylko w Iraku narastał kryzys, powracał do Bagdadu, aby budować tam sieć wpływów perskich. Kiedy Barack Obama wycofał US Army z Iraku, al-Muhandis powrócił, aby objąć dowództwo Sił Mobilizacji Społecznej (PMF), bojówek należących do najbardziej properskiej z trzech szyickich partii irackich. Ale prawdziwy czas al-Muhandisa nastał ostatnio, gdy Irak zaczął się pogrążać w kompletnym chaosie, a trzy główne szyickie ugrupowania, które w 2018 r. wygrały wybory, pozostawały niemal w nieustannym konflikcie. Co więcej, jesienią w Iraku wybuchł bunt społeczny przeciw podwyżkom cen, biedzie i korupcji, z którym wspierany przez Teheran rząd premiera Mahdiego postanowił rozprawić się przy pomocy wojska strzelającego do tłumów ostrą amunicją. Zginęło ponad 400 osób, ale szyickie tłumy zrewoltowane przeciw uległemu wobec Iranu reżimowi dwukrotnie splądrowały i podpaliły perski konsulat w świętym dla szyitów mieście Nadżaf na południu kraju. To był policzek dla Teheranu. Premier Mahdi został zmuszony do dymisji. A bojówki al-Muhandisa wykorzystały kryzys, aby 27 grudnia zaatakować amerykańską bazę wojskową koło Kirkuku. Następnego dnia Amerykanie przeprowadzili atak odwetowy, co z kolei stało się pretekstem do napadu dobrze zorganizowanego tłumu na ambasadę USA w Bagdadzie i jej podpalenia.

W nocy 3 stycznia al-Muhandis odbierał z lotniska w Bagdadzie Sulejmaniego, który przyleciał prawdopodobnie z Syrii. Amerykanie twierdzą (tak mówi m.in. wpływowy senator Marco Rubio), iż Sulejmani i al-Muhandis przygotowywali zamach stanu w Bagdadzie, który miałby zapewnić Persom pełną kontrolę nad krajem. Gdy jednak wyruszyli z lotniska, w samochód uderzył pocisk wystrzelony z amerykańskiego drona na rozkaz Donalda Trumpa.

PERSKA EKSPANSJA

Geneza obecnego ostrego spięcia sięga 2015 r., kiedy za sprawą prezydenta Obamy zawarta została w Wiedniu umowa 6+1+1 (Ameryka, Chiny, Rosja, Francja, Anglia, Niemcy + UE + Iran). Na jej mocy Iran miał pod międzynarodową kontrolą mocno zredukować swoje prace nad budową bomby atomowej, w zamian Zachód zobowiązał się do wprowadzenia moratorium na dotkliwe dla Iranu sankcje gospodarcze. Republikanie w Kongresie USA od początku odrzucali tę umowę, przy czym za szczególnie upokarzające traktowali wypłatę Iranowi kwoty 1,7 mld dol. w gotówce, dla której pretekstem miały być rozliczenia pochodzące jeszcze z czasów... perskiego szacha. Porozumienie okazało się w efekcie niezwykle korzystne dla Iranu. Teheran nie tylko bowiem nie został zmuszony do likwidacji programu atomowego, lecz jedynie do jego istotnego spowolnienia. Ale przede wszystkim szybko wykorzystał zniesienie sankcji i możliwość eksportu ropy, aby wyjść z głębokiego kryzysu, wzmocnić gospodarkę i armię, zaostrzyć represje wewnętrzne, a przede wszystkim otworzyć szerokie pole politycznej i militarnej ekspansji niemal na całym Bliskim Wschodzie.

> Trump zdecydował o przerzucie do Iraku, Kuwejtu i Bahrajnu dodatkowych 4 tys. żołnierzy, w tym spadochroniarzy z elitarnej 82 dywizji powietrznodesantowej

Symbolem i sternikiem tej nowej polityki zagranicznej miał się stać właśnie gen. Sulejmani. W Libanie kontrolowany przez Sulejmaniego Hezbollah faktycznie przejął władzę nad krajem. W Syrii – jego „święte oddziały" wraz z Rosjanami nie tylko uratowały zbrodniczy reżim Asada, ale pozwoliły mu na stłumienie społecznego buntu przeciw tyranii. Co więcej – perscy Strażnicy usadowili się w pobliżu Wzgórz Golan, by móc ostrzeliwać bezpieczną dotychczas izraelską Galileę. W Jemenie wdali się w wojnę domową mającą na celu obalenie władzy sprzymierzonej z dynastią saudyjską. A w Strefie Gazy pomagali nawet sunnickiemu Hamasowi, byle ten mógł prowadzić zbrojne akcje przeciw państwu żydowskiemu. Jednak celem numer jeden Sulejmaniego było pozbawienie Ameryki wpływów w Iraku, tak by ten w większości szyicki kraj przekształcić w faktyczny perski protektorat. Temu służyła taktyka nieustannego podminowywania kryzysami i zamachami ustanowionej tam przez Amerykanów, ale fatalnie funkcjonującej w praktyce demokracji.

Kiedy w reakcji na ten stan rzeczy 8 maja 2018 r. Trump ogłaszał wymówienie wiedeńskiej umowy i powrót do sankcji, okazywał przy tym (jak zwykle) daleko idącą pewność siebie, iż jest tylko kwestią czasu, gdy dociśnięci sankcjami ajatollahowie będą musieli negocjować z Ameryką nowy układ, ale na gorszych dla nich warunkach. „Nie przejmuję się tym, że oni będą mówić, iż nigdy się na to nie zgodzą, sam na ich miejscu też bym tak mówił – stwierdził wtedy prezydent – ale w interesie kraju będą musieli wcześniej czy później zgodzić się na nowy układ". Jednak w ciągu następnych 20 miesięcy nic takiego nie nastąpiło. Iran znów znalazł się pod presją sankcji, a jego początkowe nadzieje, iż chęć trwania Unii Europejskiej – na przekór Trumpowi – przy umowie wiedeńskiej okaże się jakimś ratunkiem, okazały się płonne.

eprasa.pl 31f09d037d

W połowie ub.r. Bloomberg informował, że produkcja ropy w Iranie spadła poniżej tej z 1986 r., tankowce próbujące przewieźć perską ropę do Syrii były zaś aresztowane na morzu przez służby morskie amerykańskich sojuszników (np. przez angielskie okręty podczas próby przepłynięcia Gibraltaru). W ciągu niecałych dwóch lat irański PKB, który dopiero co rósł w tempie 16 proc. rocznie, spadł o 10 proc. Ale do końca 2019 r. nie zmiękczyło to Teheranu na tyle, aby był gotów przystąpić do nowych negocjacji z Ameryką.

US ARMY W IRAKU

Ostre spięcie zostało bez wątpienia przyspieszone przez narastający chaos w Iraku. Trump (nawiasem mówiąc, postępując tu śladami Obamy) kilkakrotnie obiecywał Amerykanom wycofanie swoich żołnierzy z Bliskiego Wschodu. W wizji Trumpa rolę US Army miały zastąpić z jednej strony – sojusznicze wojska tureckie w Syrii, z drugiej – pokój między Żydami i Palestyńczykami osiągnięty za sprawą jakiegoś cudownego planu opracowywanego przez zięcia prezydenta Jareda Kushnera, z trzeciej wreszcie – lojalność Rosjan blokujących dostęp bojowców Sulejmaniego do granic Izraela. Jednak jak dotąd zainteresowanie armii tureckiej ogranicza się do tępienia sprzymierzonych z Ameryką Kurdów, Moskwa gra na nosie Amerykanom, przymykając oko na zbrojne ekscesy ludzi Sulejmaniego, a tajemniczy „plan Kushnera" wygląda na polityczną fikcję. Co więcej, Irak zdobyty przez Busha w 2003 r. wymyka się Amerykanom spod kontroli. Kolejni szyiccy premierzy tego kraju okazywali się albo małymi tyranami, bezmyślnie represjonującymi mniejszość sunnicką, jak premier Maliki, którego „zasługą" były sukcesy terrorystycznego Państwa Islamskiego. Albo coraz wyraźniejszymi marionetkami w ręku Sulejmaniego, jak zdymisjonowany w ostatni dzień grudnia 2019 r. premier Mahdi, topiący we krwi antyirański bunt irackich szyitów.

Wbrew swoim intencjom Trump zmuszony jest więc do powrotu do polityki zwiększania amerykańskiego kontyngentu w samym Iraku, a zwłaszcza w zaprzyjaźnionych z Ameryką Kuwejcie i Bahrajnie (gdzie znajduje się morska baza US Navy). Teraz, gdy kryzys po ataku na ambasadę oraz zabiciu Sulejmana i al-Muhandisa gwałtownie się zaostrzył, Trump zdecydował o przerzucie do tych krajów, w których stacjonuje już 14 tys. żołnierzy USA (w tym 5 tys. w Iraku), dodatkowych 4 tys., w tym spadochroniarzy z elitarnej 82 dywizji powietrznodesantowej, stacjonującej w Północnej Karolinie. Nic dziwnego, bo nikt przecież nie jest w stanie wykluczyć obecnie możliwości wybuchu, ograniczonej zapewne w rozmiarach i krótkotrwałej, ale gwałtownej wojny.

Wciągnięcia USA do jakiegoś konfliktu zbrojnego z Persami chciałby zarówno władający Arabią Saudyjską książę Muhammad ibn Salman, jak i izraelski premier Netanjahu. Saudyjczycy będący w regionie głównym wrogiem Teheranu kompletnie nie radzili sobie dotąd z przeciwdziałaniem rozszerzającym się akcjom bojowców Sulejmaniego, o czym najlepiej świadczy przewlekła, nieudolna i bardzo okrutna interwencja armii saudyjskiej w obronie sojuszniczego reżimu jemeńskiego. Jest coś paradoksalnego w tym, że kraj tak zamożny i wydający jedne z najwyższych na świecie sum na zbrojenia, jest tak nieefektywny w obronie swoich wpływów na Bliskim Wschodzie. Postać Sulejmaniego, za którym postępowała niemal napoleońska legenda zwycięzcy w każdych warunkach, stała się prawdziwą zmorą dynastii saudyjskiej. Z kolei Jerozolima nie od dziś zdawała sobie sprawę, że mieć do czynienia bezpośrednio u swoich granic z Sulejmanim i potęgą perską – to nie to samo, co kłopoty z Hamasem w Gazie i Autonomią Palestyńską w Ramallahu. Jednak ani książę Muhammad, ani premier Netanjahu nie odważyli się na wydanie takiego rozkazu, jak ten, który teraz na Florydzie wydał Trump. Można przypuszczać, że zarówno służby saudyjskie, jak i izraelskie były zdolne przeprowadzić zamach na Sulejmaniego. Jednak Iran jest zbyt silny, aby oba te kraje nie obawiały się jego reakcji. Trump zrobił więc coś, co teraz nie tylko zmusi go do silnego zaangażowania militarnego na Bliskim Wschodzie, ale także pozwoli Żydom i Saudyjczykom „schować" się nieco za Amerykanami, schodząc z pierwszej linii perskiego frontu.

Można było się spodziewać, że jeśli dojdzie do jakichś bezpośrednich aktów wojennych między Ameryką i Iranem – ich terenem z natury rzeczy będzie w pierwszej kolejności Irak. To tu właśnie w odpowiedzi na zabicie Sulejmaniego i al-Muhandisa spadły na amerykańskie bazy irackie rakiety.

Dla Trumpa sytuacja w Iraku obraca się po zamachu bagdadzkim mocno na niekorzyść. O ile bowiem dotąd dwa z trzech głównych ugrupowań szyickich (tzn. zwycięski w ostatnich wyborach Sajrun legendarnego Muktady as-Sadry oraz Fatah Hadiego al-Amiriego) próbowały ograniczać nadmierną interwencję Teheranu w sprawy ich kraju, o tyle śmierć „Generała Ducha" z rąk Amerykanów jest dziś źródłem takiej gorączki i fermentu wśród szyitów, że dość prawdopodobne wydaje się wystąpienie we wspólnym froncie wszystkich skłóconych dotąd ze sobą grup szyickich przeciw Ameryce oraz ich solidarność z akcjami odwetowymi, jakie zapewne podejmą Persowie. Centralnym frontem dla obu stron staje się zatem obecnie Irak. Celem Teheranu będzie zmuszenie Trumpa do militarnej ucieczki z tego kraju i zostawienie go jako faktycznego perskiego protektoratu. Jeśli jednak Ameryka chce nadal grać istotną rolę na Bliskim Wschodzie, będzie musiała obronić jaką taką suwerenność tego kraju i zachować w nim swoją silną obecność wojskową. Natomiast drugim punktem potencjalnie frontowym staje się teraz cieśnina Ormuz, w pobliżu której można się spodziewać perskich ataków na tankowce transportujące ropę ze sprzymierzonych z Ameryką Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej i Emiratów. Iran, który przez sankcje nie jest w stanie sam wywozić tędy własnej ropy, będzie zapewne chciał wziąć łatwy odwet, atakując statki handlowe. Jeśli Trump nadal wierzy w sprawczą potęgę Ameryki (a chyba wierzy), to również tutaj będzie musiał ryzykować nawet wojną, aby zapewnić swobodny przepływ tankowców przez ten morski przesmyk, tak kluczowy dla globalnej gospodarki.

eprasa.pl 31f09d037d

Fot. Denis LOVROVIC/AFP/East News

Już nie pani, a pan prezydent

GORAN ANDRIJANIĆ

Jedna z ulubionych tez chorwackich analityków politycznych głosi, że lewica w Chorwacji może zwyciężyć tylko wtedy, kiedy prawica przechodzi kryzys i wewnętrzne konflikty. W ostatnich dniach teza ta znowu ożyła, kiedy stało się jasne, że przez następne pięć lat Chorwacja będzie miała lewicowo-liberalnego prezydenta

Jak już wiadomo, w drugiej turze wyborów prezydenckich w Chorwacji Zoran Milanović, kandydat liberalno-lewicowego bloku i były szef Socjaldemokratycznej Partii Chorwacji (SDP), pokonał znaczną przewagą głosów dotychczasową prezydent kraju Kolindę Grabar-Kitarović, kandydatkę konserwatywnej Chorwackiej Partii Demokratycznej (HDZ).

Być może teza z nagłówka tekstu nie zawsze jest prawdziwa, jednak w tym przypadku się sprawdziła. Trzeba przyznać, że głównym powodem zwycięstwa Zorana Milanovicia jest podział prawicy w Chorwacji oraz to, że jej główne ugrupowanie polityczne HDZ znajduje się w głębokim kryzysie ideologicznym.

Dla polskich obserwatorów wybór Milanovicia może być zaskoczeniem, jednak dla nas tu, w Chorwacji, porażka Grabar-Kitarović jest dowodem na to, że HDZ już od kilku lat traci zaufanie i wsparcie swoich wyborców.

Przypomnijmy, Milanović był premierem Chorwacji w latach 2011–2016. Nawet ci, którzy go wspierają, przyznają, że była to zła kadencja. Co więcej, w kampanii prezydenckiej nie zaproponował on żadnego nowego programu ani nowej wizji na przyszłość. Mimo to zwyciężył.

Zwycięstwo to nie przynosi o nim nowych informacji, ale bardzo dużo mówi o niezadowoleniu wyborców polityką HDZ, którą dziś kieruje premier Andrej Plenković. Cenę tego niezadowolenia zapłaciła Kolinda Grabar-Kitarović, lecz jednocześnie sama ponosi część winy za ten stan.

Kierowana przez Plenkovicia HDZ w ostatnich paru latach wykonała kilka manewrów, które zbliżyły partię do głównego nurtu polityki europejskiej, a zatem do polityki lewicowej.

Przypomnijmy kilka z nich.

Mimo mocnych sprzeciwów dużej części chorwackiej opinii publicznej partia ratyfikowała kontrowersyjną konwencję stambulską, która w sposób niebezpośredni wprowadza temat ideologii gender do dyskusji publicznej. Do tego partia ta przeciwstawiła się biskupom katolickim, którzy w kwietniu 2018 r. opublikowali dokument sprzeciwiający się konwencji, krytykujący jej założenia oraz wzywający parlamentarzystów do odrzucenia jej ratyfikacji. Politycy ich nie posłuchali, czym weszli

eprasa.pl 31f09d037d

w otwarty konflikt z Kościołem katolickim, może największy w historii tego ugrupowania.

To samo HDZ zrobiła ze światowym paktem w sprawie migracji, który odrzucił np. rząd Prawa i Sprawiedliwości w Polsce, argumentując, że jest to dokument, który nie daje „gwarancji suwerennego prawa do decydowania o tym, kogo państwa przyjmują na swoim terytorium, oraz rozróżnienia migracji legalnej i nielegalnej". Państwo chorwackie znajduje się na terenie, przez który przebiegają szlaki imigracyjne, jednak HDZ również to zignorowała, choć wady tego paktu zaniepokoiły część społeczeństwa.

Podobnie partia zachowała się w przypadku inicjatywy społecznej zbierającej podpisy w sprawie referendum o zmianie systemu wyborczego w kraju. Zdobyto wtedy ponad 400 tys. podpisów, ale większość unieważniono w bardzo wątpliwych okolicznościach, co wywołało wściekłość opinii publicznej.

Jeśli dołożymy do tego, że partia nie zrobiła nic z problemem klientelizmu, który coraz silniej widoczny jest w Chorwacji, i że dla zachowaia władzy w 2016 r. Plenković stworzył koalicję z lewicowo-liberalną Chorwacką Partią Ludową, oddając jej szkolnictwo – obraz staje się pełny.

Andrej Plenković jest byłym dyplomatą z dobrymi znajomościami w siedzibie Unii Europejskiej i Europejskiej Partii Ludowej – dla niego Angela Merkel pojawia się na przedwyborczych zgromadzeniach. HDZ zorganizował niedawno w Zagrzebiu kongres Europejskiej Partii Ludowej, podczas którego na jej szefa został wybrany Donald Tusk.

Jego probrukselska polityka być może ma poparcie lewicowo-liberalnego establishmentu w Chorwacji, ale nie ma poparcia narodu ani prawicowych wyborców. Coraz więcej wskazuje na to, że wyborcy ci tęsknią za polityką, jaką w Polsce prowadzi PiS czy na Węgrzech Fidesz, a nie do polityki europejskiej głównego nurtu. Udowodniły to złe rezultaty HDZ podczas ostatnich wyborów do Parlamentu Europejskiego, a teraz także porażka Grabar-Kitarović.

Zresztą sama pani prezydent potrafiła zdezorientować swoich wyborców w ostatnich miesiącach swojego urzędowania. Nie można jej odmówić, że dzięki swojemu mądremu marketingowi politycznemu zrobiła bardzo dużo, aby Chorwacja stała się znana na świecie, jednak w końcówce swojego mandatu sprawiała wrażnie bardzo zmęczonej. Nie pomogło jej nawet to, że pomimo deklarowania wiary katolickiej kilkakrotnie powtórzyła, że popiera prawo aborcyjne, czy to, kiedy bardzo łagodnie sprzeciwiła się ratyfikacji konwencji stambulskiej.

> Milanović wielokrotnie wypowiadał się przeciwko inicjatywie Trójmorza. Projekt ocenił jako „bezsensowny i błędny". Pytanie brzmi, czy jako nowy prezydent Chorwacji będzie go kontynuował

Głównym problemem jej prezydentury było to, że nie zdystansowała się wystarczająco od polityki Plenkovicia, unikając tym samym silniejszego konfliktu z premierem. Ostatecznie skończyła w politycznym niezdecydowaniu, za które została teraz ukarana. W czasie kampanii próbowała jaśniej podkreślić swoje konserwatywne przekonania, które wcześniej zaniedbała, ale było już za późno.

Jej porażka na pewno wywoła zamieszanie na chorwackiej prawicy, a widać je było już w momencie pojawienia się Miroslava Škory jako kandydata na prezydenta. To w Chorwacji dość popularny piosenkarz, który zaprezentował się jako antysystemowa altetrnatywa nieprawdziwie konserwatywnej HDZ, zdobywając w pierwszej turze wyborów 24,45 proc. głosów. Do wejścia do drugiej tury zabrakło mu jedynie 40 tys. głosów, ale został niezależnym kandydatem, który zdobył w historii chorwackiej demokracji najwięcej głosów. Škoro zebrał zatem polityczny kapitał, który zamierza wykorzystać już w najbliższych wyborach parlamentarnych, które odbędą się w tym roku. Już dziś pisze się o nowej opcji politycznej, która pod jego wodzą zgromadzi siły chcące umocnić suwerenność państwa chorwackiego. Chorwaccy konserwatywni wyborcy szukają nowej siły politycznej, która zadba o ich interesy i politycy z HDZ muszą być tego świadomi.

Mając na uwadze to, że uprawnienia prezydenta nie są zbyt wielkie, wpływ Milanovicia na bieżącą politykę kraju będzie ograniczony. Poza polityką zagraniczną, na której zmianę nowy prezydent może mieć niestety wpływ. Mogłaby na tym ucierpieć np. inicjatywa Trójmorza. Projekt zapoczątkowany przez polskiego prezydenta Andrzeja Dudę i Grabar-Kitarović Milanović już dawno ocenił jako „bezsensowny i błędny".

– On wielokrotnie wypowiadał się przeciwko tej inicjatywie – mówi tygodnikowi „Sieci" chorwacki analityk polityczny Borislav Ristić. – Nie tylko dlatego, że za projektem stała Kolinda Grabar-Kitarović, lecz również z tego powodu, że inicjatywa ta oznaczała uwolnienie się Chorwacji od wpływów bałkańskich. To nie odpowiada wciąż jeszcze wpływowym starym postkomunistycznym strukturom, które biznesowo i finansowo są związane z obszarem byłej Jugosławii – dodaje analityk.

Ristić przypomina, że faktycznie rząd Plenkovicia uwzględnił Trójmorze w programie chorwackiego przewodnictwa Rady Unii Europejskiej, które się niedawno rozpoczęło, ale – dodaje – były premier jest „niemieckim graczem" i pod znakiem zapytania pozostaje, czy rzeczywiście zajmie się projektem.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie wielkich opóźnień w rozpoczęciu pracy terminalu LNG na wyspie Krk oraz w budowie linii kolejowej Rijeka-Budapeszt, będących w sensie infrastrukturalnym bardzo ważnymi projektami, które umożliwiłyby Chorwacji praktyczną realizację inicjatywy Trójmorza i odciągnęły kraj od Bałkanów – kończy analityk.

Tłum. Barbara Andrijanić

eprasa.pl 31f09d037d

Na pomoc Syryjczykom

Syria i Liban to kraje, które dziś stoją nad przepaścią. Ten pierwszy od ponad ośmiu lat jest pustoszony wojną. Liban natomiast musi się mierzyć z katastrofą finansową. Jedną z jej przyczyn jest ogromna liczba syryjskich uchodźców, którzy uciekając przed śmiercią, schronienie znajdują właśnie w sąsiednim Libanie. Do tych miejsc od lat dociera pomoc humanitarna z Polski

Pomocy humanitarnej, i to tej podstawowej, potrzebuje 8 mln Syryjczyków, przy czym ten niewielki kraj na Bliskim Wschodzie zamieszkuje 13 mln osób. Te liczby jak na dłoni pokazują skalę zniszczeń wyrządzonych przez wojnę. Damaszek, stolica Syrii, to dziś miasto kontrastów. W niektórych jego częściach życie z pozoru toczy się normalnie. W innych ślady wojny, zniszczeń po wybuchach czy ostrzałach widać niemal na każdym kroku. Im dalej na północ – tym gorzej. Krajobraz w Hims czy Aleppo, które wielokrotnie stawały się obiektem ataków, trudno opisać słowami. Bezrobocie w niektórych miejscach przekracza 60 proc., a zarobki na przestrzeni lat spadły kilkukrotnie. Wielu Syryjczyków, którym udaje się znaleźć zatrudnienie, pracuje za głodowe stawki.

– Te kraje – Liban, Syria – ta ziemia potrzebuje naszej dobroci przejawiającej się po prostu w tym, że chcemy pokazać, że jesteśmy razem z nimi – mówił metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski, który na początku grudnia odwiedził Syrię i Liban. Po powrocie do Polski ogłosił, że we wszystkich kościołach diecezji w święta Bożego Narodzenia prowadzona będzie zbiórka dla syryjskich sierot.

Do ludzi, których wojna dotknęła w najbardziej okrutny sposób, płynie pomoc z zagranicy, m.in. od organizacji charytatywnych takich jak Caritas czy Fundacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie. W Hims Polska utrzymuje blisko setkę sierot. Pieniądze przeznaczane są również na ośrodek, w którym na co dzień przebywa prawie 400 dzieci.

W Maluli, mieście w środkowo-zachodniej Syrii, w którym w bestialski sposób mordowani byli chrześcijanie, udało się kupić dwa autobusy, które dowożą ludzi do pracy, i dwa ciągniki dla rolników. – To są bardzo konkretne rzeczy, które sprawiają, że oni chcą żyć, a żyjąc, mają nadzieję – mówi abp Marek Jędraszewski.

– Chodzi o to, żeby tych ludzi także aktywizować. Nie tylko dawać rybę, lecz również wędkę – tłumaczy ks. Waldemar Cisło z Fundacji Pomoc Kościołowi w Potrzebie.

ŻYCIE NA GRANICY

Zahle to libańska miejscowość położona zaledwie 20 km od granicy z Syrią. Odwiedzamy rodziny, które uciekły z Damaszku i okolic. Bardzo dobrze pamiętają koszmar wojny. Wszyscy wspominają ją mniej więcej tak samo: spadające bomby, strzały, ciała i ranni na ulicach.

W okolicach granicy libańsko-syryjskiej spędziliśmy ponad tydzień. Wraz z ekipą TVP odwiedzaliśmy miejsca, w których żyją – choć bardziej trafnym określeniem byłoby: egzystują – uchodźcy z Syrii. To m.in. nielegalne obozy, które do złudzenia przypominają tzw. dżunglę z francuskiego Calais. Prowizoryczne konstrukcje obłożone brezentem. Brak bieżącej wody, prądu i przede wszystkim – leków. Gdy tylko weszliśmy na teren obozu, otoczyła nas grupa kilkuletnich dzieci.

– Tylko w tym miejscu mieszka ok. 700 uchodźców z Syrii. Mniej więcej 300 z nich to dzieci – opowiada libańska wolontariuszka reprezentująca chrześcijańską organizację. Takie obozy to przykład, który obala mit, jakoby chrześcijanie pomagali w tej części świata tylko chrześcijanom. – Pomagamy każdemu. Jeśli przychodzi matka z dzieckiem, to nikt jej nie pyta o świadectwo chrztu – tłumaczy ks. Waldemar Cisło. Na czym polega ta pomoc? W takich miejscach to przede wszystkim zaopatrywanie w leki, żywność czy wodę, którą dostarczać trzeba beczkowozami. Wsparcie z Polski to także finansowanie szkół. – Jeśli nie pomożemy tym dzieciom, to one zostaną dziećmi ulicy – mówi ks. Cisło. A dzieci ulicy to najlepszy materiał dla terrorystów. Dzieci, które szybko mogą pójść w ich ślady.

Kilka dni spędzamy w Domu Przyjaźni prowadzonym przez ojca Taalaba. W ośrodku położonym w przepięknej scenerii pomoc dostaje blisko setka młodych ludzi z Syrii i Libanu. Tu mogą liczyć na ciepłe posiłki, odrabiają lekcje, spędzają wolny czas. Na dobrą sprawę są tu wychowywane. – Dziękuję ludziom z Polski, którzy wiedzą, jak ciężko żyć podczas wojny z tymi wszystkimi trudnościami. Chrześcijanie pomagają nam to przezwyciężyć – mówi dyrektor ośrodka.

Przed jednym z budynków placówki spotykamy grupę chłopców, którzy grają w piłkę. Betonowe boisko z prowizorycznymi bramkami i radość, gdy dowiadują się, że przyjechaliśmy z Polski. – Robert Lewandowski! – to pierwsza osoba, której nazwisko wykrzykują. Ich idol. Uśmiechy znikają z twarzy, gdy pytam, dlaczego wylądowali w tym miejscu. Dla części z tych młodych ludzi przyczyną jest wojna. – Nie chcę tego wspominać, bo na samą myśl się boję – mówi 15-letnia Cedra. Do 18. roku życia chce zostać w ośrodku z Libanie, a później... wrócić do Syrii. Ma nadzieję, że wtedy będzie tam już bezpiecznie.

Każde miejsce, w którym żyją syryjscy imigranci, to problemy związane z biedą. Z przedstawicielami Pomocy Kościołowi w Potrzebie odwiedzamy szkołę, do której trafiają plecaki z Polski. Wokół niewielkiego placu ustawione są kontenery i namioty. To klasy, w których prowadzone są zajęcia. Tak samo wygląda pomieszczenie, w którym utworzono pokój nauczycielski i siedziba dyrekcji.

W Zahle, także dzięki pieniądzom płynącym z Polski, udało się uruchomić stołówkę dla syryjskich uchodźców. W ciągu dnia korzysta z niej kilkaset osób. – Sami nie jesteśmy w stanie zapewnić sobie ciepłego posiłku. To dla nas bardzo ważne – opowiada nam ze łzami w oczach kobieta w średnim wieku. Stołówka działa dwutorowo: większość posiłków wydawana jest na miejscu, ale bez pomocy nie zostają również ci, którzy z różnych przyczyn nie mogą do niej dojechać. – Głównym problemem są zwykle względy zdrowotne. Mamy kierowców, którzy busami dowożą ciepłe posiłki do potrzebujących – tłumaczy wolontariuszka odpowiedzialna za funkcjonowanie jadłodajni.

Tylko w ubiegłym roku Polska w ramach programu Pomoc Kościołowi w Potrzebie, przekazała ok. 7 mln zł na wsparcie Syryjczyków i syryjskich uchodźców w Libanie. Te środki pochodzą ze zbiórek prowadzonych przez Kościół oraz z polskiego budżetu. Większość tej kwoty wydawana jest na leczenie. Jeśli wziąć pod uwagę ten cel, Polska w porównaniu z innymi krajami zaangażowanymi w akcję Pomoc Kościołowi w Potrzebie jest liderem.

NA SKRAJU KATASTROFY

Jednym z miejsc w Libanie, w których stykają się z sobą dwie tragedie: skutki wojny w Syrii i ekonomicznego kryzysu w Libanie, jest szpital prowadzony przez Kościół grecko-melchicki. Codziennie leczeni są tu ci, którzy uciekli przed wojną, ale dalsze funkcjonowanie szpitala stoi pod znakiem zapytania. Po terenie placówki oprowadza nas Sana Samia, która jest dyrektorem operacyjnym. Z zapełnionych szpitalnych sal i korytarzy windą trafiamy na piętro, na którym panuje zupełna cisza. Gdy pytam Sanę, dlaczego ta część lecznicy jest wyłączona z użytku, najpierw dostaję krótką, choć bardzo konkretną odpowiedź: – Nie mamy pieniędzy. Z rozmowy szybko wynika, że to efekt ciągnącej się finansowej zapaści w Libanie. – Organizacje medyczne i paramedyczne nie są w stanie transferować pieniędzy zza granicy. Wkrótce będziemy musieli szukać leków i innych produktów medycznych. To jest teraz nasz największy problem – tłumaczy Sana.

Ostrożne szacunki wskazują, że ok. 1,5 mln Syryjczyków przed wojną uciekło do sąsiedniego Libanu, który od wielu tygodni ogarniają masowe protesty. Ludzie buntują się przeciwko kolejnym podatkom, bo bez wątpienia coraz bardziej doskwiera im bieda. Brakuje prądu, dzieci nie chodzą do szkoły, bo nauczyciele nie dostają pensji. Pytani o przyczyny zapaści Libańczycy bez wahania wskazują gigantyczną korupcję na niemal wszystkich szczeblach administracji, ale wiedzą, że to niejedyny powód finansowej katastrofy. W ich kraju, przez lata, osiedliło się ok. 2,5 mln imigrantów. Głównie z Palestyny i Syrii. Takiego oblężenia ich gospodarka nie mogła wytrzymać.

Marcin Tulicki
Autor jest dziennikarzem TVP

eprasa.pl 31f09d037d

Klimatyczne bajki

W obliczu coraz silniejszej i nie do końca usprawiedliwionej presji klimatyczno-energetycznej nie mamy innego wyjścia – musimy tworzyć duże, silne podmioty gospodarcze, które mogą udźwignąć transformację energetyczną

JANUSZ SZEWCZAK

Jak się oni wszyscy martwią o Ziemię, o zwierzęta, o świat, a nawet o Polskę. Kandydatka PO na prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska zamartwia się, że „przez PiS już wkrótce nie zobaczymy zieleni i nawet słońca", pisarka Manuela Gretkowska zaś zapewnia, że „zadusimy świat węglem, ale PiS wygra ze światem i apokalipsą". Choć dziś najwyraźniej mamy raczej prawdziwą apokalipsę rozumu i histeryczne klimatyczne bajanie. Noblistka Olga Tokarczuk już dziś martwi się o akcyzę na mięso, i to za 50 lat. Jest przekonana, że „siłą Polski jest literatura, a nie węgiel". Tyle tylko, że blisko 70 proc. Polaków nie czyta żadnej książki w ciągu roku, a i literatura zeszła dziś na psy i bardzo daleko jej do Sienkiewicza czy Reymonta. Domy w zimie trzeba jednak czymś ogrzać.

Były premier Donald Tusk też się martwi. O brexit, o liberalizm, o kraj nad Wisłą, choć jest przekonany, że „ulica i zagranica" to korzyść dla Polski, a prezydent Macron to nowa nadzieja dla Europy, choć chce znów karać Polskę odbieraniem funduszy, które nawet jeszcze nie istnieją. Powiem równie „szczerze" jak Tusk: Eureka, noblistka z literatury Olga Tokarczuk wreszcie dostrzegła, że coś jest ze światem nie tak. Szkoda tylko, że oboje nie wgłębili się w tego zjawiska przyczyny i sami nie uderzyli się we własne piersi, bo to, że świat jest dziś w ideowym zamęcie i na etyczno-moralnym zakręcie, wiadomo nie od dziś. A liberalizm, weganizm, kosmopolityzm, antynatalizm, genderyzm, ale i ekologizm, globalizm, neomarksizm, antychrześcijanizm, poprawność polityczna czy bliżej nieokreślone wartości europejskie mają w tym szaleństwie i kakofonii informacyjnej swój znaczący udział.

Podobnie bardzo zatroskani wydają się dziś liczni liberalni spece od wyprzedaży majątku narodowego za bezcen, z czasów poprzednich rządów: UW, KLD, SLD, PSL i PO, którzy straszliwie ubolewają nad wzmocnieniem pozycji naszych aktywów narodowych, w tym spółek skarbu państwa. A zwłaszcza fuzją Orlenu z Lotosem, chęcią zakupu przez Orlen Energi, jak i współpracą naszego petrochemicznego giganta z polską firmą PESA nad ogniwami wodorowymi i napędem wodorowym do lokomotyw i pojazdów szynowych. Usilnie próbują tym przedsięwzięciom przeszkodzić zarówno w Polsce, jak i za granicą.

Byli spece od zielonej wyspy chcą zablokować wzrost znaczenia polskich firm na rynku europejskim czy uczynienia np. z PKN Orlen SA firmy multienergetycznej, która nie chce stać w miejscu, ale chce tworzyć nową wartość, ma nowe wizje rozwojowe, chce wprowadzać w życie nowe inwestycje, technologie i instalacje. I to te niskoemisyjne, energooszczędne, tym bardziej że strategia firmy przewiduje rozwój bez górnictwa i atomu. A przecież jest całkiem sensowne i pożądane przez UE, że Orlen pracuje nad OZE, blokami gazowymi, a nawet rozwiązaniami wodorowymi. Chcemy się wybijać na suwerenność gospodarczą i energetyczną, unikając gi-

eprasa.pl 31f09d037d

gantycznych kosztów tzw. dekarbonizacji, i niektórzy w Polsce zaczynają to całkiem udanie realizować. Tym razem nie chodzi głównie o wspieranie polskiego budżetu. To wyraz nowej koncepcji rozwojowej i przyszłościowy patriotyzm gospodarczy, bo na świecie w wielkim biznesie i równie wielkich zyskach liczą się ci duzi, a nie ci mali.

Niestety postępują koncentracja i monopolizacja, kwitną protekcjonizm i wojny celno-handlowe, narasta wyścig po zyski, wpływy i nowoczesność, o opanowanie łańcucha dostaw. Słusznie na te zagrożenia zwraca uwagę polski rząd, a zwłaszcza wicepremier Jacek Sasin – nowy minister aktywów państwowych. Skutecznie eliminuje się konkurencję i nie jest do końca prawdą, że w razie wybuchu kryzysu finansowego przetrwają tylko ci mali, tzw. mrówki. To przecież takie firmy jak nasze rodowe srebra, w tym właśnie PKN Orlen, PGNiG, PKO BP, Pekao SA, KGHM, PZU SA, napędzają całą naszą gospodarkę, ale też coraz bardziej efektywnie współpracują z polskimi firmami z sektora MŚP, osiągając przy tym rekordowe zyski.

W obliczu coraz silniejszej i nie do końca usprawiedliwionej presji klimatyczno-energetycznej ze strony ONZ, UE, KE i różnego rodzaju wpływowych lobby finansowych nie mamy innego wyjścia – musimy tworzyć duże, silne podmioty gospodarcze, które mogą udźwignąć transformację energetyczną, by nie stracić konkurencyjności i zbyt wielu miejsc pracy, a jednocześnie uchronić MŚP i gospodarstwa domowe od rosnących i nadmiernych kosztów energii elektrycznej, a jednocześnie pozwolić utrzymać wysoki wzrost gospodarczy i rosnący eksport, który już wynosi 220–230 mld euro. Tym bardziej więc ostatni szczyt klimatyczny UE w Brukseli to wręcz spektakularny sukces Polski i premiera Mateusza Morawieckiego, który zażądał konkretów i wyliczeń, i okazało się, że tzw. neutralność klimatyczna i energetyczna to w dużej mierze nowa ideologia, nowa religia niewierzących, a nie konkretny, dobrze zbilansowany biznesplan. Na dziś Unia realnie dysponuje bowiem jedynie kwotą 5 mld euro, i to na 50 regionów, co wystarczy na przysłowiowe waciki. Obiecane 100 mld euro ma dopiero być w ramach tzw. inżynierii finansowej i lewarów bankowych z EBI. Jak na razie bogate kraje strefy euro nie chcą się składać na te biedniejsze i na dorobku, choć dysponujące własnym węglem. Europie potrzeba na ten „nowy zielony ład" rocznie 250 mld euro, a sama Polska musiałaby na ten cel przeznaczyć astronomiczną kwotę 400–500 mld euro.

Tymczasem w niemieckim Wolfsburgu w fabryce Volkswagena co 60 sekund zjeżdża nowe auto, w którym to Niemcy przez lata skutecznie fałszowali emisję spalin i CO_2. Tuż obok w miejscowości Hambach, w największej kopalni węgla brunatnego w Europie, trwa nieustanne wydobycie. To dopiero jest prawdziwy ślad węglowy i tu przede wszystkim kłania się dekarbonizacja, tym bardziej że prawdziwi truciciele – USA, Chiny, Japonia (buduje 20 nowych elektrowni węglowych), Indie, Indonezja, Ukraina czy RPA – nie chcą nawet słuchać o dekarbonizacji czy tzw. ociepleniu klimatu. Jak twierdzą niemieccy przemysłowcy, coraz bardziej przerażeni ową polityką klimatyczną, Europa chce na własne życzenie i z powodu pomruków eko-Pippi ze Szwecji popełnić przemysłowe i gospodarcze seppuku.

A co też warto zauważyć – przy okazji osłabić konkurencyjność nowych członków Unii, w tym zwłaszcza Polski, która zaczyna wielkim deptać po piętach. To przecież w ramach tzw. prywatyzacji i globalizacji kraje starej i bogatej UE przeniosły w znacznej mierze do Europy Środkowo-Wschodniej, w tym do Polski, „brudne przemysły" i skutecznie zatruwają nam środowisko i nam każą za to płacić. Za ciężkie pieniądze zmuszają nas do zakupu zezwoleń na emisję CO_2, czyli zielonych certyfikatów, którymi na dodatek na potęgę się spekuluje na rynkach finansowych.

Żeby wygrywać bitwy, a tym bardziej wojny, trzeba mieć armaty i pieniądze, partyzantka na światowych rynkach właśnie się skończyła, podobnie jak szumnie zapowiadana unijna solidarność i „dobroczynna" globalizacja. Każdy myśli o sobie i Polska powinna również o tym pamiętać, czego dała dowód podczas ubiegłorocznego szczytu w Brukseli. Ciepła woda w kranie nikomu już nie wystarcza, bo jak to „odkrywczo" stwierdziła polska noblistka: „Kto nie jest w ofensywie, ten jest w defensywie".

Kto nie wierzy w Boga, może uwierzyć we wszystko, w dowolne bajki z mchu i paproci, w to np., że gdy przestaniemy jeść mięso, to uchronimy świat przed zagładą. To chyba jednak nie tyle ze światem jest coś nie tak, ile raczej z umysłami i sumieniami niektórych ludzi. Nie wszystkich jednak da się ogłupić.

Fot. Shutterstock

REKLAMA

8/0120/F

eprasa.pl 31f09d037d

Wśród arabskich piasków

Przypomnijmy, że aż do 2007 r. wymyślony przez Thierry'ego Sabine'a 30 lat wcześniej rajd odbywał się na terenie Europy i Afryki, przeważnie na trasie z metą w stolicy Senegalu, czyli właśnie w Dakarze. Wszystko zmienił rok 2008, kiedy całą imprezę odwołano z powodu zagrożenia terrorystycznego na terenie Mauretanii. Po tym zdarzeniu organizatorzy stwierdzili, że na takie sytuacje pozwolić sobie nie mogą i choć tradycyjna nazwa wyścigu pozostała, to on sam przeniósł się do Ameryki Południowej. Ale tam również pojawiły się problemy: przed rokiem Dakar rozgrywano jedynie na terenie Peru, bo nie porozumiano się z innymi państwami. Tym samym rajd w znacznym stopniu stracił swój pustynny charakter, który był przez dekady jego wizytówką. Jak powszechnie wiadomo, arabscy szejkowie nie lubią oszczędzać, więc przyciągnęli organizatorów do Arabii Saudyjskiej swoją hojnością. To typowa sytuacja

eprasa.pl 31f09d037d

Po raz pierwszy w historii legendarny rajd Dakar zawitał do Azji. 42. edycja najtrudniejszych zawodów świata jest w całości organizowana w Arabii Saudyjskiej, dzięki czemu kierowcy mogą zetknąć się z zupełnie nowymi wyzwaniami w porównaniu z edycjami południowoamerykańskimi czy afrykańskimi. Apetyty na najwyższe laury mają rzecz jasna również Polacy, w tym wyjątkowo silna reprezentacja ORLEN Team – to już 20. występ zespołu wspieranego przez paliwowego giganta

win-win: z jednej strony Dakar w końcu zyskuje promocję, na jaką niewątpliwie zasługuje, z drugiej państwa Półwyspu Arabskiego mają w ofercie kolejną wielką imprezę sportową. Oczywiście organizacja imprezy w Arabii Saudyjskiej, o której można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest modelowym przykładem państwa przestrzegającego praw człowieka, wzbudza kontrowersje. Przyjmując, że szklanka jest do połowy pełna, Dakar jest w jakiejś mierze szansą na otwarcie się tego państwa na Zachód.

Na pewno warunki do cross-country są tam wymarzone: trasa liczy 7,5 tys. km, z czego dwie trzecie stanowią odcinki specjalne. 75 proc. rajdu odbywa się pośród wydm na piaskach, z kolei w początkowych fazach jeżdżono w kamienistych górach. 12-etapowy wyścig rozpoczął się dla ponad 300 załóg 5 stycznia na wschodzie Arabii, w Dżeddzie. Przerwę w połowie rajdu ekipy spędziły w stolicy kraju Rijadzie, a meta zaplanowana jest na 17 stycznia w Al Quiddija. Tak wymagający rajd wymusza na konstruktorach specjalne wzmacnianie swoich pojazdów, a niekiedy budowanie ich specjalnie z myślą o Dakarze. Zawodnicy rywalizują w pięciu klasach: motocykle, quady, samochody, ciężarówki, pojazdy SSV. Maksymalna pojemność motocykli to 450cc, a od lat faworytami są zawodnicy jeżdżący marką KTM. Klasa quadów wydzielona jest od 2009 r. i w tym czasie wszyscy triumfatorzy rajdu jeździli pojazdami Yamahy. Samochody muszą ważyć mniej niż 3,5 t. Najwięcej triumfów w historii w tej klasie odnieśli kierowcy prowadzący mitsubishi, natomiast w ostatnich latach liczą się przede wszystkim mini, peugeot i toyota. Klasa ciężarówek obejmuje wszystkie pojazdy ważące powyżej 3,5 t. Najlepiej wiedzie się Rosjanom jadącym w swoich rodzimych kamazach, choć nie bez sukcesów są także załogi iveco czy MAZ. Najświeższą kategorią są terenowe pojazdy użytkowe UTV, które podobnie jak quady stały się domeną kierowców z Ameryki Południowej. Odległości, temperatura, nawierzchnia – to tradycyjne przeciwności, którym musi stawić czoła każdy uczestnik Dakaru. Zawodnik musi długimi miesiącami przygotowywać się do przekroczenia granic własnego organizmu: zarówno na siłowni, jak i dostosowując swój rytm życiowy do krótkich okresów odpoczynku i długich godzin wielkiego wysiłku. Ale nie tylko zawodnicy będą musieli poradzić sobie z ekstremalnymi warunkami – podobnie całe ekipy muszą być wytrenowane jak zawodowi atleci, aby w każdych warunkach móc zadbać o maszyny swoich kierowców.

„Jedziemy na Dakar w mocnym składzie i będziemy walczyli o podium. Oczywiście są to bardzo trudne i długie zawody, ale taki mamy cel" – ***Kuba Przygoński***

„Byłem lekko zaskoczony nawierzchnią, ponieważ piasek i trasy są inne niż te, które znałem do tej pory. Cieszymy się, że możemy tu być i zdobywać nowe doświadczenia" – ***Martin Prokop***

Sam Thierry Sabine kolosalnych zmian w rozwoju swojego ukochanego dziecka nie dożył, bo zginął w wypadku helikoptera w Mali podczas Dakaru w 1986 r. Zresztą realne niebezpieczeństwo jest wpisane w specyfikę rajdu. Wg różnych szacunków podczas niego życie straciło 70 osób, w tym niemal 30 uczestników. Jednym z nich był Polak Michał Hernik. Kilkanaście kilometrów przed metą trzeciego etapu Dakaru 2015 zatrzymał się, aby odpocząć, i zasnął na

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 3/0120/F

palącym argentyńskim słońcu. Był to jego debiut w tym wycieńczającym rajdzie, prezent, który zafundował sobie na 40. urodziny. Więcej szczęścia miał syn „Żelaznej Damy", Mark Thatcher, który startując w 1982 r., wraz z pilotem i mechanikiem, zaginął na pustyni i czekał na odnalezienie przez sześć dni. Zresztą, rajd niejednokrotnie był krytykowany nie tylko za tworzenie warunków zagrażających zdrowiu i życiu, ale również za rzekome wcielanie w życie idei neokolonializmu i bycie swego rodzaju zabawą bogatych białych ludzi kosztem rdzennej ludności państw Trzeciego Świata. To wszystko nie wpłynęło na popularność Dakaru: od lat jest uwielbiany przez fanów sportów motorowych, a dla samych uczestników jest czymś w rodzaju Świętego Graala, uzależniającym od adrenaliny ukoronowaniem kariery. Miejscem, gdzie można i należy pokonać wszelkie swoje ograniczenia, co stara się zrobić w tym roku 15 Polaków.

„Dla wszystkich startujących jest to nowy teren, więc myślę, że zawody będą bardzo ciężkie, a rywalizacja wyrównana przez wszystkie 12 dni"
– *Adam Tomiczek*

Jak każda szanująca się impreza sportowa, Dakar ma swoje niekwestionowane legendy. Do takowych bez wątpienia należy Stephane Peterhansel, który startuje w rajdzie od 1988 r. Sześciokrotnie triumfował na motocyklu, siedem razy stawał na najwyższym stopniu podium w klasie samochodów – ostatni raz w 2017 r. Tym razem jedzie w mini. Największym faworytem w klasie samochodów pozostaje Katarczyk Nasser Al-Attiyah, który zwyciężył zeszłoroczną edycję, dając równocześnie pierwszy w historii triumf Toyocie. Był to dla szejka trzeci triumf z trzecim różnym konstruktorem, a sam kierowca jest jednocześnie zapalonym strzelcem sportowym i w tym roku czeka go występ na igrzyskach olimpijskich w Tokio w konkurencji strzelania do rzutków – co warte podkreślenia, będą to jego siódme z rzędu igrzyska. W Dakarze liczą się jeszcze klasowi rajdowcy z Hiszpanii – Carlos Sainz, niegdyś triumfator rajdowych mistrzostw świata, Nani Roma, startujący w Dakarze od 1996 r. i dwa razy stający na najwyższym stopniu podium, wzbudzający wielkie emocje debiutant Fernando Alonso, który do terenówki przesiadł się z bolidu Formuły 1, w której dwukrotnie zostawał najlepszym kierowcą świata. Co ciekawe, jego pilotem jest Marc Coma, który wygrywał Dakar pięciokrotnie w klasie motocykli. W czołówce kategorii samochodów powinni nieźle zamieszać reprezentanci ORLEN Team. Jakub Przygoński pojechał po raz pierwszy w parze z Niemcem Timo Gottschalkiem, który jako pilot Al-Attiyaha wygrał Dakar w 2011 r. Dla Kuby tegoroczny start to szansa na poprawę świetnego wyniku z zeszłego roku, kiedy znalazł się na czwartym miejscu. Teraz z pewnością podium jest w jego zasięgu – a może raczej było, bo fatalny pech na pierwszym etapie i konieczność wymiany skrzyni biegów kosztowała Polaka sześć godzin straty do lidera. Ciekawie może być w przypadku drugiego samochodowego reprezentanta ORLEN Team, Czecha Martina Prokopa, który zajmował w poprzednich edycjach lokaty odpowiednio szóstą i siódmą. Co warte wspomnienia, udział Prokopa i Gottschalka w ORLEN Team to pokłosie nowej strategii wizerunkowej polskiego paliwowego giganta, który ujednolica swój wizerunek na zagranicznych stacjach Star i Benzina w Czechach, Słowacji i Niemczech.

„Celem numer jeden jest dla mnie, jak zawsze, dojechanie do mety tak długiego rajdu. Chciałbym też poprawić swój najlepszy wynik"
– *Maciej Giemza*

Wśród motocyklistów do miana faworytów zaliczamy przede wszystkim triumfatorów ze stajni KTM z poprzednich lat: Australijczyka Toby'ego Price'a, Austriaka Matthiasa Walknera i Brytyjczyka Sama Sunderlanda, którzy

ORLEN Team

JAKUB PRZYGOŃSKI
Klasa: samochody
Numer startowy: 303
Pilot: Timo Gottschalk (Niemcy)
Samochód: Mini John Cooper Works Rally X-Raid
Wiek: 34 lata
Dakar: 10 startów – 6 w klasie motocykli (6. miejsce w 2014 r.), 4 w klasie samochodów (4. miejsce w 2019 r.)
Najlepsze wyniki: 2. miejsce w Pucharze Świata Rajdów Terenowych Baja FIA 2019, 1. miejsce w Pucharze Świata Rajdów Terenowych FIA 2018
Cel: Największa dakarowa nadzieja na spektakularny wynik – poprawą względem wcześniejszych startów jest jedynie miejsce na podium. Trudny początek każe niestety te oczekiwania lekko obniżyć. Ale i tak liczymy na pasjonującą rywalizację z Al-Attiyahem, Peterhanselem i hiszpańskimi kierowcami.

MARTIN PROKOP
Klasa: samochody
Numer startowy: 306
Pilot: Viktor Chytka (Czechy)
Samochód: Ford Raptor RS Cross Country MP-Sports
Wiek: 37 lat

eprasa.pl 31f09d037d

w rajdzie Dakar 2020

Dakar: 4 starty (6. miejsce w 2019 r.)
Najlepsze wyniki: 2. miejsce w Pucharze Świata Rajdów Terenowych FIA 2018, Rajdowy Mistrz Świata Juniorów 2009
Cel: Niebagatelne doświadczenie Czecha w rajdach, nie tylko tych cross-country, z pewnością może zaprezentować powtórzeniem świetnego wyniku sprzed roku, a przy szczęśliwym splocie okoliczności walką o podium.

ADAM TOMICZEK

Klasa: motocykle
Numer startowy: 30
Motocykl: Husqvarna FR 450 RR Orlen Team
Wiek: 25 lat
Dakar: 2 występy (16. miejsce w 2019 r.)
Najlepsze wyniki: 1. miejsce w Hungarian Baja 2019, 1. miejsce w Baja Poland 2018
Cel: Świetny występ przed rokiem, gdy Adam wracał na Dakar po ciężkiej kontuzji uda, pozwalał z nadzieją patrzeć w przyszłość. Miejsce w pierwszej dziesiątce było w zasięgu cieszynianina. Niestety, kontuzja odniesiona na 3. etapie rajdu przekreśliła szanse Adama, który musiał wycofać się z wyścigu.

MACIEJ GIEMZA

Klasa: motocykle
Numer startowy: 35
Motocykl: Husqvarna FR 450 RR Orlen Team

Wiek: 24 lata
Dakar: 2 występy (24. miejsce w 2018 r.)
Najlepsze wyniki: 3. miejsce w Hungarian Baja 2019, dwukrotny zwycięzca Pucharu Świata Rajdów Terenowych Juniorów FIA 2017 i 2018
Cel: Przed rokiem pochodzący spod Kielc zawodnik pechowo Dakaru nie ukończył, więc teraz jest to plan minimum. Miejsce w drugiej dziesiątce będzie bardzo dobrym wynikiem.

KAMIL WIŚNIEWSKI

Klasa: quady
Numer startowy: 257
Quad: Yamaha Raptor 700 Orlen Team
Wiek: 37 lat
Dakar: 3 występy (6. miejsce w 2019 r.)
Najlepsze wyniki: 1. miejsce w Pucharze Świata Baja 2013 i 2014, 3. miejsce w Rajdzie Maroko 2019
Cel: Przed rokiem osiągnął znakomite szóste miejsce, więc teraz Kamil chce co najmniej powtórzyć swój wyczyn. Ale możliwości są większe – miejsce w pierwszej piątce jest w zasięgu.

„Przed nami niezbadane trasy, zupełnie inne od tych w Ameryce Południowej. Tegoroczny Dakar będzie prawdziwym maratonem, dłuższym od poprzedniego o ponad 3 tys. km" – *Kamil Wiśniewski*

w 2019 r. zajęli wszystkie miejsca na podium. Dominację austriackiego konstruktora, nieprzerwaną od niemal dwóch dekad, chcą z pewnością przerwać japońskie Yamaha czy Honda, ale na straconej pozycji nie stoi także szwedzka Husqvarna. A to właśnie na motocyklach tej marki jeżdżą na Dakarze reprezentujący ORLEN Team Polacy: Maciej Giemza i Adam Tomiczek. Ten drugi przed rokiem zajął 16. pozycję i ostrzył sobie apetyt na więcej, ale kontuzja pleców wyeliminowała go z rajdu. Wśród Polaków z innych ekip wielkie szanse na triumf w klasie quadów ma Rafał Sonik, który smak dakarowego zwycięstwa poznał w 2015 r., a teraz zaczął z wysokiego „C". Zresztą utytułowany weteran bardzo chwalił decyzję o przeniesieniu rajdu do Arabii Saudyjskiej, która oferuje podobne warunki terenowe jak Afryka. W ORLEN Team występuje jeżdżący na quadzie Yamaha Kamil Wiśniewski, który przed rokiem zajął wysoką szóstą pozycję. O palmę pierwszeństwa jak zwykle walczą kierowcy z Ameryki Południowej z Chilijczykiem Ignaciem Casale na czele. Z kolei wśród ciężarówek niezmiennie faworytem są załogi rosyjskich kamazów – w zwycięstwo celuje po raz czwarty z rzędu Edward Nikolajew, a szyki chce mu pokrzyżować Dmitrij Sotnikow. Polaków na Dakarze spoza kręgu ORLEN Team możemy spotkać w klasie quadów UTV, gdzie rywalizuje drużyna ojców (Maciej Domżała, Rafał Marton) i synów (Aron Domżała, Maciej Marton), ale także ciężarówek (ekipa Roberta Szustkowskiego i Jarosława Kazberuka, członkowie zagranicznych ekip Darek Rodewald i Szymon Gospodarczyk), quadów (Arkadiusz Lindner, Paweł Otwinowski) i motocykli (Krzysztof Jarmuż). Wszystkim reprezentantom Polski i ORLEN Team życzymy jak najmniej pustynnego piachu w trybach i jak najszybszych przejazdów!

Michał Muzyczuk

eprasa.pl 31f09d037d

ROBERT EL GENDY | DZIENNIKARZ SPORTOWY

Dobry kompas

Urodziłem się w Olsztynie, ale można to uznać za zbieg okoliczności. Moi rodzice poznali się w Moskwie. Mama jest rodowitą Polką, tata – rodowitym Egipcjaninem. Na dobrą sprawę mogłem się pojawić na świecie wszędzie, ale cieszę się, że urodziłem się w Olsztynie i w naszym kraju, bo to duży przywilej i szczęście, biorąc pod uwagę, że Egipt jest jednak trochę w innej sytuacji. Warunki rozwoju dla młodego chłopaka nie są tam takie jak tutaj, zwłaszcza jeśli chodzi o dostęp do edukacji. Ale i tak serce mam trochę rozdarte.

W trakcie mojej kariery zawodowej podróżowałem po całym świecie. Zauważyłem, że tam, gdzie jest cieplej, rzeczywiście czuję się lepiej. Wynika to zapewne z moich arabskich korzeni.

Z wykształcenia jestem ekonomistą o kierunku handel zagraniczny, więc można powiedzieć, że od początku „byłem skazany" na podróże. Nigdy ich nie odmawiałem, wręcz przeciwnie, chętnie zgłaszałem się do wyjazdów służbowych. Trafiałem w miejsca, które – jak sądzę – są ciekawe dla wszystkich.

Ameryka Południowa, w której byłem przynajmniej czterokrotnie, za każdym razem mnie zachwycała. Ludzie są tam otwarci, uśmiechnięci. Myślę, że duży wpływ na ich nastawienie do życia ma słońce, którego u nas brakuje. Zwłaszcza w porach jesienno-zimowo-wiosennych. Tam ludzie cały rok są radośni, chociaż ich sytuacja materialna często jest fatalna. Byłem w fawelach w Rio de Janeiro, widziałem biedę i ludzi, którzy nie przejmując się swoim statusem, szukali szczęścia. I to jest to, co chciałbym przenieść do nas. Na takich wyjazdach ładowałem pozytywnym nastawieniem akumulatory i starałem się zawsze widzieć szklankę do połowy pełną, a nie pustą.

Spośród wielu miejsc, które odwiedziłem, zapamiętałem szczególnie dwa. Pierwsze to Chiny – ogromny kraj, a w nim pełno ludzi dużo niższych ode mnie. Chcieli sobie ciągle robić ze mną zdjęcia. To było zaskakujące, bo nie jestem gwiazdą muzyki pop, jak Michael Jackson, ani sportu, jak Michael Jordan, a jednak w Chinach inna karnacja, inne rysy twarzy powodowały, że razem z moimi kolegami przykuwaliśmy uwagę. W końcu zaczęliśmy szukać bocznych uliczek, żeby poruszać się bez wzbudzania zainteresowania.

Drugie miejsce to Peru. Tu z kolei było bardzo mało ludzi, a jeżeli już jakichś spotykaliśmy, to byli – takie miałem wrażenie – bardzo uduchowieni. I to było piękne, bo ja szukam w człowieku prawdy i tam gdzie jest, widać ją na odległość. Peruwiańczycy ją w sobie mieli.

Zaskoczyła mnie też aura, bo w ciągu dnia było bardzo gorąco, temperatura sięgała nawet 40 stopni, a w nocy zdarzyło się, że zeszła do zera i obudziliśmy się chorzy. Mimo wszystko, to przepiękny kraj, który warto dla siebie odkryć, choć nie sądzę, żeby Peruwiańczycy wszystko chcieli nam pokazać.

Zawsze marzyłem, aby zobaczyć Japonię, i do tej pory do niej nie dotarłem, ale może w czasie letnich igrzysk się uda. Myślę też o Nowej Zelandii – kraju, który znam z filmów. Zwłaszcza „Avatar" pięknie pokazał fragment tamtejszej majestatycznej zieleni. To mnie ciągnie jak magnes, ale na nic się nie nastawiam, nie naciskam. Wierzę, że jestem prowadzony i idę w kierunku, który Bóg mi wyznacza. To dobry kompas.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Waldemar Kompała

SŁODKO-SŁONY

Sama słodycz

ANNA MONICKA

Mikołaj się w tym roku postarał i przytaszczył dla mnie ważącą kilka kilogramów księgę poświęconą tylko i wyłącznie... wetom. Tak nazywano to, co podawano w czasie uczty w dawnej Polsce na końcu: słodkie placki z białej mąki, strucle, bakalie, kandyzowane owoce, leguminy. Desery były tak modne i popularne, że napisana w czasach sarmackich przez Stanisława Czernieckiego, kucharza rodziny Lubomirskich, pierwsza nasza książka kucharska składa się w jednej trzeciej ze słodkości: andrutów, słodkich naleśników, makaroników – pisze we wstępie „Wykwintnych deserów polskich" Jan Łoziński. Chociaż słodkie i kaloryczne, były to dania postne, rekompensowano więc sobie nimi niedogodności związane z licznymi zakazami jedzenia mięsa. Z czasem jednak ciasta w domach zaczęto piec raczej na specjalne okazje, od święta, bo równie smaczne słodkości można było kupić. W Warszawie u Wedla, najpierw na Miodowej, potem Szpitalnej, gdzie powstał słynny Staroświecki Sklep z pralinami, karmelkami, marcepanami. Z warszawską słodką fabryką konkurowała krakowska firma Adama Piaseckiego, który ściągnął majstra cukierniczego aż ze Szwajcarii.

W 1869 r. zadebiutował cukiernik Antoni Blikle – mistrz od ciast, tortów i pączków, które rozsławiły jego nazwisko na całą Polskę. Dołączyli do niego Lardelli, Semadeni, Pomianowski. W cukierniach przedwojennej Warszawy kwitło życie kulturalne i artystyczne.

W książce znajdziemy przepisy na wykwintne desery przygotowane przez najlepszych polskich cukierników. Wyglądają jak barwne klejnoty. Większość trudno byłoby zrobić w domu. Ale z piernikami Aleksandry Sowy-Trzebińskiej czy ze słynnym kogutem kazimierskim, na którego przepis podaje Iga Sarzyńska, mogłabym powalczyć. Przywiozłam sobie takiego plecionego ptaszka w dzieciństwie z Kazimierza, gdy koguty piekł jeszcze jej tata Cezary. Choć pachniał wspaniale, szkoda mi było go zjeść, więc wisiał na ścianie w kuchni. Był przedmiotem uwielbienia, a wszystkie dzieciaki próbowały go podskubywać. Wreszcie rozleciał się ze starości i został rodzinną legendą.

„Wykwintne desery polskie", Jan Łoziński, Wydawnictwo Bosz

WILCZYM OKIEM

Bezoar

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Od najdawniejszych czasów ludzie spożywali lub stosowali w celach leczniczych (a także magicznych) rozmaite, czasem bardzo dziwne substancje. Im substancja była trudniej dostępna, im dziwniejsza, a nawet im bardziej odrażająca, tym bardziej ją ceniono i jej pożądano. Jednym z interesujących przykładów jest bezoar.

Według starych słowników bezoar (słowo z arabskiego i perskiego) to „używane dawniej lekarstwo, któremu i dziś jeszcze na Wschodzie przypisują moc leczniczą. Są to kule dochodzące wielkości jaja kurzego, a znajdujące się nieraz w żołądku kóz, dziko w Azji żyjących [...]".

Według współczesnej encyklopedii biologicznej bezoar, inaczej strutka, to „resztki niestrawionego pokarmu i sierści odkładające się w żołądku kozy bezoarowej. Dawniej sądzono, że bezoar ma właściwości przeciwdziałające truciznom".

Bezoar jest więc zbitkiem niestrawionych resztek – często włókien roślinnych – i włosów zlizywanych przez zwierzę podczas pielęgnowania sierści, jaki tworzy się niekiedy w przewodzie pokarmowym zwierząt, m.in. właśnie kóz, ale także kotów czy ludzi. I takie właśnie intrygująco wonne kule nie tylko noszono w formie amuletu, niekiedy jako biżuterię w kosztownej oprawie, lecz także spożywano – jako antidotum na trucizny, lekarstwo na melancholię oraz, posługując się dawniejszym słownictwem, jako prezerwatywę przeciw zarazom.

Bezoary, stosowane początkowo przez lekarzy arabskich, po odkryciu nowej drogi do Indii rozpropagowali w Europie lekarze portugalscy: Garcia de Orta, Amato Lusitano (który był przez pewien czas lekarzem Zygmunta Starego) i Cristóbal Acosta.

Bezoarem najwyższej jakości, najbardziej cenionym w dawnych czasach, był pachnący piżmem bezoar pochodzący z żołądków kóz bezoarowych. Choć dawne bezoary, przechowywane w muzeach w formie kłębków włosów lub – zależnie od swojego składu – zeszlifowane jak półszlachetne kamienie, budzą zainteresowanie już tylko jako ciekawostka i nikt już ich nie pożąda, wciąż żyją zwierzęta, od których szlachetny bezoar pochodził. Populacje długorogich kóz bezoarowych *Capra aegagrus*, uważanych za przodków kozy domowej, żyją wciąż dziko na pustynnych, wyżynnych i górskich obszarach Azji od Turcji po Pakistan. Podgatunek *C. a. cretica* występuje na Krecie.

eprasa.pl 31f09d037d

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Jak długo jeszcze?

Wyobcowanie z polskości przybierało w naszej historii różne formy, ale zawsze miało jeden cel

www.wojciechreszczynski.pl

W polityce państwa kierującego się interesem narodowym, a jednocześnie respektującego przyjęte na siebie zobowiązania międzynarodowe (bycie polskim patriotą w niczym nie przeszkadza w poczuciu i świadomości bycia Europejczykiem) najtrudniejszym zadaniem jest dotarcie do społeczeństwa z jednolitym, spójnym przekazem informacyjnym, szczególnie natury polityczno-historycznej. W Polsce proces ten jest niezwykle utrudniony ze względu na dominację mediów zagranicznych wspartych mediami o komunistycznym rodowodzie. W mediach tych funkcje wykonawcze sprawują polscy obywatele. Ich „transformacja" do Polski wolnej i suwerennej jest o tyle trudna, jeżeli w ogóle możliwa, ze względu na akceptowany przez nich przez lata wasalny charakter państwa i własną w nim sprzedajną służbę. Choć już powyrzucali ze swoich życiorysów zasługi na rzecz PZPR (wielka w tym rola Wikipedii dającej swobodę redagowania własnych pozytywnych biografii), wpisując w ich miejsce dokonania na rzecz „demokratycznych przemian" w III RP, nie potrafią się zdobyć na żadną krytyczną refleksję. Uwierającą ich polskość wolą z siebie wyrzucić na rzecz czegoś, co będzie nowym alibi, ale do tego potrzebne jest działanie w większej zorganizowanej siłowej grupie, jak wtedy, kiedy było się po drugiej stronie nienawidzącego ich narodu.

Weźmy Leszka Balcerowicza aktywnie zwalczającego obecną władzę, dumnego ze swoich politycznych i ekonomicznych dokonań, wspieranego przez podobne do niego grono miernot, jak choćby przez krzykliwego cwaniaczka w czerwonych portkach, żerującego co roku na dzieciach pod pretekstem działalności charytatywnej. Z tego niemoralnego biznesu zrobił dla swojej rodziny źródło lukratywnego dochodu. W poczuciu wspólnoty złodziejskich interesów domaga się dla Balcerowicza Nagrody Nobla.

Prof. Witold Kieżun, który opisał ruinę gospodarczą Polski, do jakiej doprowadził Leszek Balcerowicz (594 przedsiębiorstwa sprzedane za bezcen, potworne bezrobocie, dominacja kapitału zagranicznego w gospodarce, przekręty walutowe dzięki sztywnemu kursowi dolara oraz ślepe realizowanie pomysłów międzynarodowego spekulanta George'a Sorosa), wyraził pogląd, że Balcerowicz miał wyjątkowe szczęście, że nie dostał za swoje „osiągnięcia" 10 lat więzienia. Ale spróbujcie cokolwiek zarzuć Balcerowiczowi. Oburzenie w mediach gwarantowane, gdyż ten „komunistyczny reformator" nie robił tego tylko dla siebie. Ponad 62 proc. wspomnianych przedsiębiorstw trafiło w ręce partyjnej nomenklatury.

Wyobcowanie z polskości przybierało w naszej historii różne formy, ale zawsze miało jeden cel. Kosztem Polski przysłużyć się obcym interesom, oczywiście nie za darmo, i mieć niepodległość Polski głęboko gdzieś...

By nie cofać się za daleko, wróćmy tylko do 1905 r., kiedy dokonał się zasadniczy podział w Polskiej Partii Socjalistycznej. Józef Piłsudski, zwolennik czynnej walki o niepodległość, miał przeciwko sobie endecję Romana Dmowskiego, a wewnątrz partii frakcję międzynarodową, późniejszą PPS-Lewicę, związaną potem z SDKPiL, z czego wkrótce powstała partia komunistyczna. Większość socjalistów stanowili działacze żydowskiego pochodzenia, obcy polskiej tradycji i kulturze, tym bardziej walki czynnej o wolność, zakochani w marksizmie. W 1919 r. działają na rzecz przyłączenia Śląska i Pomorza do Niemiec, a w 1920 r. byli socjalistyczni towarzysze partyjni Józefa Piłsudskiego czekają niecierpliwie na wejście braci bolszewików do Warszawy.

Dziś w odpowiedzi na irański atak rakietowy na amerykańskie bazy wojskowe w Iraku byli komuniści, opozycja, czyli Platforma Obywatelska oraz Konfederacja, a więc „współcześni endecy", domagają się wycofania polskich żołnierzy z Iraku. Wbrew sojuszniczym zobowiązaniom NATO, wbrew Amerykanom, których bazy powstają w Polsce, zwiększając jak nigdy dotąd bezpieczeństwo kraju, wbrew oczywistym polskim interesom narodowym.

Balcerowicz może się czuć bezkarny. Karalne czyny, jakich się dopuścił na początku tzw. transformacji systemu, dawno uległy przedawnieniu, ale jego obecne kłamstwa o stałym zadłużaniu Polski przez PiS i katastrofalnie złym budżecie nie powinny pozostawać bezkarne. Podobnie jeśli chodzi o tzw. trzecią osobę w państwie, czyli o marszałka Senatu prof. Tomasza Grodzkiego. Łamie Konstytucję RP i szkodzi Polsce w Europie. Z Senatu uczynił opozycyjny ośrodek władzy politycznej z własną polityką zagraniczną. I robi to osoba, która jako lekarz jest oskarżana o pospolite, prymitywne łapownictwo.

eprasa.pl 31f09d037d

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Perseweratorzy

Witold Gadowski

Nudzę się i jest to nuda przyprawiająca o narastanie agresji. Źródłem tych przeżyć staje się nasze tzw. życie publiczne. Spoglądam na celebrytę i dokładnie wiem, co powie na każdy temat, który stanie się przyczyną medialnej „rozmowy". Spoglądam na polityka i potrafię dokładnie przewidzieć cały tok jego wypowiedzi i powlekającej ją wątłej nici myślenia. Jeśli tego dnia zasiadają naprzeciw siebie dowolne postaci z rządu i opozycji, to można dokładnie napisać treść padających namiastek argumentów. Nie ma w tym żadnej rozmowy, żadnej osobistej politury, która mogłaby uczynić wystąpienie odrobinę własnym i przez to interesującym. Nie ma znaczenia to, czy publicznie mówi literat(ka), aktor(ka), szansonista(tka) – wszyscy klepią ten sam brewiarz ułożony przez monotonnych kucharzy polskiej polityki. Ba, występuje pan prezydent, a ja często bawię się w dośpiewywanie mu jeszcze niewypowiedzianych zdań i sformułowań. Nie muszę dodawać, że nie jestem mile widziany na publicznych zgromadzeniach.

Polacy sprawiają wrażenie, jakby popadli w zbiorową hipnozę i jak za panią matką powtarzają siermiężne „bon moty" koryfeuszy swoich środowisk. A więc młodzież bredzi o „zagrożeniu klimatycznym" i potrzebie wyzbycia się mięsożerności, nauczyciele na pamięć wytłamszają w sobie argumenty z agitatorskich rubryk „Gazety Wyborczej", co bardziej leniwi czekają, aż im te odgrzewane sałatki podadzą z mikrofalówki TVN. Nikt się nie zerwie z łańcucha, nikt nie beknie po swojemu, a jak nawet czasem – o wspaniały cudzie – tak się zdarzy, to autor natychmiast ląduje z mediami wolnej i niepodległej IV RP. Porzygać się można.

Czy każdy, kto cokolwiek czyta i tym samym pobudza w sobie gruczoł myślenia, jest odganiany od mediów elektrycznym pastuchem?

Czasem mam nawet takie szalone wyobrażenia: siadam naprzeciwko znanej buźki i bluzgam mu Gogolem, albo – co lepsze – paplam Toporem. Widzę rozszerzające się źrenice, nabiegające krwią policzki i intensywną pracę ślinianek w poszukiwaniu odpowiedniej recepty na sflekowanie niespodziewanego interlokutora. Oj gdybym posiadł zdolność bilokacji i naraz mógł przenikać do tych studiów, i mógł sztychować zwykłą logiką (niezależną od kibolskich obyczajów stad, które te studia zaludniają), ale byłaby zabawa...

Królewskie nauki w służbie przyszłości

Lech Makowiecki

Wielokrotnie pisałem o znaczeniu znajomości historii w prognozowaniu zagrożeń. Ludzie nie zmieniają się aż tak bardzo, modyfikacji ulegają jedynie (mówiąc wojskowym żargonem) „środki rażenia siły żywej przeciwnika". Tymczasem nauczanie najważniejszego w szkole przedmiotu pozostawia wiele do życzenia. Większości uczniów historia kojarzy się zwykle z nudnym wkuwanie dat. Wielu nauczycieli nie potrafi zaszczepić młodzieży tej pasji, bez której trudno sięgnąć po opasłe, lecz gwarantujące rzetelną wiedzę tomy profesorów Andrzeja Nowaka czy Sławomira Cenckiewicza. W PRL brutalnie zakłamywano polską przeszłość (zwłaszcza tę najnowszą). Fałszowaniu historii sprzyjają też bieżące rozgrywki polityczne (vide: „polskie obozy koncentracyjne", „polski antysemityzm", „ustawa 447" etc.). W tym procederze ogromną rolę odgrywa popkultura. I tylko atrakcyjna, medialna riposta może to zmienić! Już same biografie polskich monarchów mają ogromny potencjał poznawczy. Większość z nas kojarzy jeszcze Mieszka I, Łokietka, Kazimierza Wielkiego, Jagiełłę czy Sobieskiego. Tymczasem każdy z polskich władców (mądry czy głupi, dobry albo okrutny, waleczny bądź tchórzliwy) pozostawił po sobie jakąś przydatną dla potomnych naukę. Przygotowując wierszowany poczet książąt i królów polskich, wybrałem z okresu ich panowania najważniejsze informacje, starając się dowcipnie spuentować kolejne rządy praktycznymi wnioskami. Np. Leszek Biały: „Czystość jest bardzo ważna, lecz by żyć lat wiele/ Zawsze trzeba przestrzegać BHP kąpieli...". Konrad Mazowiecki: „Na przykładzie Krzyżaków pojmie nawet cielę:/ Wróg twego wroga nie jest twoim przyjacielem!". August II Mocny: „Nie może zagranica królów nam wybierać!/ Wolny wybór – rzecz święta. Także tu i teraz...".

PS „Królewskie nauki w służbie przyszłości" – zrealizowane dzięki stypendium MKiDN – udostępniam na stronie fundacji www.fmm.org.pl. Gorąco polecam je wszystkim, zwłaszcza nauczycielom historii!

eprasa.pl 31f09d037d

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Bezprawdzie

Aleksander Nalaskowski

Jeśli ktoś miał wątpliwości, że inicjatywa Jana Pietrzaka, aby uczcić zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej AD 1920 specjalnym łukiem triumfalnym, jest słuszna, to po ostatnich wyskokach Wowki Putina chyba tych wątpliwości już nie ma. W gruncie rzeczy idzie o to samo, o pamięć faktów historycznych, o ich ustawiczne przypominanie. Pomniki to nie tylko wyrazy wdzięczności czy podkreślenie wielkości upamiętnionych, lecz także zapalnik edukacyjny. Pomnik Jana III Sobieskiego uruchamia opowieść o zwycięstwie pod Wiedniem i zatrzymaniu islamu przed dalszym marszem na Europę. Takoż pomnik grunwaldzki w Krakowie o zwycięstwie Jagiełły nad Krzyżakami. I tę rolę może odgrywać pomnik Bitwy Warszawskiej. Może Japończycy, Niemcy, Amerykanie, Koreańczycy, Szwedzi, Rosjanie i kto tam jeszcze odwiedza Warszawę dowiedzą się o tym, jak Ruscy dostali tu łupnia i z podwiniętym ogonem się wycofali, jak odechciało im się komunizmu w całej Europie. I wtedy można by też opowiedzieć, jak to w 1939 r. rozpoczęli okupację sporej części Polski, sycąc się zemstą za rok 1920. A stąd już blisko do paktu Ribbentrop–Mołotow, a prościej Hitler–Stalin. Nóż w plecy to ulubiony styl walki Sowietów. A teraz oficer KGB chce światu mówić, że nie był to żaden nóż, tylko szpileczka zastrzyku „bratniej pomocy". I nie w plecy, tylko w opasły brzuch „polskich panów". Bo tak w ogóle to przecież wszyscy wiedzą, że nikt inny tylko Franek Dolas wywołał II wojnę światową.

Kłamstwo jest immanentnym składnikiem rosyjskiej kultury politycznej. Bez niego Rosja by nie istniała. Czy to w imperialnym, czy to w sowieckim, czy wreszcie w putinowskim wcieleniu. Rosja „twórczo" wcieliła i rozlała na kawał Europy i świata komunizm. Ustrój zbudowany na kłamstwie, produkujący i reprodukujący kłamstwa, ustrój, który systemowo i ochoczo z kłamstwa korzysta. Rosji kłamstwo jest potrzebne tak samo jak imperator, jak wóda czy machorka. Tam ludzie wciąż czczą bolszewicką rewoltę i chcą wierzyć, że stracenie rodziny carskiej było z wyroku historii, wbrew faktom ciągle wierzą w boskość batiuszki Józefa Wissarionowicza i chcą być na jego temat okłamywani, nie chcą widzieć realnego świata i wolą go sfałszować bimbrem, nie chcą wierzyć w prawo i uczciwość, bo wolą dawać łapówy, a dzisiaj spijają z ust Putina jego wersję historii.

Ćwierć wieku prowadziłem szkołę. W tym czasie mieliśmy trzy propozycje wymiany uczniowskiej z Rosji (Petersburg, Królewiec, Moskwa). Za każdym razem „delegacja rozpoznawcza" rzekomych nauczycieli bawiła u nas kilka dni, na nasz koszt, obiecywała cuda, wyłudzała pieniądze i na tym kończyła się wymiana. Trzy razy, przez trzy różne „szkoły", zostaliśmy oszukani. Dlatego mogę spokojnie powiedzieć, że nie lubię Rosjan. Mam z nimi złe doświadczenia. I zapewne wielu, jeśli nie większość, mnie zrozumie. Skądinąd gdybym to samo powiedział o Żydach, to natychmiast stałbym się piewcą Holokaustu, genetycznym antysemitą i potencjalnym zbrodniarzem. Na „tem oćcinku" mamy bowiem jeszcze gorzej...

Oczywiście nie mam wątpliwości, że są uczciwi i normalni Rosjanie. Nawet jeśli ich nie spotkałem. Docierają jednak do mnie informacje o tych najbardziej znaczących, wybieranych w wolnych wyborach. A tu obywatele Rosji wciąż zdają się wybierać kłamstwo i postaci je reprezentujące. Jestem przekonany, że miliony spośród nich uwierzyły w nową putinowską historię. Że nie chcą przyjmować do wiadomości układów Stalina z Hitlerem, że mają pretensje, że nie jesteśmy im wdzięczni za „wyzwolenie" (z wyjątkiem różnych Czarzastych i innych Fałszastych), odwracają głowy, gdy słyszą, jak owo wyzwalanie Polski wyglądało, gdy słuchają opowieści o dziczy, która wszystko, łącznie z niewiastami, traktowała jako zdobycz.

Przez prawie pół wieku mieliśmy do czynienia z kłamstwem katyńskim. Demoralizowało nas, bo musieliśmy udawać, że nie wiemy tego, co wiemy. Od dekady mamy do czynienia z kłamstwem o „pancernej brzozie", kłamstwem nieoddania wraku (pod pretekstem prowadzonego śledztwa), kłamstwem nieoddanych czarnych skrzynek, których obecna autentyczność jest już mocno wątpliwa, z kłamstwem niewinności rosyjskich kontrolerów lotu.

Kraj postawiony na fundamentach fałszu świadomie i cynicznie podawanego jako prawda nie jest wieczny, ale póki trwa, to trwa dotkliwie. Tego właśnie doświadczamy. Kiedyś i teraz. Sami sobie okupacji sowieckiej (nazywanej PRL) nie wymyśliliśmy bowiem. Byliśmy, pod kontrolą wielkiego brata, skazani na kłamstwo sojuszu robotniczo-chłopskiego, braterstwa broni, a niekiedy nawet na „rewolucyjne" odkrycia Łysenki. Wiedzieliśmy, że dziennik „Prawda" to dziennik kłamstwa, że informacje TASS trzeba czytać wspak, że pociągi przyjaźni to wszystko oprócz przyjaźni. Ale musieliśmy udawać, że tego nie wiemy.

Dlatego pomnik Bitwy Warszawskiej, pokaźny, doniosły i piękny, musi w stolicy stanąć. I powinien być dwa razy wyższy niż Pałac Kultury. Albo... stanąć na jego miejscu.

eprasa.pl 31f09d037d

PRZEZ ŚWIETLIK

Z kraju rad

Pozornie skomplikowane sytuacje mają czasem banalnie proste rozwiązania. Problem w tym, że węzłów gordyjskich nie brakuje, a Aleksandrowie, którzy wiedzą, jak się z nimi rozprawić, są dziś w opozycji, prześladowani, stłamszeni, odcięci. I żeby było jasne, nie chodzi o jakieś tam krajowe poletko, chodzi o najważniejsze światowe problemy.

Nie chodzi nawet o to, że na problemy z izraelską rocznicą odbicia przez Rosjan obozu w Auschwitz, organizowaną przez proputinowskiego oligarchę, krótkie rozwiązanie znalazł dziennikarz Bartosz Węglarczyk. Choć i to ciekawe. Skoro nie chcą, by Duda przemawiał, to trzeba wysłać Lecha Wałęsę, by sprawę załatwił. Były prezydent trochę opowie o Kaczyńskim, o Wyszkowskim, o Zyzaku, Cenckiewiczu i Gontarczyku, o tym, że Walentynowicz i Morawiecki to żadni bohaterowie, a na końcu wszystkim wręczy koszulki z napisem OTUA. Niewątpliwie zgromadzeni uznają, że zagłada kilku milionów osób to pikuś przy nieszczęściach, które spotkały wielkiego Polaka. Ale jak się okazuje, w zasięgu ręki leży też inny problem, tylko nic nierozumiejący Andrzej Duda nie chce go zaimplementować.

Mogliśmy zapobiec dalszemu rozlewowi krwi na Bliskim Wschodzie. Rozwiązać wszystkie problemy. Sprawić, że rabin, ajatollah i imam zatańczą radośnie razem kankana. Iran się rozbroi, Amerykanie wycofają, drony bojowe zostaną darowane małej Grecie, by służyły klimatowi, rakiety Fateh 313 zostaną zlicytowane na orkiestrze u Owsiaka, a polscy żołnierze zostaną przekierowani na Podlasie i w Podkarpackie, gdzie walczyć będą z tamtejszym faszyzmem. Wystarczyłoby, by prezydent zwołał radę.

Co prawda niektórym się myli wciąż ta rada z inną radą. Jedna jest od bezpieczeństwa narodowego, druga to obrady rządu pod kierownictwem prezydenta. Ale co tam, wiadomo, że jak prezydent zwoła tę, w której jest Schetyna, to konflikt z miejsca zostanie rozwiązany. „Andrzej Duda czeka na ruch Ameryki" – wydyma pogardliwie usta pan ekspert z TVN. I nie chce zwołać tej rady. A przecież rada jest radą na wszystko. Po co sprawdzać, co Trump zrobi, lepiej się Czarzastego poradzić.

W chwili zamykania tego numeru „Sieci" sytuacja wyglądała ponuro, jeśli nie mrocznie. Ludzka małość, pisowska zajadłość, „słowiańska hucpa" – by zacytować znanego z tolerancji i otwartości Jana Grabowskiego, sprawiły, że konflikt wciąż nad nami wisi, choć rozwiązanie było na wyciągnięcie ręki.

Nie ma wyjścia. Trzeba będzie użyć Wunderwaffe i wysłać samego marszałka Senatu. Może przy okazji udzieli także paru cennych porad w ramach prywatnej praktyki.

Wiktor Świetlik

REKLAMA

11/0120/F

eprasa.pl 31f09d037d

Marszałek Wielki

Jerzy Jachowicz

Przed nami wydarzenie o globalnym znaczeniu. W najbliższy weekend w Hiszpanii, w pięknej, pełnej zabytków Granadzie, odbędzie się założycielskie spotkanie Wielkiej Trójki, która położy kamień węgielny pod światowy program „Ziemia – zdrowa planeta". W tym niezwykłym trzyosobowym składzie obok prezydentów dwóch światowych mocarstw – Donalda Trumpa i Władimira Putina znajduje się Polak – marszałek polskiego Senatu prof. Tomasz Grodzki. Konferencja położy podwaliny pod największe przedsięwzięcie związane z walką z ociepleniem klimatycznym.

Dzięki temu Polska wychodzi z cienia krajów europejskich, które były dotąd skazane na peryferie. Nasze państwo staje się nie tylko pełnoprawnym uczestnikiem wielkich procesów cywilizacyjnych, lecz również wpisuje się do grona liderów światowych torujących drogę do przyszłości człowieka na Ziemi.

Już dziś światowe agencje dostrzegają przełomowy dla naszej przyszłości jako istot biologicznych charakter konferencji. Jednocześnie próbują dociekać, skąd tak niesamowity awans Polski oraz wyróżnienie prof. Grodzkiego? Snop światła na powody polskiej gloryfikacji oraz marszałka Senatu rzucił sam bohater w rozmowie z dziennikarzem telewizyjnym z Afryki Alpha Qmar Kotare, której jako jego opiekun byłem świadkiem. Zaraz na jej początku zdarzył się bardzo śmieszny incydent. Musiałem się powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć. Niewielkiego wzrostu tenże dziennikarz, przedstawiając się, wtrącił, że jest z Mali. Marszałek na to, żeby się nie przejmował, bo u nas nie wszyscy są duzi.

A oto fragment merytorycznych odpowiedzi marszałka Grodzkiego. „Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. W tytule konferencji zauważył pan słowo »zdrowie«? No właśnie, a ja jestem też lekarzem – zaczął żartobliwie. – Istotne, myślę, było to, że na moje zaproszenie kilka tygodni temu do Polski przyjechała Greta Thunberg. Złożyła też wizytę w Senacie, gdzie wygłosiła płomienne przemówienie. Najważniejsze jednak, że jestem trzecią osobą w państwie. Czy pan o tym wiedział? Nie? Tak myślałem... Każdemu muszę to przypominać".

CO MNIE WZRUSZA

Niezastąpiony

Katarzyna Łaniewska

W TVP Kultura obejrzałam niedawno: „Spotkanie z...". Było to spotkanie z świętej pamięci Jankiem Kobuszewskim. Zaproszeni goście, którzy z nim współpracowali, wspominali aktora i utwierdzili mnie w przekonaniu, że był wspaniały, jedyny w swoim rodzaju i niezastąpiony.

Wspomnienia jego przyjaciół i kolegów były przeplatane migawkami pokazującymi wszechstronność jego talentów – przeważnie kabaretowych i czasami fragmenty sztuk dramatycznych. Pokazane były brylanciki. Patrzyłam na jego występy we wspaniałych kabaretach – Dudka, Starszych Panów i Olgi Lipińskiej, występy estradowe, kiedy mówił monologi, i również na wspaniałą twórczość teatralną. Długo decydował się, by odejść z Teatru Dramatycznego i poświęcić się satyrze. Te cacka trwały za krótko.

Program „Spotkanie z..." niesie z sobą wiele wartości. Dobrze, że jest taki program. Publiczność mniej przygotowana, pochłonięta tym, co się w tej chwili dzieje, może nie wiedzieć, że coś tak dobrego jest emitowane w telewizji. Program nie jest bowiem odpowiednio zapowiadany i reklamowany. Chciałabym wiedzieć wcześniej, co w nim będę mogła zobaczyć. Inne programy, jak ostatnio sylwester, mają w TVP reklamę. Proszę mi nie zarzucać, że jestem przeciwko panu Martyniukowi, nic do niego nie mam. Szanuję to, co robi. Są tacy, którzy chcą to oglądać. Ale reklama tego stała się po prostu nieznośna – była antyreklamą. Mówiąc o czymś tak długo, można to tylko obrzydzić. Zastawiałam się, czy jak otworzę swoją lodówkę, to nie zobaczę w niej zielonych oczu.

Wracając do szlachetnych powtórek, migawek z Jankiem Kobuszewskim, czy szanowna dyrekcja TVP nie poszłaby na pomysł, by puszczać kabarety z tamtych czasów? Można je „odnowić" – dopracować dźwięk i obraz. Tak się teraz przecież robi. Pokazać młodemu pokoleniu, że w tamtych czasach, chociaż autorzy musieli się spierać z cenzurą, to były perełki. Coś naprawdę innego. Trzeba tych aktorów z dawnych kabaretów pokazywać – Kwiatkowska, Krafftówna, Wasowski, Przybora, Fronczewski, Michnikowski, Gołas, Łazuka i wielu innych. Nie ukrywajmy tego w TVP Kultura. Nie porównujmy też „występów" polityków do kabaretu – bo obrażamy znakomitych aktorów.

To jest smuga, którą swoim wielkim, niezastąpionym talentem Janek Kobuszewski powinien naprowadzić ludzi odpowiedzialnych za kulturę w telewizji. Warto powrócić i przedstawić te propozycje – do zastanowienia!

eprasa.pl 31f09d037d

Obłąkańczy pośpiech

Alina Czerniakowska

Centrum stolicy, wszędzie korki, od rana zdenerwowanie i stres, pod przedszkole podjeżdżają samochody, rodzice odwożą swoje dzieci, szalony pośpiech, nikt nie ma czasu na nic, na chwilę serdeczności, refleksji, pochylenia się nad płaczącym maluchem. Z furtki przedszkolnej wybiega młoda elegancka kobieta, matka, która zdążyła dopiero co zostawić dziecko w przedszkolu, teraz tylko wsiąść w samochód i do firmy! Nagle potyka się i groźnie upada na asfalt. Głośno, desperacko płacze. Starsza kobieta pochyla się nad nią, gładzi po głowie, ogląda pokrwawione ręce i kolana, tuli jak dziecko – Boże, dlaczego wy młodzi tak pędzicie, po co, gdzie, dokąd, pozabijacie się – mówi jakby do siebie – co nagle, to po diable. Młoda kobieta zacina się, odmawia pogotowia, wstaje, wsiada do samochodu i odjeżdża.

Na ulicy zostaje krew, po której jadą, biegną kolejne ludziki, jak z obrazów Breughla, na „Sąd Ostateczny". Dzisiaj pęd, zabieganie, brak czasu stały się modą, świadectwem operatywności, społecznej użyteczności, nowoczesności i już inaczej nie wypada żyć i być. Często ktoś zapytany: „Gdzie tak pędzisz?", zaczyna się zastanawiać, co odpowiedzieć, żeby nie wypadło banalnie, ale nie potrafi niczego mądrego wymyślić, bo tak naprawdę rzadko kiedy są to sprawy warte poświęcenia zdrowia, życia swojego i rodziny. Mamy przecież w pamięci trzyletnią dziewczynkę pozostawioną przez ojca w zamkniętym samochodzie w upał. Zapomniał o swoim dziecku, które wiózł rano do przedszkola. O czym i o kim więc myślał?! Dziewczynka nie miała szans pokonać nowoczesnej blokady drzwi, udusiła się w luksusowym samochodzie swojego ojca, na parkingu przed jego pracą... Takich i podobnych nieodwracalnych tragedii, może mniej nagłośnionych, dzieje się bardzo dużo.

Często rozmawiam ze starszymi ludźmi, wspominają swoich rodziców z przedwojennej Polski, podkreślają, że zawsze mieli czas na rozmowy, spotkania rodzinne, szanowali święta, niedziele, wszystkie narodowe tradycje. Po 123 latach niewoli, w ciągu niespełna 20 lat zbudowali liczący się kraj w środku Europy, nie oddając Wilna, Lwowa i całej ziemi kresowej, ziemi Semper Fidelis, zawsze wiernej. Już na początku niepodległości w 1920 r. musieli stoczyć wielką zwycięską bitwę z bolszewikami, obronili Europę i świat i właśnie tą przedwojenną Polską chlubimy się do dzisiaj.

Ktoś powie, że wówczas życie toczyło się wolniej, bo nie było telewizorów, komputerów, tabletów, laptopów, smartfonów, iPodów, iPhone'ów, telefonów komórkowych itd. Sami łapiemy się na jakimś nieprawdopodobnym paradoksie – przecież te wszystkie urządzenia miały nam ułatwiać życie, przyspieszać wykonywanie czynności, a więc zostawiać nam więcej wolnego czasu! Amerykanie piszą setki książek, u nas coraz bardziej popularnych, o tym jak pokonać stres, zabieganie, strach, jak być świetnym w każdej dziedzinie – podręczniki pełne okrągłych zdań, porad, które czynią człowieka jeszcze bardziej bezradnym i nieszczęśliwym, a specom od tej retoryki nabijają fortuny.

Zrozpaczona, młoda zamożna kobieta, szlochająca, bezradna nie tylko z powodu potknięcia się i wywrócenia na jezdni, czy wyciągnie z tego zdarzenia jakieś wnioski. Może zupełnie odmieni swoje życie, dając przykład innym? Coraz więcej w nas niepokoju, rozedrgania, czasami nawet bez większego powodu.

Zły wpływ na kondycję psychiczną ma atmosfera toczącej się walki politycznej, w demokracji jest rzeczą normalną spieranie się, dyskutowanie, ale to, co robi tzw. opozycja totalna (wszyscy o podobnym komunistyczno-liberalnym rodowodzie), jest już tylko czystą nienawiścią, zaciętością, często nawet bez żadnych argumentów i racji, aby tylko znowu zdobyć władzę i żeby było, jak było. A jak było, każdy umiejący choć trochę samodzielnie myśleć i patrzeć wie – rozkradanie, korupcyjne wyprzedawanie majątku narodowego, kopalń, stoczni, telekomunikacji, banków i wszelkich innych największych firm i przedsiębiorstw. Uległość wobec Wschodu i Zachodu na zasadach zagrażających naszemu bezpieczeństwu i gospodarczemu rozwojowi.

Nie da się wszystkiego zmienić w krótkim czasie, najlepiej naprawę zaczynać od siebie, zamiast tylko krytykować. Warto powrócić do rozważań Jana Pawła II nad bożonarodzeniowym pokojem naszych serc i umysłów, o czym mówił na początku 1991 r., u progu III RP: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli (Łk 2,14). Kłótliwość, skłonność do waśni, niesnasek, zadowolenie znajdowane z niepokoju i sporów, są znakiem oddalenia się od Boga. Najkrócej można powiedzieć, że źródła niepokoju to zazdrość, egoizm, prowadzące do nienawiści, żądza zemsty, panowania i odwetu, zadowolenia z cudzego nieszczęścia. Dzisiaj ludzie bardziej niż kiedykolwiek potrzebują odnalezienia dróg porozumienia, w oparciu o odwieczne zasady wzajemnego szacunku, ale przede wszystkim na samym początku porządkowania naszego życia należy odrzucić kłamstwo".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 31f09d037d

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Rok 2020 rokiem fety

Świat zamiast zmierzać ku dobru i światłu wpada w ostry zakręt

Rozpoczął się rok 2020. Ekscytuje, że poprzednio w tej konfiguracji zapisu daty był rok 1010, a następny będzie dopiero 3030. Jednak patrząc na rozwój wydarzeń na naszym globie, trudno wpadać w euforię. Jeszcze niedawno wydawało się, że jesteśmy we wspaniałym momencie naszych dziejów. Zintegrowani z Unią Europejską, z bezpieczeństwem gwarantowanym przez NATO, żyć nie umierać!

Ryszard Makowski

Nagle piękna bajka zaczyna mieć wyraźne skazy. Zły czarownik ze Wschodu nie może znieść, że niedaleko jego zbójeckiego królestwa żyją sobie szczęśliwi ludzie. To musi szarpać i uwierać jego mołojecką sławę kagebisty. I ten czarownik, podstępny niezwykle, przebiegły i szczwany, knuje najwyraźniej coś trefnego. Rozgłasza nową wersję historii. To my, Polacy, rozpętaliśmy II wojnę światową. Dowód, film z Marianem Kociniakiem w roli głównej. To już zrobiło się trochę nudne, ale wyzywa nas od antysemitów. A do tego niewdzięcznicy z nas niebywali. Poza paroma trepowatymi komuchami nie możemy się połapać, że w 1945 r. Armia Czerwona nas wyzwoliła. Do tego Bliski Wschód, wymieniany we wszystkich przepowiedniach jako zaczątek kolejnej wojny, płonie.

I co tu robić? Ano zorganizować naprawdę okazałe obchody stulecia Cudu nad Wisłą. Takie z łukiem triumfalnym i z fetą, która dotrze do każdej mysiej dziury. Jak sami nie zadbamy o prawdę historyczną, to inni napiszą ją za nas. To nam współczesna cywilizacja coś zawdzięcza, a nie złym czarownikom. I to trzeba w nagłośnić w 2020 r.

eprasa.pl 31f09d037d

Zawistowski prezentuje: ***Deeskalacja***

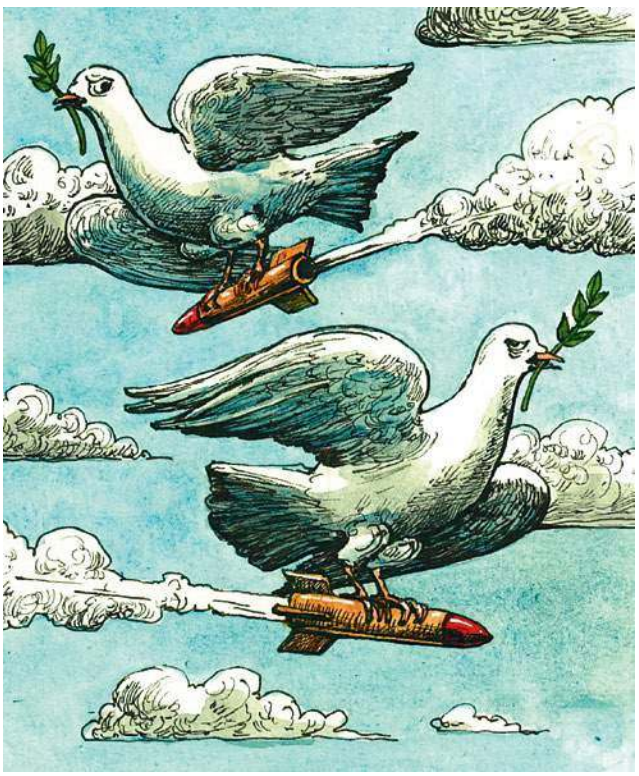

Wycinki z przeszłości

„Tak prezentuje się moped Romet 750" – donosił tygodnik „Motor" w grudniu 1974 r. I zapowiadał ambitne plany produkcyjne bydgoskiej fabryki: już w roku 1976 planowano osiągnięcie mocy produkcyjnych na poziomie 1 mln 400 tys. rowerów i 200 tys. motorowerów:

„Utrzymujące się w ciągu ostatnich kilku lat kłopotliwe milczenie na temat dalszych losów przede wszystkim motocykli, chociaż dotyczyło i motorowerów, przypominało wezwanie »ciszej nad tą trumną«.

Przyczyn tego postępowania było sporo, przede wszystkim stosunkowo duże nasycenie rynku krajowego motocyklami. Tym bardziej że możliwości wyboru były, oględnie mówiąc, raczej niewielkie i nie zachęcające do kupna czegoś istotnie nowego. Spora część starszych wiekiem motocyklistów przesiadła się przy tym w miarę możliwości na samochody, przeważnie dosyć wysłużone, ale zawsze były to cztery, a nie dwa kółka. Z tego grona rekrutuje się też spora część reflektantów na Polskiego Fiata 126p. [...]

Ostatnio jednak polski rynek motoryzacyjny sygnalizował pojawienie się nowego odbiorcy, a mianowicie na motorowery, ale przez dłuższy czas nie wiadomo było, czy to nie jest jakaś przelotna fanaberia".

Nie była. Dekady minęły, a wyprodukowane wtedy motorowery z Rometu nadal możemy spotkać na polskich drogach. ***(mk)***

Radość nam pospołu

Leszek Długosz

Gdybym był bardziej pamiętliwy, powinienem przypomnieć wyjątkowo wredną falę hejtu (wobec ministra Glińskiego) po decyzji o zakupie kolekcji Czartoryskich. W grudniu (po 10 latach prac) udało się do wyremontowanego pałacu zbiory te wprowadzić i w nim rozlokować. Przy okazji siedzibę wspaniale zmodernizowano, zaadaptowano, powiększono i upiększono. Efekt jest imponujący. Tym razem rozległa się i owszem fala „ochów i achów". W nowej tej oprawie zbiory lśnią blaskiem swoim i udzielają go wszystkim, którzy przyczynili się do tego stanu rzeczy. Pominę tedy przypomnienia, jak to z tym muzeum było. Niech tam... Przed laty spostrzeżona przeze mnie tam i później opisana szklaneczko, w górę! Teraz już jako i moje dobro narodowe. Radość nam pospołu!

Do szkiełka z Muzeum Czartoryskich

Mała szklaneczko
Igraszko krucha
Fantazjo z piasku i z powietrza
Otoś mi cała i nietknięta
– Wieki minęły
I czasy przeszły

Garstko minerałów
Blasku znikomy
Z ognia, z potopu ocalony –
Filozofko zręczna
Traktat byś pewnie mogła wygłosić:
– O w a r u n k a c h t r w a n i a –
Ale ty niemo tylko się uśmiechasz
Gdy wzrok za wzrokiem
To choćby stawia ci pytanie:
Gdzie jest ta Można?
Gdzież jest ta Pani
Co wody łyk wypiwszy kiedyś
Odstawiła cię...
– I Nieostrożna
– I nieostrożnie gdzie odeszła?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 31f09d037d

OD A DO ZYBERTOWICZA

Czarna skrzynka sukcesu

To u prof. Stanisława Żerki, uznanego harcownika Twittera – ponad 212 tys. wpisów przez ok. osiem lat – przeczytałem słowa Jacka Żakowskiego: „Jeśli oni są tacy beznadziejni, to dlaczego tak dają nam w kość?”. W ten sposób red. Żakowski sygnalizuje zagadkę, z którą nie potrafią się uporać najświatlejsze elitarne umysły III RP.

Jacek Żakowski jest intelektualistą. Może zdanie to niektórych czytelników tygodnika „Sieci” bulwersuje, zwłaszcza pamiętających ostre polityczne wypowiedzi Żakowskiego. Jednak zamieszczane w tygodniku „Polityka” rozmowy Żakowskiego z zachodnimi badaczami społecznymi pokazują, że redaktor rzeczywiście od lat aktywnie próbuje zrozumieć, jak działa współczesny świat. A w ostatnim okresie największą, jak dotąd nieprzenikalną dlań tajemnicą, jest trwający sukces Prawa i Sprawiedliwości oraz jego lidera Jarosława Kaczyńskiego.

ODSIECZ ZAGRANICZNA

Żakowski nie jest tu odosobniony. Elity III RP nijak nie mogą rozwikłać tajemnicy sukcesu „prymitywów”, którzy obecnie rządzą naszym krajem. Pewnie dlatego zwrócono się o pomoc do grona Polaków pracujących na renomowanych uczelniach zagranicznych. Tak w lipcu 2019 r. ruszyło Concilium Civitas, przedsięwzięcie afiliowane przy niepublicznej szkole wyższej Collegium Civitas, gdzie red. Żakowski kieruje katedrą dziennikarstwa.

Nawiasem mówiąc, w skład Concilium wchodzą badacze, którzy karierę naukową zrobili, jak się zdaje, właśnie dzięki temu, że w odpowiedniej fazie swojego życia opuścili PRL lub III RP.

Pod flagą owej Rady Miejskiej – tak dosłownie tłumaczy się Concilium Civitas – w grudniu 2019 r. odbyło się spotkanie z prof. Michałem Kosińskim, który międzynarodową rozpoznawalność uzyskał przy okazji głośnego skandalu firmy Cambridge Analitica (sam Kosiński zaprzecza swoim związkom z tą firmą). Całe spotkanie, które obejrzałem w internecie, było nader interesujące, ale może najbardziej znamienne było rozpaczliwe pragnienie Żakowskiego, by Kosiński pomógł mu otworzyć czarną skrzynkę sukcesów PiS, ale zarazem by zrobił to w sposób pasujący do ideologicznych wyobrażeń redaktora. Otóż Donald Trump i Andrzej Duda wygrali wybory dzięki skorzystaniu z niecnych internetowych sztuczek umożliwiających manipulowanie wyborcami. Zadaniem Kosińskiego miało być potwierdzenie i uszczegółowienie tych wyobrażeń.

Intelektualiści pokroju Żakowskiego nie mogą rozmontować czarnej skrzynki PiS ze względu na swą elitarność

WARUNEK NIEZBĘDNY

Ale Kosiński poszedł tu Żakowskiemu pod prąd. Powiedział, że technologiami cyfrowymi umożliwiającymi dostarczanie wyborcom spersonalizowanych przekazów pierwszy na wielką skalę posłużył się Barack Obama, Hilary Clinton zaś w swej kampanii wyborczej wydała na takie technologie trzy razy więcej pieniędzy niż Trump. Trochę zasmuciło to Żakowskiego, ale wyciągnął kolejną kartę ze swej talii, prosząc, by Kosiński potwierdził, że podatniejsi na cyfrowe manipulacje są ludzie gorzej wykształceni, mniej psychicznie otwarci i bywali w świecie. Tu Kosiński się z redaktorem zgodził. Ale za chwilę, odnosząc się do Clinton, dodał, że chociaż w porównaniu z Trumpem wydała ona więcej pieniędzy na technologie internetowe, to po prostu nie miała wyborcom nic ciekawego do powiedzenia: „Żadna algorytmiczna platforma, która daje wam możliwość komunikowania się z człowiekiem, sam na sam, nie przyniesie wam żadnej korzyści, jak wasz polityk nie ma nic ciekawego do powiedzenia”.

PUŁAPKA ELITARNOŚCI

A co „ciekawego” politycy opozycji mają do powiedzenia Polakom – zwłaszcza tym prostym, ciężko pracującym, wychowującym dzieci i zagubionym w nadmiarze kulturowej oraz obyczajowej różnorodności, która często przekracza już zdrowy rozsądek?

Może kluczem do odczytania czarnej skrzynki wcale nie są skomplikowane analizy społeczno-psychologiczne. Może wystarczy zawiesić poczucie elitarności. Piszę to bez ironii: elitarność to życie w świecie innym od świata codziennych trosk „tych gorzej wykształconych”. Intelektualiści pokroju Żakowskiego nie mogą rozmontować czarnej skrzynki PiS właśnie ze względu na swą elitarność.

A my, środowisko dobrej zmiany? Nie wpadnijmy w podobną pułapkę.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 31f09d037d

CYFROWY POLSAT

MASZ INTERNET OD DOWOLNEGO DOSTAWCY?

MAMY DLA CIEBIE TV INTERNETOWĄ!

OTT

Na start ponad 100 kanałów 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Włączaj pakiety, kiedy chcesz i płać tylko za te programy, które wybrałeś
Oglądaj wybrane programy nawet do 7 dni wstecz

Usługa wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s na jeden dekoder. Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów przy umowach pisemnych z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety i usługi. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty 1 zł za aktywację dekodera oraz opłat za dostęp do internetu. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej", dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. „Carter 2" © 2019 Sony Pictures Television Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj w środę o godz. 14:00

Pobierz za darmo pierwszą w Polsce aplikację mobilną, dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji z ulubionym dziennikarzem w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu na nr. 22-463-49-99

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNER:

ORLEN

eprasa.pl 31f09d037d